

ORSON SCOTT CARD

PIERWSZE SPOTKANIA W ŚWIECIE ENDERA

First Meetings: In the Enderverse

Przełożyła: Maciejka Mazan

Wydanie oryginalne: 2003

Wydanie polskie: 2005

*Dla Eugene'a Englanda i Richarda Cracrofta,
dwóch pasterzy literatury mormońskiej,
z szacunkiem i wdzięcznością od jednej z owieczek*

CHŁOPIEC Z POLSKI

Jan Paweł nie cierpiał lekcji. Mama bardzo się starała, ale jak mogła cegokolwiek go nauczyć, kiedy miała ośmioro innych dzieci - sześcioro do uczenia i dwoje pod opieką, bo były jeszcze malutkie.

Jan Paweł najbardziej nie znosił tego, że ciągle uczyła go rzeczy, które już znał. Kazała mu pisać litery i ćwiczyć je bez przerwy, a tego, co ciekawe, uczyła starsze dzieciaki. Dlatego starał się jak najwięcej zrozumieć z tego gąszczy informacji, jakie wychwytywał z jej rozmów z pozostałymi. Okruchy geografii - nauczył się nazw kilkunastu państw i ich stolic, tyle że nie bardzo wiedział, co to jest państwo. Fragmenty matematyki - mama raz po raz powtarzała z Anną wielomiany, bo Anna chyba nawet nie starała się zrozumieć, ale dzięki temu Jan Paweł nauczył się wszystkich operacji. Jednak poznał je niczym maszyna, nie wiedząc, co naprawdę oznaczają nazwy.

Nie mógł też pytać. Kiedy próbował, mama się niecierpliwiła. Powtarzała wtedy, że dowie się wszystkiego we właściwym czasie, ale teraz powinien się zająć własnymi lekcjami.

Własnymi lekcjami? To nie były żadne lekcje, tylko nudne zadania, które doprowadzały go niemal do obłędu. Czy ona nie rozumiała, że umie już czytać i pisać nie gorzej od starszego rodzeństwa? Kazała mu recytować elementarz, gdy przecież bez trudu mógłby czytać dowolną książkę w domu. Próbował jej to powiedzieć.

- Umiem to przeczytać, mamó.

Ale ona odpowiadała:

- Tylko się bawisz, synku. A ja chcę, żebyś nauczył się czytać naprawdę.

Może gdyby nie przewracał tak szybko kartek dorosłych książek, uwierzyłaby mu, że istotnie je czyta. Ale kiedy coś go zaciekało, nie potrafił zwolnić tylko po to, żeby zrobić wrażenie na mamie. W dodatku co czytanie miało z nią wspólnego? Było jego własne - jedyny element szkoły, który naprawdę lubił.

- Nigdy nie nadążysz z nauką - mówiła mu nieraz mama - jeśli zamiast czytać, będziesz stale oglądał te grube książki. Popatrz, nie mają nawet obrazków. Dlaczego koniecznie chcesz się nimi bawić?

- On się nie bawi - oświadczył Andrzej, który miał dwanaście lat. - On czyta.

- Tak, tak, powinnam być bardziej cierpliwa i bawić się razem z nim - odpowiedziała mama. - Ale nie mam czasu na...

Wtedy zapłakał jeden z maluchów i rozmowa się skończyła. Za oknem, na ulicy, inne dzieci szły do szkoły. Nosiły szkolne mundurki, śmiały się i popychały. Andrzej mu to wytłumaczył.

- Chodzą do szkoły w tym wielkim domu - powiedział. - Całe setki dzieci do jednej szkoły.

Jan Paweł był przerażony.

- Dlaczego matki ich nie uczą? Jak mogą w ogóle się czegoś nauczyć, kiedy są ich setki?

- Tam jest więcej nauczycieli, głuptasie. Jeden nauczyciel na jakieś piętnastoro dzieci. Ale wszystkie w tym samym wieku, wszystkie w każdej klasie uczą się tego samego. Dlatego nauczyciel cały dzień poświęca na takie same lekcje, zamiast przechodzić od starszych do młodszych i z powrotem.

Jan Paweł zastanowił się.

- I każdy wiek ma swojego nauczyciela?

- A nauczyciele nie muszą karmić dzieci ani zmieniać pieluch. Mają czas, żeby naprawdę uczyć.

Ale co by z tego przyszło Janowi Pawłowi? Wsadziliby go do klasy z innymi pięciolatkami i kazali całymi dniami uczyć się głupich czytanek z elementarza. Nie mógłby słuchać, co nauczyciel mówi dziesięcio-, dwunasto- i czternastolatkom, a wtedy naprawdę by zwariował.

- Tam jest jak w niebie - opowiadał Andrzej. - I gdyby tata z mamą mieli tylko dwoje dzieci, mogłyby też chodzić do prawdziwej szkoły. Ale kiedy urodziła się Anna, ukarali nas za niesubordynację.

Jan Paweł miał już dosyć tego słowa, którego nie rozumiał.

- A co to jest niesubordynacja?

- Toczy się taka wielka wojna w kosmosie - wyjaśnił Andrzej. - To jeszcze wyżej niż niebo.

- Wiem, co to jest kosmos - przerwał mu niecierpliwie Jan Paweł.

- No dobra. W każdym razie jest ta wojna i w ogóle, więc wszystkie kraje na świecie muszą działać wspólnie i płacą na budowę setek, całych setek okrętów kosmicznych. Dlatego postawili na czele całego świata kogoś, kto się nazywa Hegemon. I ten Hegemon powiedział, że nie możemy sobie pozwolić na kłopoty z przeludnieniem, więc każde małżeństwo, które ma więcej niż dwoje dzieci, jest niesubordynowane.

Andrzej skończył, jak gdyby wszystko już wytłumaczył.

- Przecież dużo rodzin ma więcej niż dwoje dzieci - zauważył Jan Paweł. Połowa sąsiadów miała więcej.

- Bo jesteśmy w Polsce - odparł Andrzej. - I jesteśmy katolikami.

- Jak to? Znaczy, ksiądz przynosi dodatkowe dzieci? - Jan Paweł nie potrafił dostrzec związku.

- Katolicy wierzą, że trzeba mieć tyle dzieci, ile Bóg ześle. I żaden rząd nie może ci nakazać odrzucania darów bożych.

- Jakich darów? - Jan Paweł ciągle nie rozumiał.

- Ciebie, głuptasie. W tym domu jesteś darem bożym numer siedem. Maluchy to dar numer osiem i dar numer dziewięć.

- Ale co to ma wspólnego z chodzeniem do szkoły?

Andrzej przewrócił oczami.

- Naprawdę jesteś tępak - stwierdził. - Szkoły należą do rządu. Rząd musiał wprowadzić sankcje przeciwko niesubordynacji. A jedna z nich jest taka, że tylko pierwsze dwoje dzieci ma prawo chodzić do szkoły.

- Przecież Piotr i Kasia nie chodzą do szkoły!

- Bo tata i mama nie chcą, żeby uczyli się tych wszystkich antykatolickich rzeczy, które mówią w szkole.

Jan Paweł chciał już zapytać, co to znaczy „antykatolickie”, ale zaraz pojął, że to coś w rodzaju „przeciw katolikom”, więc nie warto nawet o tym mówić, bo Andrzej znowu nazwie go tępakiem.

Zastanawiał się jednak nad całą tą historią. W jaki sposób wojna doprowadziła do tego, żeby wszystkie państwa oddały władzę jednemu człowiekowi, ten człowiek mówił wszystkim, ile mają mieć dzieci, a dodatkowe dzieci nie mogą chodzić do szkoły. Przecież to czysta korzyść, prawda? Nie chodzić do szkoły. W jaki sposób Jan Paweł mógłby się czegośkolwiek nauczyć, gdyby nie siedział w jednym pokoju z Piotrem, Kasią, Mikołajem i Tomkiem, podsłuchując ich lekcje?

Najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że szkoły mogą uczyć antykatolickich rzeczy.

- Wszyscy są katolikami, prawda? - zapytał kiedyś ojca.

- W Polsce tak. A przynajmniej tak mówią. Kiedyś była to prawda.

Ojciec mówił z zamkniętymi oczami. Prawie zawsze je zamykał, gdy tylko gdzieś usiadł. Nawet kiedy jadł, wyglądał, jakby zaraz miał się przewrócić i zasnąć. To dlatego, że pracował w dwóch miejscach. Miał jedną oficjalną pracę w dzień i drugą, nielegalną, w nocy.

Jan Paweł prawie wcale go nie widywał, tylko rano, ale wtedy ojciec był zbyt zmęczony, żeby rozmawiać, więc mama ich uciszała.

Teraz też go uciszyła, choć przecież ojciec już odpowiedział.

- Nie męcz ojca pytaniami, ma ważniejsze sprawy na głowie.

- Niczego nie mam na głowie - oświadczył znużony ojciec. - Chyba już w ogóle nie mam głowy.

- Odpocznij sobie - powiedziała mama.

Ale Jan Paweł miał jeszcze jedno pytanie i musiał je zadać.

- Jeśli wszyscy są katolikami, to dlaczego w szkole uczą antykatolicko?

Ojciec spojrzał tak, jakby jego syn nagle oszalał.

- Ile ty masz lat?

Musiał nie zrozumieć, o co Jan Paweł zapytał, bo przecież nie miało to żadnego związku z wiekiem.

- Pięć, tato. Nie pamiętasz? Ale dlaczego w szkołach uczą antykatolicko?

Ojciec zwrócił się do mamy.

- Ma dopiero pięć lat. Co ty mu opowiadasz?

- Ty mu opowiadasz - odparła mama. - Cały czas wyklinasz na rząd.

- To nie jest nasz rząd, to wojskowe władze okupacyjne. Kolejna próba zniszczenia Polski.

- Tak, tak właśnie mów, to znowu cię ukarają, stracisz tę pracę; i co wtedy zrobimy?

Było jasne, że Jan Paweł nie doczeka się odpowiedzi. Zrezygnował więc. Zachował swoje pytanie na później, kiedy zdoła zebrać więcej informacji i jakoś je razem połączyć.

I tak płynęło im życie w roku, kiedy Jan Paweł był pięciolatkiem. Matka wciąż była zajęta, gotowała jedzenie i zajmowała się maluchami, jednocześnie próbując prowadzić szkołę w saloniku. Ojciec wychodził do pracy tak wcześnie, że słońce jeszcze nie wzeszło, a mama budziła wszystkie dzieci, żeby choć raz dziennie mogły go zobaczyć.

Aż do dnia, kiedy ojciec nie poszedł do pracy i został w domu.

Oboje rodzice byli przy śniadaniu milczący i spięci. Anna spytała, czemu ojciec nie jest ubrany jak do pracy, ale mama rzuciła tylko: „Dzisiaj nie idzie”, tonem, który wyraźnie mówił, że dalej wypytywać nie należy.

Przy dwojgu nauczycielach lekcje powinny odbywać się sprawniej. Ojciec jednak okazał się bardzo niecierpliwy, aż Anna i Kasia zdenerwowały się i uciekły do swojego pokoju. W końcu poszedł do ogrodu pielic grządki.

Dlatego kiedy usłyszeli pukanie do drzwi, mama wysłała Andrzeja, żeby go sprowadził. Ojciec zjawił się po chwili, wciąż ocierając dłonie z ziemi. Zanim przyszedł, stukanie rozległo się jeszcze dwukrotnie, każde bardziej natarczywe od poprzedniego.

Ojciec otworzył drzwi i stanął w progu; jego wysokie mocne ciało wypełniało całą wolną przestrzeń.

- O co chodzi? - zapytał. Powiedział to we wspólnym, wiedzieli zatem, że przyszedł jakiś cudzoziemiec.

Odpowiedź była cicha, ale Jan Paweł usłyszał ją wyraźnie. Głos należał do kobiety.

- Jestem z programu testów Międzynarodowej Floty. Wiem, że ma pan trzech synów w wieku od sześciu do dwunastu lat.

- Nasze dzieci to nie pani sprawa.

- Jak pan wie, panie Wieczorek, wszyscy chłopcy są poddawani testom, a ja przyszedłam, by wypełnić nałożone na mnie przez prawo obowiązki. Jeśli pan woli, mogę wezwać policję wojskową, żeby panu to wyjaśniła.

Powiedziała to tak spokojnie, że Jan Paweł niemal przeoczył znaczenie tego zdania. Było groźbą, nie propozycją. Ojciec odstał z ponurą miną.

- I co zrobicie, zamkniecie mnie do więzienia? Wprowadziliście prawo, które zakazuje mojej żonie pracować, musimy uczyć nasze dzieci w domu, a teraz jeszcze odbierzecie mojej rodzinie wszelkie środki do życia.

- Nie ja ustalam politykę rządu - odpowiedziała kobieta, rozglądając się po pełnym dzieci pokoju. - Interesuje mnie tylko testowanie dzieci.

Odezwał się Andrzej:

- Piotr i Kasia mieli już rządowe egzaminy. Miesiąc temu. Spełniają wymagania.

- Tu nie chodzi o spełnianie wymagań - wyjaśniła kobieta. - Nie przychodzę z ramienia szkoły ani polskiego rządu...

- Nie ma polskiego rządu - wtrącił ojciec. - Jedynie armia okupacyjna wymuszająca posłuszeństwo wobec dyktatury Hegemonii.

- Jestem z Floty. Kiedy występujemy w mundurach, prawo zakazuje nam wyrażania opinii na temat polityki Hegemonii. Im szybciej zacznę testy, tym szybciej będą państwo mogli wrócić do zwykłego rozkładu dnia. Czy wszystkie dzieci mówią wspólnym?

- Oczywiście - odparła matka z odcieniem dumy. - Nie gorzej niż po polsku.

- Będę obserwował te testy - oświadczył ojciec.

- Przykro mi, drogi panie, ale nie będzie pan. Ma pan udostępnić mi pokój, gdzie mogę sam na sam porozmawiać z każdym z dzieci. A jeśli w mieszkaniu mają państwo tylko

jeden pokój, wyprowadzi pan wszystkich na zewnątrz albo do sąsiadów. Zapewniam pana, że niezależnie od pańskiej postawy przeprowadzę testy.

Ojciec próbował robić groźną minę, ale nie miał żadnych atutów w tej grze, więc po chwili odwrócił głowę.

- To bez znaczenia, czy przetestuje pani moje dzieci, czy nie. Nawet jeśli zaliczą, nie oddam ich.

- Może zajmijmy się tą przeszkodą, kiedy już pojawi się na drodze - powiedziała.

Wydawała się smutna i nagle Jan Paweł zrozumiał, dlaczego. Wiedziała, że ojciec nie będzie miał żadnego wyboru w tej sprawie, ale nie chciała wprawiać go w zakłopotanie, mówiąc o tym wprost. Chciała tylko wykonać swoje zadanie i odejść.

Jan Paweł nie miał pojęcia, skąd to wie. Inaczej niż w przypadku faktów historycznych, geografii czy matematyki, gdzie trzeba się nauczyć, żeby wiedzieć - mógł zwyczajnie patrzeć na kogoś i nagle coś o nim wiedział. Na przykład czego chce albo dlaczego coś robi. Jak choćby wtedy, kiedy bracia i siostry się kłócili. Zwykle dokładnie wiedział, co doprowadziło do kłótni, a także - nawet się nie zastanawiał - co należy powiedzieć, żeby kłótnię zakończyć. Na ogół tego nie mówił, bo wcale mu nie przeszkadzało, że się kłócą. Ale kiedy jedno z nich naprawdę zaczynało się złościć - tak bardzo, że mogłoby uderzyć - wtedy Jan Paweł wypowiadał odpowiednie słowa i walka się kończyła. Od razu.

Z Piotrem było to często coś w rodzaju: „Lepiej zrób, co mówi, w końcu Piotr jest tu szefem”. Wtedy Piotr czerwieniał na twarzy, wychodził z pokoju i kłótnia ustawała. Ponieważ Piotr nie cierpiał, kiedy ludzie mówili, że uważa się za szefa. Nie działało to na Annę; z nią lepiej było powiedzieć coś w stylu „Ale się zrobiłaś czerwona”. Potem Jan Paweł wybuchał śmiechem, Anna wychodziła i piszcząc ze złości, wracała, chodziła wściekła po całym domu, ale już się nie kłóciła. Bo Anna nienawidziła myśli, że może kiedykolwiek wyglądać śmiesznie albo głupio.

Nawet teraz wiedział, że gdyby tylko wtrącił: „Boję się, tato”, ojciec wypchnąłby kobietę z domu, a potem miał bardzo poważne kłopoty. Lecz jeśli zapyta: „Tato, czy ja też mogę zdawać ten test?”, ojciec roześmieje się i nie będzie już wyglądał na takiego zawstydzonego, nieszczęśliwego i zagniewanego.

Więc zapytał.

Ojciec się roześmiał.

- To Jan Paweł. Zawsze chce robić więcej, niż potrafi.

Kobieta przyjrzała się chłopcu.

- Ile ma lat?

- Jeszcze nie ma szczęścia - odparła ostro mama.

- Aha - powiedziała kobieta. - Domyślam się zatem, że to jest Mikołaj, to Tomasz, a to Andrzej?

- A mnie pani nie sprawdzi? - upomniął się Piotr.

- Obawiam się, że jesteś już za duży. Zanim Flota uzyskała dostęp do krajów niesubordynowanych...

Umilkła.

Piotr wstał i ponury wyszedł z pokoju.

- Czemu nie dziewczęta? - zapytała Kasia.

- Bo dziewczęta nie chcą być żołnierzami - stwierdziła Anna.

I nagle Jan Paweł uświadomił sobie, że nie będzie to przypominało zwykłych rządowych egzaminów. Do tego testu Piotr chciał podejść, a Kasia była zazdrosna, że dziewczęta nie są dopuszczane.

Jeśli ten test miał sprawdzać, czy ktoś nadaje się na żołnierza, głupio robili, zakładając, że Piotr jest już za duży. Był jedynym z rodzeństwa, który osiągnął wzrost dorosłego mężczyzny. Wydaje im się, że Andrzej albo Mikołaj mogą nosić karabiny i zabijać ludzi? Może Tomek by potrafił, ale był trochę za gruby, choć wysoki. Nie przypominał żadnego z żołnierzy, których widział Jan Paweł.

- Którego chce pani na początek? - spytała mama. - I czy może pani zająć sypialnię, żebym nie musiała przerywać lekcji?

- Przepisy wymagają przeprowadzenia testu w pokoju z wyjściem na ulicę, przy otwartych drzwiach - oświadczyła kobieta.

- Ależ na miłość... Nie zrobimy pani krzywdy - zapewnił ojciec.

Kobieta tylko spojrzała na niego, potem na mamę i oboje rodzice zrezygnowali. Jan Paweł zrozumiał - ktoś został skrzywdzony przy przeprowadzaniu testu. Kogoś wprowadzono do pokoju na tyłach i ktoś go zranił. Albo może zabił. To niebezpieczna sprawa. Niektórych ludzi te testy muszą złościć jeszcze bardziej niż ojca i mamę.

Dlaczego ojciec i mama nienawidzą i boją się czegoś, czego tak pragną Piotr i Kasia?

Prowadzenie normalnych lekcji w sypialni dziewcząt okazało się niemożliwe, choć stało tam najmniej łóżek. W końcu mama zarządziła ciche czytanie, a sama zajęła się jednym z maluchów.

Kiedy Jan Paweł zapytał, czy może poczytać w innym pokoju, zgodziła się.

Oczywiście zakładała, że chodziło mu o drugą sypialnię, bo zawsze kiedy ktoś z rodziny mówił „w drugim pokoju”, miał na myśli sypialnię. Ale Jan Paweł nie miał zamiaru tam chodzić. Poszedł do kuchni.

Dopóki trwały testy, ojciec i mama zakazali dzieciom wchodzić do saloniku. Nie powstrzymało to jednak Jana Pawła przed zajęciem miejsca na podłodze, tuż za drzwiami. Czytał książkę i słuchał.

Co jakiś czas wyczuwał, że kobieta od testów zerka na niego, ale nic nie mówiła, więc czytał dalej. Wziął książkę o życiu świętego Jana Pawła II, wielkiego polskiego papieża, na którego cześć otrzymał imię. Jan Paweł był zafascynowany lekturą, ponieważ w końcu znalazł odpowiedzi na niektóre ze swoich pytań o to, dlaczego katolicy są inni i czemu Hegemon ich nie lubi.

Ale czytając, słuchał też wszystkich testów. Nie przypominały tych rządowych, z pytaniami o fakty, sprawdzaniem, czy wymyśli się rozwiązanie matematyczne albo nazwie część mowy. Zamiast tego kobieta zadawała chłopcom pytania, które właściwie nie miały prawidłowych odpowiedzi. O to, co lubią i czego nie lubią, albo dlaczego ludzie robią to, co robią. Dopiero po jakichś piętnastu minutach takiej rozmowy zaczynała test pisemny, pewnie z bardziej typowymi zadaniami.

Właściwie na początku Jan Paweł nie domyślił się, że te początkowe pytania też są częścią testu. Dopiero kiedy okazało się, że kobieta pyta każdego z braci o to samo i zadaje dodatkowe pytania, różne w zależności od odpowiedzi, zaczął pojmować, że to fragment testu. A z tego, jak bardzo się angażowała, jak była spięta, wywnioskował, że jej zdaniem te pytania są ważniejsze niż część pisemna.

Jan Paweł chciałby też odpowiedzieć. Chciał poddać się testowi. Lubił testy. Zawsze odpowiadał w myślach, kiedy zdawały starsze dzieci, żeby sprawdzić, czy znajdzie tyle odpowiedzi co one.

Kiedy więc skończyła z Andrzejem, Jan Paweł chciał zapytać, czy też może spróbować. Nie zdążył, gdyż kobieta zwróciła się do mamy:

- Ile on ma lat?
- Mówiliśmy przecież. Dopiero pięć.
- Proszę spojrzeć, co on czyta.
- Tylko przewraca strony. To taka zabawa. Patrzy, jak starsze dzieci czytają, a potem je naśladuje.
- On czyta - upierała się kobieta.

- Aha. Czyli jest tu pani od godziny, a już wie pani o moich dzieciach więcej ode mnie, chociaż ja uczę je po kilka godzin dziennie?

Kobieta nie próbowała się spierać.

- Jak ma na imię?

Mama milczała.

- Jan Paweł - odpowiedział Jan Paweł.

Mama popatrzyła na niego gniewnie. Andrzej również.

- Chcę też zdawać test.

- Jesteś za mały - oświadczył Andrzej po polsku.

- Za trzy tygodnie będę miał sześć lat. - Jan Paweł mówił we wspólnym. Chciał, żeby kobieta go zrozumiała.

Kiwnęła głową.

- Wcześniejszy test jest dozwolony.

- Dozwolony, ale nie wymagany - oświadczył ojciec, wchodząc do pokoju. - Co on tu robi?

- Powiedział, że idzie do drugiego pokoju, żeby poczytać - wyjaśniła mama. - Myślałam, że chodzi mu o drugą sypialnię.

- Jestem w kuchni - wyjaśnił Jan Paweł.

- W niczym nie przeszkadzał - zapewniła kobieta.

- A szkoda - powiedział ojciec.

- Chciałabym go przetestować.

- Nie.

- Ktoś przecież będzie musiał przyjść tu za trzy tygodnie i wtedy to zrobić - uprzedziła kobieta. - Drugi raz popsuje wam cały dzień. Nie lepiej załatwić to od razu?

- On słyszał odpowiedzi - przypomniała mama. - Przecież siedział tu i słuchał.

- To nie jest taki typ testu. Nie szkodzi, że słyszał odpowiedzi.

Jan Paweł widział już, że mama i ojciec w końcu ustąpią, więc nie starał się nic mówić, żeby na nich wpłynąć. Nie chciał zbyt często korzystać ze swojej umiejętności znajdowania odpowiednich słów, bo ktoś mógłby się zorientować, a wtedy przestanie to działać. Dyskusja trwała jeszcze kilka minut, ale w końcu Jan Paweł usiadł na kanapie obok kobiety.

- Naprawdę czytałem - powiedział.

- Wiem - odparła kobieta.

- Skąd?

- Bo przewracałeś strony w równym tempie. Bardzo szybko czytasz, prawda?

Jan Paweł przytaknął.

- O ile to coś ciekawego.

- A święty Jan Paweł II był ciekawym człowiekiem?

- Robił to, co uważał za słuszne.

- Imię dostałeś po nim?

- Był bardzo odważny - wyjaśnił Jan Paweł. - Nigdy nie robił tego, czego chcieli od niego źli ludzie, jeśli uważał, że to ważne.

- Jacy źli ludzie?

- Komuniści.

- A skąd wiesz, że to byli źli ludzie? Czy tak jest napisane w książce?

Nie wprost, uświadomił sobie Jan Paweł.

- Zmuszali ludzi do różnych rzeczy. Próbowali ich karać za to, że są katolikami.

- A to źle?

- Bóg jest katolikiem - oświadczył Jan Paweł.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Muzułmanie uważają, że Bóg jest muzułmaninem.

Jan Paweł przetrwał tę informację.

- Niektórzy myślą, że Bóg nie istnieje.

- To prawda - zgodziła się kobieta.

- Co? - zapytał.

- Że niektórzy myślą, że Bóg nie istnieje. Ja sama nie wiem. Nie mam żadnej opinii na ten temat.

- To znaczy, że nie wierzy pani w Boga - oświadczył Jan Paweł.

- Doprawdy?

- Tak twierdził święty Jan Paweł II. Jeśli mówi pani, że nie wie albo nie przejmuję się Bogiem, to wierzy pani, że nie istnieje. Bo gdyby miała pani choćby nadzieję, że On istnieje, bardzo by się pani przejmowała.

Roześmiała się tylko.

- Przewracasz tylko strony, co?

- Mogę odpowiedzieć na wszystkie pytania - zapewnił.

- Zanim jeszcze je zadam?

- Nie uderzyłbym go - rzekł Jan Paweł, odpowiadając na pytanie, co by zrobił, gdyby przyjaciel próbował mu zabrać jakąś jego własność. - Bo wtedy nie byłby moim przyjacielem. Ale też nie pozwoliłbym mu zabrać tej rzeczy.

Pytanie uzupełniające brzmiało: „A jakbyś go powstrzymał?”, więc Jan Paweł mówił dalej, nie czekając.

- Powiedziałbym: „Możesz to wziąć. Daję ci to. Jest teraz twoje. Bo wolę raczej mieć ciebie za przyjaciela, niż mieć tę rzecz”.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - zdziwiła się kobieta.

- To nie jest pytanie z testu - zauważył Jan Paweł.

Pokręciła głową.

- Rzeczywiście nie jest.

- Myślę, że czasami trzeba kogoś zranić - oświadczył Jan Paweł, odpowiadając na następne pytanie, które brzmiało „Czy możliwa jest sytuacja, kiedy masz prawo zranić inną osobę?”.

Odpowiedział na wszystkie pytania, łącznie z uzupełniającymi, nie czekając, aż zada mu choćby jedno. Odpowiadał na nie w kolejności, w jakiej stawiała je braciom.

- Teraz część pisemna - powiedział, kiedy skończył. - Nie znam pytań, bo ich nie widziałem, a pani nie przeczytała ich głośno.

Okazały się łatwiejsze, niż przypuszczał. Dotyczyły kształtów, pamiętania różnych rzeczy, wybierania właściwych zdań i obliczeń - takie tam. Ciągłe patrzyła na zegarek, więc się spieszył.

Kiedy skończył, siedziała tylko i patrzyła na niego.

- Dobrze wypadłem? - zapytał Jan Paweł.

Kiwnęła głową.

Przyjrzał się jej - jak siedzi, jak nie porusza dłońmi, jak na niego patrzy. Jak oddycha. Zrozumiał, że jest bardzo podniecona i bardzo się stara zachować spokój. Dlatego właśnie się nie odzywa. Nie chce, żeby wiedział.

Ale on wiedział.

Był tym, kogo szukała..

- Niektórzy mogliby uznać, że to jest właśnie powód, dla którego kobiety nie mogą przeprowadzać testów - stwierdził pułkownik Sillain.

- Ci ludzie byliby psychicznie niedojrzali - odparła Helena Rudolf.

- Zbyt są podatne na słodką buzię - mówił dalej Sillain. - Skłonne do różnych achów i ochów, do tłumaczenia wątpliwości na korzyść dzieciaka i w ogóle.

- Na szczęście pan nie żywi takich podejrzeń.

- Nie. To dlatego, że przypadkiem wiem o pani całkowitym braku serca.

- No właśnie. Nareszcie dobrze się rozumiemy.

- I twierdzi pani, że ten polski pięciolatek jest czymś więcej niż nad wiek rozwiniętym dzieckiem?

- Niebo świadkiem, że to główny fakt, jaki wykrywają nasze testy: ogólny rozwój ponad wiek.

- W opracowaniu są już lepsze testy. Koncentrujące się na uzdolnieniach militarnych. U dzieci młodszych, niż mogłaby pani przypuszczać.

- Szkoda, że jest już prawie za późno.

Pułkownik Sillain wzruszył ramionami.

- Istnieje teoria, która mówi, że tak naprawdę nie musimy ich poddawać pełnemu cyklowi szkolenia.

- Tak, tak. Czytałam o tym, jaki młody był Aleksander. Pomogło jednak, że był synem władcy i że walczył przeciwko armiom pozbawionych motywacji najemników.

- Uważa więc pani, że robale mają motywację?

- Robale są marzeniem każdego dowódcy - oświadczyła Helena. - Nie kwestionują rozkazów, tylko je wykonują. Wszystkie.

- Ale są też koszmarem każdego dowódcy - zauważył Sillain. - Nie myślą samodzielnie.

- Jan Paweł Wieczorek jest realny. A za trzydzieści pięć lat będzie miał czterdziestkę. Nie trzeba będzie sprawdzać teorii Aleksandra.

- Teraz mówi pani, jakby była przekonana, że to właśnie on.

- Tego nie wiem - przyznała Helena. - Ale jest niezwykle. To wszystko, co mówi...

- Czytałam raport.

- Kiedy powiedział „Bo wolę raczej mieć ciebie za przyjaciela, niż mieć tę rzecz”, aż mnie zatkało. Przecież on ma pięć lat!

- I czy to nie wzbudziło pani podejrzliwości? Wydaje się, że został specjalnie przygotowany.

- Nie był. Jego rodzice nie chcieli pozwolić na przetestowanie żadnego z dzieci, a już jego szczególnie, skoro jest za mały i w ogóle.

- Powiedzieli, że nie chcą.

- Ojciec nie poszedł do pracy, żeby spróbować mnie powstrzymać.
- Albo żeby pani myślała, że chce ją powstrzymać.
- Nie stać go na to, żeby stracić dzienną wypłatę. Niesubordynowani rodzice nie dostają płatnych urlopów.
- Wiem - zgodził się Sillain. - Cóż by to była za ironia losu, gdyby ten Jan Paweł jakiś tam...
- Wieczorek.
- Właśnie. Cóż by to była za ironia, gdyby po wszystkich naszych wysiłkach opanowania przyrostu naturalnego... z powodu wojny, oczywiście... okazało się, że dowódcą floty ma być siódmy syn niesubordynowanych rodziców?
- Owszem, to bardzo ironiczne.
- O ile pamiętam, jedna z teorii mówiła, iż z kolejności narodzin wynika, że tylko pierworodni będą mieli potrzebną nam osobowość.
- Jeśli inne cechy są identyczne. A nie są.
- Trochę za bardzo uprzedzamy wypadki, pani kapitan - mruknął Sillain. - Rodzice raczej nie wyrażą zgody, prawda?
- Nie, raczej nie - przyznała Helena.
- Czyli to dość akademicki problem.
- Nie, jeżeli...
- Tak, to byłoby wyjątkowo rozsądne z naszej strony, gdybyśmy z powodu dzieciaka doprowadzili do incydentu międzynarodowego. - Sillain rozparł się wygodnie w fotelu.
- Nie sędzę, żeby doszło do międzynarodowego incydentu.
- Traktat z Polską bardzo mocno akcentuje władzę rodzicielską, konieczność poszanowania praw rodziny i tak dalej.
- Polacy bardzo by chcieli dołączyć do reszty świata. Nie powołają się na ten paragraf, jeśli damy im do zrozumienia, jak ważny jest chłopiec.
- A jest? - zapytał Sillain. - To kluczowy problem. Czy warto dla niego ryzykować wdepnięcie w taką śmierdzącą sprawę.
- Kiedy zacznie śmierdzieć, zawsze możemy się wycofać.
- Widzę, że bardzo pilnie studiowała pani kwestie public relations.
- Niech pan sam go obejrzy, pułkowniku - zaproponowała Helena. - Za parę dni będzie miał sześć lat. Wtedy mi pan powie, czy warto ryzykować dla niego incydent międzynarodowy.

Nie w taki sposób Jan Paweł zamierzał spędzić urodziny. Mama przez cały dzień robiła lizaki z cukru wyproszonego u sąsiadów, a Jan Paweł chciał je ssać, nie gryźć, żeby wystarczyły na długo, jak najdłużej. Ale ojciec kazał mu albo wypłuć słodkość do śmieci, albo połknąć, więc teraz wszystko było już dawno połknięte. A cały dramat przez tych ludzi z Międzynarodowej Floty.

- Wstępne badania dały nam pewne wątpliwe rezultaty - wyjaśnił mężczyzna. - Może dlatego, że chłopiec wcześniej słyszał pytania. Chcemy uściślić informacje, to wszystko.

Kłamał - to było oczywiste, łatwe do poznania z tego, jak się poruszał, jak nieruchomo patrzył ojcu prosto w oczy. Kłamca, który wie, że kłamie, i stara się wyglądać tak, jakby wcale nie kłamał. Tomek zawsze się tak zachowywał. Potrafił oszukać ojca, ale nigdy mamę. I nigdy Jana Pawła.

Dlaczego ten człowiek kłamał? Czemu właściwie przyszedł jeszcze raz go przetestować?

Jan Paweł pamiętał, co sobie pomyślał, kiedy ta kobieta przeprowadziła z nim test trzy tygodnie temu - że znalazła tego, kogo szukała. Ale potem nic się nie działo, więc uznał, że musiał się pomylić. A teraz wróciła z mężczyzną, który kłamie.

Rodzina musiała wyjść do innych pokoi. Był wieczór - pora, żeby ojciec poszedł do swojej drugiej pracy, ale przecież nie mógł, póki ci ludzie byli w domu. Dowiedzieliby się, odgadli albo zaczęli zastanawiać, co robi przez długie godziny wieczorem. A więc im dłużej to potrwa, tym mniej będą mieli jedzenia, tym mniej ubrań.

Mężczyzna wyprosił z pokoju nawet kobietę. To zirytowało Jana Pawła. Kobietę lubił.

I wcale mu się nie podobało to, jak mężczyzna rozgląda się po domu. Jak patrzy na dzieci. Na mamę i ojca. Jakby uważał się za kogoś lepszego od nich.

Zadał pytanie.

Jan Paweł odpowiedział po polsku, nie we wspólnym.

Mężczyzna spojrzał na niego tępo.

- Myślałem, że zna wspólny! - zawołał.

Kobieta wsunęła głowę do pokoju - najwyraźniej wyszła tylko do kuchni.

- Zna. Mówi płynnie.

Mężczyzna przyjrzał się chłopcu; poczucie wyższości gdzieś zniknęło.

- W co się ze mną bawisz?

Jan Paweł odpowiedział znowu po polsku.

- Jesteśmy biedni tylko z tego powodu, że Hegemon karze katolików za posłuszeństwo wobec Boga.

- We wspólnym, proszę - powiedział mężczyzna.

- Ten język nazywa się angielski - wyjaśnił po polsku Jan Paweł. - I dlaczego w ogóle mam z panem rozmawiać?

Mężczyzna westchnął.

- Przepraszam, że zająłem ci czas.

Wstał.

Kobieta wróciła. Myśleli, że szepczą do ciebie całkiem cicho, ale jak większość dorosłych nie sądzili, że dzieci rozumieją poważną rozmowę. Dlatego nie uważali specjalnie na to, żeby ich nie słyszał.

- On się z panem drażni - powiedziała kobieta.

- Tak, zauważyłem - przyznał kwaśno mężczyzna.

- Więc jeśli pan wyjdzie, on wygra.

Dobre, uznał Jan Paweł. Kobieta nie jest głupia. Wie, co powiedzieć, żeby ten mężczyzna zrobił, co ona zechce.

- I może wygra ktoś jeszcze.

Podeszła do Jana Pawła.

- Pułkownik Sillain uważa, że kłamałam, kiedy mówiłam, jak dobrze wypadłeś w teście.

- A jak dobrze wypadłem? - zapytał Jan Paweł we wspólnym.

Kobieta uśmiechnęła się lekko i zerknęła na Sillaina.

Pułkownik usiadł.

- No dobrze. Jesteś gotowy?

- Jestem gotowy, jeśli będzie pan mówił po polsku - oznajmił Jan Paweł po polsku.

Pułkownik niecierpliwie zwrócił się do kobiety.

- Czego on chce?

- Niech pani mu powie - poprosił Jan Paweł we wspólnym - że nie chcę być sprawdzany przez człowieka, który uważa moją rodzinę za męty.

- Wcale tak nie uważam - zapewnił mężczyzna.

- Kłamca - stwierdził po polsku Jan Paweł.

Spojrzał na kobietę. Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Ja też nie znam polskiego.

- Rządzicie nami - powiedział do niej Jan Paweł we wspólnym - ale nie chce się wam nawet nauczyć naszego języka. To my mamy się uczyć waszego.

Roześmiała się.

- To nie jest mój język. Ani jego. Wspólny to zuniwersalizowany dialekt angielskiego, a ja jestem Niemką. On - wskazała Sillain - pochodzi z Finlandii. Nikt już nie mówi jego językiem. Nawet Finowie.

- Posłuchaj - zwrócił się do chłopca pułkownik. - Nie mam czasu na takie zabawy. Ty znasz wspólny, a ja nie znam polskiego, więc odpowiadaj na pytania we wspólnym.

- Bo co mi pan zrobi? - zapytał po polsku Jan Paweł. - Wsadzi mnie do więzienia?

Zabawnie było patrzeć, jak pułkownik robi się coraz bardziej i bardziej czerwony, ale wtedy do pokoju wszedł ojciec. Wyglądał na zmęczonego.

- Synu - powiedział. - Zrób to, o co prosi ten człowiek.

- Chcą mnie wam odebrać - poskarżył się Jan Paweł we wspólnym.

- Nic podobnego - zaprotestował pułkownik.

- On kłamie - stwierdził Jan Paweł.

Pułkownik znów poczerwieniał.

- I nienawidzi nas. Uważa, że jesteśmy biedni i że to obrzydliwe mieć tak dużo dzieci.

- To nieprawda! - zapewnił Sillain.

Ojciec nie zwrócił na niego uwagi.

- Bo jesteśmy biedni, synku.

- Ale tylko z powodu Hegemonii.

- Lepiej nie łap mnie za słowa - rzekł ojciec. Ale przeszedł na polski. - Jeżeli nie zrobisz tego, co chcą, mogą ukarać mamę i mnie.

Ojciec czasami też wiedział, co należy powiedzieć.

Jan Paweł zwrócił się więc do pułkownika.

- Nie chcę zostawać z panem sam. Chcę, żeby ta pani tu była na czas testu.

- Częścią testu jest sprawdzenie, czy umiesz wykonywać rozkazy.

- W takim razie nie zdałem.

Kobieta i ojciec roześmiali się jednocześnie.

Pułkownik nie.

- To oczywiste, kapitan Rudolf, że dziecko nauczono takiej wrogiej postawy. Chodźmy stąd.

- Nikt go tego nie uczył - zaprotestował ojciec.

Jan Paweł zauważył, że jest zmartwiony.

- Nikt mnie nie uczył - potwierdził.

- Matka nie wiedziała nawet, że potrafi czytać na poziomie uniwersyteckim - poinformowała cichym głosem kobieta.

Poziom uniwersytecki? Jan Paweł uznał, że to śmieszne. Kiedy człowiek już poznał litery, czytanie było czytaniem. Jak można czytać na różnych poziomach?

- Chciała, żeby pani tak pomyślała - uznał pułkownik.

- Moja mama nie kłamie! - oburzył się Jan Paweł.

- Nie, nie. Oczywiście, że nie - wystraszył się pułkownik. - Nie chciałem sugerować...

Teraz dopiero zdradził prawdę. Że się boi. Boi się, że Jan Paweł nie zechce jednak podejść do tego testu. Jego strach oznaczał, że Jan Paweł panuje nad sytuacją. Nawet bardziej niż mu się początkowo wydawało.

- Odpowiem na pytania - obiecał. - Jeżeli pani zostanie.

Tym razem wiedział, że pułkownik się zgodzi.

W sali konferencyjnej w Berlinie zebrało się kilkunastu ekspertów i dowódców wojskowych. Wszyscy już czytali raporty Sillaina i Heleny. Widzieli wyniki testu Jana Pawła Wieczorka. Oglądali nagranie rozmowy pułkownika Sillaina i Jana Pawła Wieczorka przed, w trakcie i po przeprowadzeniu testu.

Helenę bawiło to, że Sillain tak się denerwuje, kiedy wszyscy patrzą, jak manipuluje nim sześciolatek z Polski. Wtedy nie było to takie jasne, ale gdy oglądało się wid raz za razem, stawało się boleśnie oczywiste. I chociaż wszyscy przy stole zachowywali się bardzo uprzejmie, zauważyła kilka uniesionych brwi, kiwnięcie głową i parę półuśmiechów, gdy Jan Paweł powiedział: „W takim razie nie zdałem”.

Pod koniec widu rosyjski generał z biura Strategosa nie wytrzymał.

- Czy on blefował? - zapytał.

- Ma sześć lat - przypomniał młody Hindus reprezentujący Polemarchę.

- To właśnie jest przerażające - powiedział młody oficer, wykładowca ze Szkoły Bojowej. - Dotyczy właściwie wszystkich uczniów Szkoły Bojowej. Większość ludzi przez całe życie nie spotyka ani jednego podobnego dziecka.

- A więc, kapitanie Graff - rzucił Hindus - uważa pan, że nie ma w nim nic szczególnego?

- Oni wszyscy są bardzo szczególni - odparł Graff. - Lecz ten... Wyniki osiągnął znakomite, najwyższy poziom. Nie najlepsze, jakie oglądałem, ale też testy nie są w stanie przewidywać rozwoju tak dobrze, jak byśmy sobie życzyli. Ale największe wrażenie robią jego umiejętności negocjacyjne.

Helena chciała już powiedzieć: lub ich brak u pułkownika Sillaina. Ale wiedziała, że byłaby niesprawiedliwa. Sillain spróbował blefu, a chłopak go sprawdził. Kto mógł przewidzieć, że starczy mu odwagi na takie zagranie?

- No cóż - stwierdził Hindus. - To z pewnością dowodzi, że otwarcie Szkoły Bojowej dla krajów niesubordynowanych było rozsądnym posunięciem.

- Jest tylko jeden problem, kapitanie Chamrajnagar - przypomniał Graff. - W żadnym z dokumentów, ani na widzie, ani podczas naszej rozmowy, nikt nawet nie zasugerował, że chłopiec zechce polecieć.

Zapadła cisza.

- Nie, oczywiście, że nie - zgodził się Sillain. - To spotkanie jest pierwsze. Zauważyliśmy pewną wrogość rodziców... Ojciec nie poszedł do pracy, kiedy Helena, czyli kapitan Rudolf przysłała zbadać trzech starszych synów. Myślę, że możemy natrafić na kłopoty. Musimy więc ustalić jeszcze przed zasadniczą rozmową, jakimi środkami nacisku będę dysponował.

- To znaczy - upewnił się Graff - środkami, by zmusić tę rodzinę do ustępstw?

- Albo ją zachęcić - uzupełnił Sillain.

- Polacy to ludzie uparci - wtrącił rosyjski generał. - Upór tkwi w ich słowiańskim charakterze.

- Jesteśmy bardzo bliscy opracowania testów prognozujących zdolności militarne z dokładnością rzędu dziewięćdziesięciu procent - poinformował Graff.

- A macie testy do pomiaru zdolności dowódczych? - zapytał Chamrajnagar.

- To jedna ze składowych.

- Bo ten chłopak je ma. Wychodzące poza skalę. Nigdy nie widziałem tej skali, ale wiem.

- Prawdziwe szkolenie dowódców odbywa się w czasie gry - wyjaśnił Graff. - Ale owszem, sądzę, że chłopiec doskonale sobie z nią poradzi.

- Jeśli się zgodzi - mruknął Rosjanin.

- Wydaje mi się - oświadczył Chamrajnagar - że to nie pułkownik Sillain powinien wykonać kolejny ruch.

Sillain aż się zapienił. Helena miała ochotę się uśmiechnąć, jednak się powstrzymała.

- Pułkownik Sillain jest szefem naszego zespołu - powiedziała tylko. - Zatem, zgodnie z protokołem...

- Naraził już swój autorytet. Zapewniam, że nie krytykuję pułkownika. Nie wiem, komu z nas poszłoby lepiej. Ale chłopiec zmusił go do kapitulacji, a to raczej nie pomaga w nawiązaniu udanego kontaktu.

Sillain był doświadczonym karierowiczem i wiedział, kiedy należy wręczyć własną głowę na tacy.

- W żadnym razie nie chcę przeszkodzić pomyślnemu zakończeniu misji, naturalnie.

Helena wiedziała, że musi być wściekły na Chamrajnagara, ale nie okazywał tego.

- Jednak pytanie, jakie zadał pułkownik Sillain, pozostaje w mocy - przypomniał Graff. - Jakie uprawnienia otrzyma negocjator?

- Wszelkie, jakie okażą się konieczne - stwierdził rosyjski generał.

- Ale tego właśnie nie wiemy.

Odpowiedział Chamrajnagar:

- Wydaje mi się, że mój kolega z biura Strategosa chciał w ten sposób powiedzieć, iż jakkolwiek zachętę negocjator uzna za odpowiednią, może liczyć na poparcie Strategosa. Zapewniam, że urząd Polemarchy reprezentuje ten sam pogląd.

- Nie wydaje mi się, żeby chłopak był aż tak ważny - wtrącił Graff. - Szkoła Bojowa istnieje ze względu na konieczność szkolenia wojskowego już w dzieciństwie, aby wytworzyć właściwe odruchy w sposobie myślenia, poruszania i kierowania. Ale dysponujemy wystarczającą ilością danych sugerujących...

- Znamy tę historię - przerwał mu generał.

- Nie zaczynamy od początku tej dyskusji - dodał Chamrajnagar.

- Istnieje wyraźnie obserwowalny spadek wyników w chwili, gdy uczniowie osiągają dojrzałość - oświadczył Graff. - To fakt, niezależnie od tego, czy wnioski nam odpowiadają.

- Wiedzą więcej, ale radzą sobie gorzej? - zdziwił się Chamrajnagar. - To nie brzmi rozsądnie. Trudno uwierzyć w coś takiego, a nawet uwierzywszy, trudno zinterpretować.

- To znaczy, że nie musimy dostać tego chłopca, ponieważ nie musimy czekać, aż dziecko dorośnie.

Rosjanin był zdeglustowany.

- Mamy oddać wojnę w ręce dzieci? Obyśmy nigdy nie znaleźli się w tak rozpaczliwej sytuacji.

Przez chwilę panowała cisza; wreszcie odezwał się Chamrajnagar. Zapewne słuchał instrukcji przez mikrosluchawkę.

- Biuro Polemarchy uważa, że ponieważ dane, o których wspomina kapitan Graff, nie są jeszcze kompletne, ostrożność nakazuje postępować tak, jakbyśmy rzeczywiście musieli

pozyskać tego chłopca. Czasu jest coraz mniej i trudno przewidzieć, czy naprawdę nie jest naszą ostatnią taką szansą.

- Strategos się zgadza - oznajmił rosyjski generał.

- Oczywiście - ustąpił Graff. - Jak powiedziałem, wyniki nie są jeszcze ostateczne.

- Zatem - podsumował pułkownik Sillain - pełne uprawnienia, ktokolwiek będzie negocjował.

- Sądzę - rzekł Chamrajnagar - że komendant Szkoły Bojowej pokazał wyraźnie, do kogo na powierzchni ma największe zaufanie.

Wszystkie oczy skierowały się ku kapitanowi.

- Z chęcią przyjąłbym towarzystwo kapitan Rudolf - powiedział Graff. - Jak wynika z zapisów, ten chłopak z Polski woli, kiedy jest obecna.

Kiedy tym razem zjawili się ludzie z Floty, ojciec i mama lepiej się przygotowali. Ich przyjaciółka, Magda, była prawnikiem i chociaż jako niesubordynowanej zakazano jej praktyki, teraz siedziała między nimi na kanapie.

Jana Pawła nie było w pokoju.

- Nie pozwólcie im zastraszyć dziecka - powiedziała Magda.

I to był koniec dyskusji. Mama i ojciec natychmiast wygonili go z pokoju, więc nawet nie widział, jak tamci wchodzi.

Mógł jednak słuchać z kuchni. Natychmiast poznał, że nie ma z nimi tego człowieka, którego nie lubił - pułkownika. Przyszła ta sama kobieta co przedtem w towarzystwie innego mężczyzny. Jego głos nie miał w sobie tonów kłamstwa. Zwracała się do niego „kapitanie Graff”.

Kiedy padły już wszystkie zwykłe uprzejmości - wskazanie miejsc, pytanie, czego się kto napije - kapitan Graff od razu przeszedł do rzeczy.

- Widzę, że nie chcą państwo pokazać mi chłopca.

- Rodzice uznali, że dla własnego dobra nie powinien być tutaj obecny - oświadczyła Magda tonem wyższości.

Chwila ciszy.

- Magdalena Teczło - stwierdził spokojnie Graff. - Ci mili ludzie mogą oczywiście zaprosić przyjaciółkę, żeby towarzyszyła im dzisiaj. Ale nie chciałbym sądzić, że może pani służyć im jako adwokat.

Jeśli Magda odpowiedziała, Jan Paweł tego nie słyszał.

- Chciałbym teraz zobaczyć chłopca - oznajmił Graff.

Ojciec zaczął tłumaczyć, że syn nie przyjdzie, więc jeśli to wszystko, czego goście sobie życzą, mogą od razu iść do domu.

I znowu cisza. Jan Paweł nie słyszał, by kapitan Graff wstawał z fotela, a nie da się tego przeprowadzić bezgłośnie. A zatem siedział tam bez słowa - nie wychodził, ale też nie próbował ich przekonać.

Szkoda, bo Jan Paweł chętnie by usłyszał, co powie, by skłonić ich do ustąpienia. To, jak uciszył Magdę, było naprawdę zastanawiające. Jan Paweł koniecznie musiał zobaczyć, co się dzieje... Wsunął się więc zza ścianki działowej i patrzył.

Graff nic nie robił. W jego wzroku nie było groźby, nie próbował niczego wymusić. Spoglądał uprzejmie na mamę, potem na ojca, znów na mamę, prześlizgując się po twarzy Magdy. Całkiem jakby nie istniała - nawet jej ciało zdawało się mówić: nie zwracajcie na mnie uwagi, naprawdę wcale mnie tu nie ma.

Graff odwrócił głowę i popatrzył wprost na Jana Pawła.

Jan Paweł obawiał się, że ten człowiek powie coś i narobi mu kłopotów, ale Graff przyglądał mu się tylko przez moment, po czym znów wrócił spojrzeniem do mamy i ojca.

- Rozumieją państwo, oczywiście... - zaczął.

- Nie, nie rozumiem - przerwał mu ojciec. - Nie zobaczy pan naszego syna, dopóki nie postanowimy, że może go pan zobaczyć, a w tym celu musi pan przyjąć nasze warunki.

Graff spojrzał na niego obojętnie.

- Nie jest żywicielem rodziny - zauważył. - Na jakie trudności może się pan powołać?

- Nie chcemy jałmużny - oświadczył gniewnie ojciec. - Nie zależy nam na rekompensacie.

- Chcę tylko porozmawiać z chłopcem - zapewnił Graff.

- Ale nie sam - zaznaczył ojciec.

- W naszej obecności - wyjaśniła mama.

- Mnie to nie przeszkadza. Ale mam wrażenie, że Magdalena siedzi na jego miejscu.

Po krótkim wahaniu Magda wstała i wyszła z domu. Drzwi trzasnęły tylko trochę głośniejsze niż zwykle.

Graff skinął na Jana Pawła, który wszedł do pokoju i usiadł na kanapie między rodzicami.

Kapitan zaczął opowiadać mu o Szkole Bojowej. Że poleci w kosmos, by się uczyć, jak być żołnierzem, a później pomóc w walce z robalami, kiedy przylecą dokonać kolejnej inwazji.

- Możesz pewnego dnia prowadzić flotyllę do bitwy - mówił. - Albo dowodzić marines, którzy wyrąbują sobie drogę przez wrogi okręt.

- Nie mogę lecieć - stwierdził Jan Paweł.

- Dlaczego nie?

- Musiałbym opuszczać lekcje. Mama nas uczy, tutaj, w tym pokoju.

Graff nie odpowiedział. Studiował tylko pilnie twarz chłopca. Jan Paweł poczuł się nieswojo.

- Tam też będziesz miał nauczycieli - odezwała się kobieta z Floty. - W Szkole Bojowej.

Jan Paweł nawet na nią nie spojrzał. Powinien obserwować Graffa. Dzisiaj Graff miał całą władzę. Wreszcie i on się odezwał.

- Uważasz, że nie byłoby sprawiedliwie, gdybyś ty trafił do Szkoły Bojowej, a twoja rodzina została tutaj i z trudem walczyła o środki do życia.

Jan Paweł nie pomyślał o tym. Ale skoro Graff zasugerował...

- Jest nas dziewięcioro. Mamie bardzo trudno uczyć nas wszystkich naraz.

- A gdyby Flota przekonała rząd polski...

- Polska nie ma swojego rządu - oznajmił Jan Paweł, po czym uśmiechnął się do ojca, który aż się rozpromienił.

- Obecne władze Polski - poprawił się spokojnie Graff. - Gdybyśmy ich przekonali, żeby zniesli sankcje dotyczące twoich braci i sióstr?

Jan Paweł zastanowił się. Spróbował sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby wszyscy mogli pójść do szkoły. Lżej dla mamy. To dobrze.

Zerknął na ojca.

Ojciec zamrugał. Jan Paweł znał tę jego minę - próbował nie zdradzać, że jest rozczarowany. Czyli coś jest nie w porządku.

Oczywiście. Ojca też dotknęły sankcje. Andrzej tłumaczył kiedyś, że zabronili ojcu pracować w jego prawdziwym zawodzie. Powinien wykładać na uniwersytecie, a zamiast tego przez cały dzień siedział jako urzędnik przy komputerze, nocą zaś nielegalnie wykonywał różne prace fizyczne dla katolickiego podziemia. Jeśli mogą znieść sankcje wobec dzieci, to czemu nie wobec mamy i ojca?

- Dlaczego nie mogą zmienić wszystkich tych głupich zakazów?

Graff spojrzał na kobietę z Floty, potem na rodziców.

- Nawet gdybyśmy mogli - powiedział - czy powinniśmy?

Mama pogłodziła syna po plecach.

- Jan Paweł chciałby jak najlepiej, ale oczywiście nie możemy się na to zgodzić. Nawet w kwestii kształcenia dzieci.

Jan Paweł od razu się rozzłościł. Co to znaczy „oczywiście”? Gdyby tylko zadali sobie trochę trudu i spróbowali mu wytłumaczyć, nie robiłby teraz głupich błędów. Ale nie; nawet kiedy przyszli ci ludzie z Floty, dowodząc, że Jan Paweł nie jest głupim dzieciakiem, i tak traktowali go jak głupiego dzieciaka.

Nie okazał jednak, jaki jest wściekły. Z ojcem to i tak nigdy nie pomagało, a mama tylko się denerwowała i wtedy nie myślała najlepiej.

Dlatego w odpowiedzi zrobił tylko niewinną minę i szeroko otworzył oczy.

- Czemu? - zapytał.

- Zrozumiesz, kiedy będziesz starszy - odpowiedziała mama.

Chciał już zawołać: A kiedy ty zrozumiesz cokolwiek o mnie? Nawet kiedy przekonałaś się, że umiem czytać, dalej uważasz, że niczego nie wiem!

Z drugiej strony chyba rzeczywiście nie wiedział tego, co potrzebne. Inaczej by zrozumiał, co właściwie jest takie oczywiste dla dorosłych.

Jeśli rodzice nie chcą mu powiedzieć, może ten kapitan wytłumaczy.

Jan Paweł spojrzał wyczekująco na Graffa.

A Graff przedstawił mu wyjaśnienie:

- Wszyscy przyjaciele twoich rodziców są niesubordynowanymi katolikami. Gdyby twoi bracia i siostry nagle poszli do szkoły, gdyby twój ojciec wrócił na uniwersytet, co by sobie pomyśleli?

Czyli chodziło o sąsiadów... Jan Paweł z trudem potrafił uwierzyć, że rodzice skłonni są poświęcić własne dzieci, a nawet siebie, żeby tylko sąsiedzi nie mieli pretensji.

- Możemy się przeprowadzić - zauważył.

- Dokąd? - zapytał ojciec. - Są tylko niesubordynowani, jak my, i są tacy, którzy wyrzekli się wiary. To jedyny wybór. I wolę raczej, żebyśmy żyli w biedzie, tak jak teraz, niż żebyśmy przekroczyli tę granicę. Tu nie chodzi o sąsiadów, synku. Chodzi o nasze przekonania. Chodzi o wiarę.

Jan Paweł rozumiał, że nic z tego nie będzie. Z początku myślał, że ten pomysł ze Szkołą Bojową da się wykorzystać, by poprawić rodzinie byt. Owszem, poleciałby w kosmos, porzucił dom i nie wracał całymi latami, gdyby to miało im jakoś pomóc.

- Nadal możesz lecieć - wtrącił Graff. - Nawet jeśli twoja rodzina nie chce uwolnić się od tych sankcji.

Wtedy ojciec wybuchnął. Nie krzyczał, ale mówił gorąco, z naciskiem.

- Chcemy uwolnić się od sankcji, ty głupcze! Tylko że nie chcemy być jedynymi, których one nie dotyczą! Chcemy, żeby Hegemonia przestała wmawiać katolikom, że muszą popełnić grzech śmiertelny, wyprzeć się Kościoła. Żeby przestała zmuszać Polaków do zachowywania się jak... jak Niemcy!

Ale Jan Paweł znał tę tyradę i wiedział, że ojciec zwykle kończy zdanie, mówiąc „zmuszać Polaków do zachowywania się jak Żydzi, ateści i Niemcy”. To opuszczenie zdradziło, że ojciec woli uniknąć skutków wypowiedzianego przy ludziach z Floty tak, jak wypowiada się przy innych Polakach. Jan Paweł czytał dość o historii, by wiedzieć dlaczego. I przyszło mu do głowy, że chociaż ojciec bardzo ucierpiał wskutek sankcji, może ten gniew i uraza uczyniły z niego człowieka, który naprawdę nie nadaje się już na uniwersytet. Ojciec poznał inne zasady i postanowił nie żyć w zgodzie z nimi. Nie chciał jednak, żeby wykształceni cudzoziemcy odkryli, że się do tych zasad nie stosuje. Nie chciał, by wiedzieli, że obciąża winą Żydów i ateistów. Zrzucanie winy na Niemców widocznie było w porządku.

I nagle Jan Paweł najbardziej na świecie zapragnął opuścić dom. Dostać się do szkoły, gdzie nie będzie musiał podsłuchiwać cudzych lekcji.

Jedyny kłopot polegał na tym, że wojna wcale go nie interesowała. Kiedy czytał o historii, pomijał te fragmenty. A przecież to była Szkoła Bojowa. Będzie musiał dużo się uczyć o wojnach, to pewne. Potem, jeśli skończy tę szkołę, będzie musiał służyć we Flocie. Wykonywać rozkazy mężczyzn i kobiet podobnych do tych dwojga oficerów Floty. Przez całe życie robić to, co każą mu inni.

Miał dopiero sześć lat, ale już wiedział: nienawidził robić tego, czego chcieli inni, jeśli był pewien, że nie mają racji. Nie chciał być żołnierzem. Nie chciał zabijać. Nie chciał słuchać niemądrych ludzi.

Z drugiej strony nie chciał żyć nadal w takich warunkach. Prawie cały dzień wszyscy stłoczeni w mieszkaniu. Mama zawsze zmęczona. Żadne z dzieci nie uczy się tyle, ile by mogło. Nigdy dosyć jedzenia, zawsze tylko stare, wytarte ubrania, za mało ciepła zimą i zbyt gorąco latem.

Oni wszyscy wierzą, że jesteśmy bohaterami, jak święty Jan Paweł II za czasów nazistów i komunistów. Że walczą za wiarę przeciwko wszystkim kłamstwom i złu świata, jak święty Jan Paweł II jako papież.

A jeśli jesteśmy tylko uparci i głupi? Jeśli to inni mają rację i rzeczywiście w rodzinie nie powinno być więcej niż dwoje dzieci?

Wtedy bym się nie urodził...

Czy naprawdę jestem tutaj, bo Bóg tego chciał? Może Bóg chce, żeby rodziły się wszystkie dzieci, a reszta świata przez swe grzechy nie pozwala im się narodzić, co wymusiły prawa Hegemonii? Może jest jak w tej opowieści o Abrahamie i Sodomie, gdzie Bóg skłonny był ocalić miasto przed zniszczeniem, jeśli znajdzie się w nim dwudziestu sprawiedliwych, a potem nawet dziesięciu? Może to my właśnie jesteśmy tymi sprawiedliwymi i ratujemy świat od zagłady samym swoim istnieniem, tylko służąc Bogu i odmawiając pokłonu Hegemonowi?

Ale istnienie nie jest wszystkim, czego bym chciał, myślał Jan Paweł. Chcę coś robić. Chcę nauczyć się wszystkiego, wiedzieć wszystko, robić wszystko co dobre. Mieć wybór. I żeby moi bracia i siostry też mieli wybór. Nigdy już więcej nie uzyskam takiej władzy, by zmienić świat wokół siebie. W chwili kiedy ci ludzie z Floty postanowią, że już mnie nie chcą, szansa przeminie i drugiej nie dostanę. Muszę coś zrobić teraz.

- Nie chcę tu zostać - powiedział.

Czuł, jak ojciec sztywnieje obok na kanapie. Słyszał, jak mama wzdycha delikatnie, z głębi piersi.

- Ale nie chcę lecieć w kosmos - dodał.

Graff nie poruszył się. Zamrugął tylko.

- Nigdy nie chodziłem do szkoły. Nie wiem, czy mi się spodoba - tłumaczył Jan Paweł. - Wszyscy, których znam, są Polakami i katolikami. Nie wiem, jak to jest żyć między innymi ludźmi.

- Jeśli nie przystąpisz do programu Szkoły Bojowej - uprzedził Graff - nic nie możemy zrobić dla reszty.

- A nie moglibyśmy pojechać gdzieś i to wypróbować? - zapytał Jan Paweł. - Przeprowadzić się tam, gdzie moglibyśmy chodzić do szkoły i nikt by się nie przejmował, że jesteśmy katolikami i jest nas dziewięćoro rodzeństwa?

- Nie ma na świecie takiego miejsca - stwierdził z goryczą ojciec.

Jan Paweł spojrzał pytająco na Graffa.

- Twój ojciec częściowo ma rację. Rodzina z dziewięciorgiem dzieci zawsze wywoła urazy, dokądkolwiek byście wyjechali. A tutaj, ponieważ żyje tu tak wiele niesubordynowanych rodzin, podtrzymujecie się wzajemnie. Działa solidarność. W pewnym sensie będzie wam trudniej, jeśli opuścicie Polskę.

- W każdym sensie - oświadczył ojciec.

- Ale moglibyśmy ulokować was w dużym mieście, posyłać nie więcej niż dwoje twojego rodzeństwa do jednej szkoły. W ten sposób, jeśli tylko będą ostrożni, nikt się nie dowie, że pochodzą z niesubordynowanej rodziny.

- Jeśli zostaną kłamcami, chce pan powiedzieć - wtrąciła mama.

- Och, proszę o wybaczenie. Nie zdawałem sobie sprawy, że pani ani nikt z krewnych nigdy, ale to nigdy nie skłamaliście, by chronić dobro tej rodziny.

- Próbuje nas pan skusić. Chce pan podzielić rodzinę. Posłać nasze dzieci do szkół, gdzie nauczą się zaprzeczać wierze, pogardzać Kościołem.

- Droga pani - rzekł Graff. - Staram się nakłonić bardzo obiecującego chłopca, by zgodził się wstąpić do Szkoły Bojowej, ponieważ cały świat stanął wobec strasznego przeciwnika.

- Doprawdy? - spytała drwiąco mama. - Wciąż słyszę o tych strasliwych przeciwnikach, o tych robalach, tych potworach z kosmosu, ale żadnego jeszcze nie widziałam.

- Przyczyna, dla której ich pani nie ogląda - tłumaczył cierpliwie Graff - jest taka, że odparliśmy ich dwie pierwsze inwazje. I jeśli je pani kiedyś zobaczy, będzie to oznaczało, że pokonały nas za trzecim razem. A nawet wtedy raczej ich pani nie zobaczy, gdyż zrobią z powierzchnią Ziemi rzeczy tak potworne, że nie będzie tu ani jednego żywego człowieka, zanim jeszcze pierwsze robale staną na naszej planecie. Chcemy, żeby pani syn pomógł nam temu zapobiec.

- A jeśli Bóg zesłał te potwory, żeby nas zabić? Może to jak za czasów Noego? Może świat jest tak zepsuty, że trzeba go zniszczyć?

- Cóż, jeśli tak jest w istocie, to przegramy wojnę, niezależnie od wszystkiego. I koniec. Ale jeśli Bóg chce, żebyśmy zwyciężyli i mieli jeszcze trochę czasu, by odpokutować za nasze grzechy? Czy sądzi pani, że należy wykluczyć taką możliwość?

- Niech pan nie dyskutuje z nami o teologii, jakby pan był wierzący - wtrącił ojciec.

- Pan nie ma pojęcia, w co wierzę - odparł Graff. - Wie pan tylko tyle, że skłonni jesteśmy do wielkich ustępstw, żeby tylko sprowadzić pańskiego syna do Szkoły Bojowej, ponieważ uważamy go za wyjątkowego. Wierzmy także, że w tym domu nie rozwinie swych zdolności. Zmarnuje się.

Mama pochyliła się do przodu, a ojciec zerwał się na równe nogi.

- Jak pan śmie! - krzyknął.

Graff wstał także; w gniewie wyglądał groźnie i strasznie.

- Myślałem, że to wy jesteście tymi, którzy nie kłamią.

Przez moment milczeli obaj, mierząc się wzrokiem.

- Powiedziałem, że marnuje tu życie i to jest oczywisty fakt - odezwał się w końcu Graff cichym głosem. - Nie wiedzieliście nawet, że naprawdę czyta. Czy pan w ogóle

rozumie, co robił ten chłopak? Czytał z pełnym zrozumieniem książki, z którymi kłopot mieliby pańscy studenci, profesorze Wieczorek. A wy o tym nie wiedzieliście. Robił to na waszych oczach, mówił wam, że to robi, a wy nadal nie chcieliście przyjąć tego do wiadomości, bo nie pasowało wam do waszej wizji świata. I w tym domu taki umysł ma zyskać wykształcenie? Na waszej liście grzechów liczy się to może jako drobny, wybaczalny grzeszek? Otrzymać dar od Boga i zmarnować go? Czy Jezus nie wyrażał się pogardliwie o rzucaniu pereł przed wieprze?

Tego ojciec nie potrafił już znieść. Uderzył Graffa.

Ale Graff był żołnierzem i bez trudu zablokował cios. Nie oddał uderzenia; użył tylko tyle siły, ile trzeba, żeby powstrzymać ojca, dopóki nie ochłonie. Ale i tak ojciec wyładował na podłodze, obolały, a mama, płacząc, klęczała przy nim.

Jan Paweł wiedział jednak, co zrobił Graff: specjalnie wybrał słowa, które rozniewają ojca i sprawią, że straci panowanie nad sobą.

Ale po co? Co Graff chciał w ten sposób osiągnąć?

To proste. Chciał pokazać mu tę scenę. Pokazać poniżonego ojca i płaczącą nad nim mamę.

Po chwili kapitan odezwał się, patrząc chłopcu w oczy.

- Ta wojna to rozpaczliwa walka, Janie Pawle. Niewiele brakowało, żeby nas pokonali. Prawie zwyciężyli. Na szczęście mieliśmy geniusza, dowódcę nazwiskiem Mazer Rackham, który potrafił ich przechytrzyć, znaleźć ich słabe punkty. Tylko dzięki temu ledwie, ale to naprawdę ledwie wygramy. Kto będzie tym dowódcą następnym razem? Czy w ogóle obejmie tę funkcję? Czy wciąż będzie tkwił gdzieś w Polsce, pracując na dwóch nędznych posadach, o wiele poniżej jego możliwości intelektualnych? A wszystko dlatego, że w wieku sześciu lat wydawało mu się, że nie chce lecieć w kosmos.

Aha. O to chodziło. Graff chciał mu pokazać, jak wygląda porażka.

Ale ja już wiem, jak wygląda. I nie pozwolę się pokonać.

- Są jeszcze katolicy poza Polską? - zapytał Jan Paweł. - Niesubordynowani? Tak?

- Tak - przyznał Graff.

- Ale nie każdy kraj jest rządony przez Hegemonię, jak Polska?

- Państwa subordynowane nadal są zarządzane według swych tradycyjnych systemów.

- A czy jest jakiś kraj, gdzie moglibyśmy mieszkać wśród innych niesubordynowanych katolików, a mimo to nie cierpieć takich ostrych sankcji jak tutaj? Gdzie stać nas byłoby na jedzenie, a tato mógłby pracować?

- Wszystkie państwa subordynowane wprowadziły sankcje wobec przeludniaczy. Dlatego właśnie nazywamy je subordynowanymi.

- Więc czy jest kraj, gdzie moglibyśmy być wyjątkiem, i nikt nie musiałby o tym wiedzieć?

- Kanada - zaczął wymieniać Graff. - Nowa Zelandia. Szwecja. Ameryka. Niesubordynowani, którzy nie wygłaszają mów na ten temat, żyją tam całkiem przyzwoicie. Nie bylibyście jedyną rodziną z dziećmi uczęszczającymi do różnych szkół. Władze zwykle przysmykają oko, bo nie chcą karać dzieci za przewinienia rodziców.

- Gdzie jest najlepiej? - zapytał Jan Paweł. - Gdzie jest najwięcej katolików?

- W Ameryce. Najwięcej Polaków i najwięcej katolików. Poza tym Amerykanie i tak zawsze uważali, że prawo międzynarodowe dotyczy tylko innych, więc nie traktują zarządzeń Hegemonii aż tak poważnie.

- Możemy tam pojechać?

- Nie - odezwał się ojciec.

Siedział teraz z głową zwieszoną z bólu i poniżenia.

- Janie Pawle - rzekł z powagą Graff. - Nie chcemy, żebyś jechał do Ameryki. Chcemy, żebyś trafił do Szkoły Bojowej.

- On i tak nigdzie stąd nie wyjedzie - oznajmił ojciec. - Nieważne, co pan powie, nieważne, co pan obieca, nieważne, co Jan Paweł postanowi.

- A tak, jeszcze pan - mruknął Graff. - Przed chwilą dokonał pan bezpośredniego ataku na oficera Międzynarodowej Floty, co jest przestępstwem zagrożonym karą pozbawienia wolności na czas nie krótszy od trzech lat... Ale wie pan, sądy zwykle wydają surowsze wyroki na niesubordynowanych, którym udowodniono winę. Moim zdaniem dostanie pan siedem do ośmiu lat. Wszystko oczywiście jest zarejestrowane, całe zajście.

- Wszedł pan do naszego domu jak szpieg - powiedziała mama oskarżycielsko. - Sprowokował go pan.

- Powiedziałem prawdę, a wam się ona nie spodobała. Nie podniosłem ręki na profesora Wieczorka ani na nikogo z jego rodziny.

- Proszę - szepnął ojciec. - Niech mnie pan nie posyła do więzienia.

- Oczywiście, że tego nie zrobię. Nie chcę, żeby pan trafił do więzienia. Ale nie chcę też, żeby składał pan niemądre deklaracje o tym, co może, a co nie może się zdarzyć, niezależnie od tego, co powiem, co obiecuję i co postanowi Jan Paweł.

Więc dlatego Graff rozdrażnił ojca. Teraz Jan Paweł zrozumiał. Chciał się upewnić, że ojciec nie będzie miał innej możliwości, niż zgodzić się na to, co Jan Paweł i Graff razem zdecydują.

- A czym pan mi zagrozi, żebym musiał zrobić to, co pan zechce? - zapytał Jan Paweł.

- Tak jak grozi pan tacie?

- Nic by mi z tego nie przyszło, gdybyś poszedł z nami z przymusu.

- Nie pójdę z własnej woli, dopóki moja rodzina nie znajdzie się w miejscu, gdzie mogą być szczęśliwi.

- Nie ma takiego miejsca na świecie rządzonym przez Hegemonię - stwierdził ojciec.

Ale teraz mama nie pozwoliła mu mówić dalej. Delikatnie pogładziła go po twarzy.

- Gdzie indziej też możemy być dobrymi katolikami - powiedziała. - Wyjeżdżając stąd, nie odbierzemy chleba naszym sąsiadom. Nikogo tym nie skrzywdzimy. Popatrz tylko, co Jan Paweł chce dla nas zrobić. - Zwróciła się do syna. - Przepraszam, że cię nie rozumiałam. Przepraszam, że byłam taką złą nauczycielką.

Wybuchnęła płaczem.

Ojciec objął ją, przyciągnął do siebie i przytulił. Siedzieli tak na podłodze, pocieszając się wzajemnie.

Graff spojrzał na chłopca, unosząc pytająco brew, jakby mówił: usunąłem wszelkie przeszkody, więc... zrób, czego chcę.

Ale sprawy nie wyglądały jeszcze tak, jak by sobie życzył Jan Paweł.

- Pan mnie oszuka - powiedział. - Zabierze nas pan do Ameryki, a potem, jeśli dalej nie będę chciał iść do tej Szkoły, zagrozi pan, że odeśle nas wszystkich tutaj. Będzie jeszcze gorzej niż teraz. I w ten sposób zmusi mnie pan, żebym się zgodził.

Graff nie odpowiadał przez chwilę.

- Dlatego nie pojedę - dokończył Jan Paweł.

- To ty mnie oszukasz - odparł w końcu Graff. - Zgodzisz się, żeby was przenieść do Ameryki i zorganizować lepsze życie, a potem i tak odmówisz pójścia do Szkoły Bojowej. I będziesz chciał, żeby Międzynarodowa Flota pozwoliła twojej rodzinie zachować korzyści wynikające z naszej umowy, choć nie dotrzymasz swojej części.

Jan Paweł nie odpowiedział, gdyż nie było na to odpowiedzi. To właśnie zamierzał zrobić. Graff to wiedział i Jan Paweł nawet nie próbował zaprzeczać. Bo świadomość, że Jan Paweł planuje go oszukać, niczego w sytuacji Graffa nie zmieniała.

- Nie sędzę, żeby tak postąpił - wtrąciła kobieta.

Ale Jan Paweł wiedział, że kłamie. Poważnie się obawiała, że tak będzie. Ale jeszcze bardziej się obawiała, że Graff wyjdzie i nie dobiją targu. To wystarczyło Janowi Pawłowi za potwierdzenie: posłanie go do Szkoły Bojowej było dla tych ludzi naprawdę bardzo ważne. Zatem przystaną nawet na bardzo niekorzystną umowę, dopóki daje im choć odrobinę nadziei, że jednak się zgodzi.

Albo też wiedzą, że cokolwiek obiecują, mogą cofnąć swoje słowo, kiedy tylko zechcą. W końcu byli Międzynarodową Flotą, a Wieczorkowie to tylko niesubordynowana rodzina z niesubordynowanego kraju.

- Nie wiesz o mnie tego - powiedział Graff - że planuję z bardzo dużym wyprzedzeniem.

To przypomniało Janowi Pawłowi, co mówił Andrzej, kiedy uczył go grać w szachy. „Musisz planować z wyprzedzeniem, następny ruch, następny, i jeszcze następny, żeby zobaczyć, dokąd to wszystko prowadzi”. Jan Paweł zrozumiał zasadę, kiedy tylko Andrzej mu ją wyjaśnił. Ale i tak przestał grać w szachy - nie obchodziło go, co się dzieje z małymi plastikowymi figurkami na planszy z sześćdziesięciu czterech kwadratów.

Graff grał w szachy, ale nie małymi plastikowymi figurkami. Jego planszą był świat. I chociaż Graff miał tylko stopień kapitana, najwyraźniej przybył tu z większymi uprawnieniami - i lepszym rozpoznaniem - niż ten pułkownik, który był ostatnim razem. Kiedy Graff mówił: „Planuję z bardzo dużym wyprzedzeniem”, chciał powiedzieć - tak, słowa musiały to oznaczać - że skłonny jest od czasu do czasu poświęcić pionka, żeby wygrać całą partię. Jak w szachach.

Może chodziło mu o to, że skłonny jest okłamać Jana Pawła, a potem go oszukać? Ale nie, wtedy przecież nie musiałyby niczego mówić. Powód mógł być tylko jeden: Graff nie zamierzał oszukiwać. Graff pozwalał oszukać siebie, świadomie wchodząc w układ, gdzie ta druga osoba mogła wygrać, i to wygrać całkowicie - o ile widział sposób, by gdzieś dalej, w przyszłości, nawet taką porażkę obrócić na własną korzyść.

- Musi pan złożyć nam obietnicę, której nie będzie pan mógł złamać - zaznaczył Jan Paweł. - Nawet jeśli nie polecę w kosmos.

- Jestem uprawniony do złożenia takiej obietnicy - zapewnił Graff.

Kobieta wyraźnie tak nie uważała, ale nie zabierała głosu.

- Czy Ameryka to dobre miejsce? - zapytał Jan Paweł.

- Mieszka tam bardzo dużo Polaków, którzy tak uważają. Ale nie jest to Polska.

- Chciałbym zobaczyć cały świat, zanim umrę - oświadczył Jan Paweł. Nigdy jeszcze nikomu o tym nie mówił.

- Zanim umrzesz... - wymruczała mama. - Dlaczego myślisz o śmierci?

Jak zwykle po prostu nie rozumiała. Nie myślał przecież o śmierci. Myślał o tym, żeby nauczyć się wszystkiego, a oczywisty jest fakt, że ma na to tylko ograniczony czas. Dlaczego ludzie się niepokoją, kiedy tylko ktoś wspomni o umieraniu? Czyżby sądzili, że jeśli nie będą o tym mówić, śmierć ominie kilka osób i pozwoli im żyć wiecznie? Ile mama naprawdę ma wiary w Chrystusa, jeśli tak bardzo obawia się śmierci, że nie potrafi nawet o niej mówić ani słuchać, jak mówi jej sześciolatek syn?

- Wyjazd do Ameryki to tylko początek - zapewnił Graff. - Amerykańskie paszporty nie mają takich ograniczeń jak polskie.

- Porozmawiamy jeszcze o tym - obiecał Jan Paweł. - Proszę przyjść później.

- Czy pan oszalał? - zapytała Helena, gdy tylko oddalili się poza zasięg słuchu. - Przecież to oczywiste, co ten chłopak planuje.

- Tak na oczywistość, nie na szaleństwo.

- Te widy będą jeszcze bardziej kłopotliwe dla pana, niż poprzednie dla Sillaina.

- Nie będą - zapewnił Graff.

- Dlaczego? Bo jednak chce go pan oszukać?

- Żeby to zrobić, naprawdę musiałbym zwariować. - Zatrzymał się przy krawężniku, najwyraźniej zamierzając dokończyć tę rozmowę, zanim wróci do furgonetki, gdzie czekała reszta zespołu. Czyżby zapomniał, że wszystko, co mówi, i tak jest rejestrowane?

Nie, wiedział o tym. Nie zwracał się tylko do niej.

- Kapitan Rudolf - rzekł. - Widziała pani, i wszyscy zobaczą: nie było żadnego sposobu, żeby skłonić tego chłopca, aby z własnej woli zgodził się lecieć w kosmos. On nie chce tam lecieć. Wojna go nie interesuje. Tyle właśnie osiągnęliśmy naszą idiotycznie represyjną politykę wobec państw niesubordynowanych. Mamy tu najlepszego kandydata, jakiego dotąd znaleźliśmy, ale nie możemy go wykorzystać, ponieważ przez całe lata tworzyliśmy kulturę, która nienawidzi Hegemonii, a zatem i Floty. Wkurzyliśmy miliony, dziesiątki milionów ludzi w imię głupich praw kontroli populacji, zaprzeczających kluczowym elementom ich wiary i ich identyfikacji społecznej. A ponieważ wszechświat jest statystycznie częściej skłonny do ironii niż nie, oczywiście nasz najlepszy kandydat na następnego dowódcę klasy Mazera Rackhama pojawił się właśnie wśród tych, których zdążyliśmy wkurzyć. Nie ja to zrobiłem i tylko durnie mogą mnie o to winić.

- Więc o co w tym wszystkim chodzi? Po co ta umowa, te pańskie obietnice? Jaki to ma sens?

- Żeby wydostać Jana Pawła Wieczorka z Polski, oczywiście.

- Ale co to za różnica, jeśli i tak nie trafi do Szkoły Bojowej?

- Wciąż jest... wciąż ma umysł, który przetwarza ludzkie zachowania tak, jak niektórzy z autystycznych geniuszy przetwarzają liczby albo słowa. Czy nie sądzi pani, że to dobry pomysł, żeby zabrać go w jakieś miejsce, gdzie zdobędzie prawdziwe wykształcenie? I jak najdalej od miejsca, gdzie byłby bez przerwy indoktrynowany nienawiścią do Hegemonii i Floty.

- Wydaje mi się, że przekracza to zakres pańskich uprawnień - uznała Helena. - Pracujemy dla Szkoły Bojowej, nie jakiegoś Komitetu Budowania Lepszej Przyszłości dzięki Przemieszczaniu Dzieci w Inne Miejsca.

- Cały czas myślę o Szkole Bojowej - zapewnił Graff.

- W której Jan Paweł Wieczorek nigdy się nie znajdzie, jak sam pan przed chwilą przyznał.

- Zapomina pani o badaniach, które prowadzimy. Wyniki nie są jeszcze ostateczne w sensie naukowym, ale wnioski wydają się oczywiste. Ludzie osiągają szczyt zdolności dowódczych o wiele wcześniej, niż sądziliśmy. Większość jeszcze przed dwudziestką. To wiek, kiedy poeci tworzą najbardziej uczuciowe i rewolucyjne dzieła. I matematycy. Osiągają szczyt, a potem następuje spadek. Dryfują na tym, czego się nauczyli, gdy byli jeszcze dość młodzi, by się uczyć. Wiemy z dokładnością do pięciu lat, kiedy będzie nam potrzebny taki dowódca. Jan Paweł Wieczorek będzie już za stary, kiedy otworzy się to okno. Poza szczytem swych możliwości.

- Widzę, że otrzymał pan informacje, których mnie nie udostępniono - zauważyła Helena.

- Albo sam się domyśliłem. Ale kiedy stało się jasne, że Jan Paweł nigdy nie pójdzie do Szkoły Bojowej, cel mojej misji uległ zmianie. Teraz najważniejsze jest, żeby Jana Pawła Wieczorka wywieźć z Polski do kraju subordynowanego i wypełnić złożoną mu obietnicę absolutnie, co do joty. Żeby zrozumiał, że dotrzymujemy słowa, nawet kiedy wiemy, że zostaliśmy oszukani.

- Ale jaki to ma sens?

- Pani kapitan, mówi pani bez zastanowienia.

Miał rację. Zastanowiła się więc.

- Skoro mamy więcej czasu, nim będziemy potrzebować dowódcy - powiedziała - to wystarczy nam czasu, żeby on się ożenił i miał dzieci, które zdążą dorosnąć do odpowiedniego wieku?

- Ledwo, ledwo, ale tak. Mamy akurat dość czasu. Jeżeli ożeni się młodo. Jeżeli ożeni się z kimś, kto jest bardzo, bardzo zdolny, żeby połączyły się dobre geny.

- Ale tego chyba nie zamierza pan kontrolować, prawda?

- Jest bardzo wiele stopni pośrednich na kontinuum pomiędzy kontrolowaniem czegoś i nierobieniem niczego.

- Naprawdę planuje pan z wyprzedzeniem...

- Może mnie pani uważać za kogoś w rodzaju Rumpelstiltskina.

Roześmiała się.

- Dobrze, teraz już rozumiem. Spełnia pan pragnienie jego serca, dzisiaj. A długo, długo po tym, kiedy on już o wszystkim zapomni, wyskoczy pan nagle i zażąda jego pierwotnego.

Graff objął ją za ramię i razem ruszyli do zaparkowanej furgonetki.

- Tylko że ja nie zostawiłem mu takiej głupiej furtki, którą może się wymknąć, jeśli odgadnie moje imię.

ZMORA NAUCZYCIELA

Nie były to te zajęcia z nauki o społeczeństwie, na które John Paul Wiggin chciał się dostać. W ogóle nie brał ich pod uwagę. Uniwersytecki komputer podczas przydzielania miejsc kierował się jakimś algorytmem dotyczącym wieku, liczby głównych przedmiotów, jakie John Paul wybrał, oraz mnóstwa innych kwestii, niemających dla niego żadnego znaczenia z wyjątkiem tego, że zamiast na ważny, interesujący kierunek, przydzielono go jakiejś absolwentce, o słabiutkim pojęciu o przedmiocie i jeszcze słabszym o tym, jak go uczyć.

Może komputer głównie kierował się tym, jak bardzo John Paul potrzebował tego kursu, by ukończyć studia. Skierowali go tu, bo wiedzieli, że nie może zrezygnować.

Siedział jak zwykle w pierwszym rzędzie, gapiąc się na tyłeczek nauczycielki, wyglądającej na piętnastolatkę przebraną w ciuchy matki. Dziewczyna miała ładne ciało i chyba usiłowała je ukryć pod fałdzistym strojem - ale sam fakt, że wiedziała, iż ma coś godnego ukrywania, dowodził, że nie jest prawdziwym naukowcem. Może nawet nie nauczycielką.

Nie mam czasu pomagać ci w wyborze własnego stylu, powiedział bezgłośnie do dziewczyny. Ani w realizacji tej jakiejś dziwnej techniki pedagogicznej, którą chcesz na nas wypróbować. Co to będzie? Metoda sokratyczna? Adwokat diabła? „Dyskusje” rodem z grupy terapeutycznej? Drapieżna surowość?

Zgadzam się na wszystko, na każdego zgorzkniałego, wypalonego profesora na progu emerytury, byle nie na nauczycielkę tuż po studiach.

Zresztą co tam. Jeszcze tylko ten semestr, następny, dyplom i droga do fascynującej kariery w rządzie stoi otworem. Najlepiej tam, gdzie będzie mógł działać na rzecz upadku Hegemonii i odzyskania niepodległości wszystkich państw.

Zwłaszcza Polski, choć tego nie zdradził nikomu. Nigdy nawet nie wspomniał, że pierwsze sześć lat życia spędził w tym kraju. Wszystkie jego dokumenty świadczyły, że on i wszyscy krewni są rodowitymi Amerykanami. Przeczył temu niedający się zatrzeć polski akcent jego rodziców, ale skoro to Hegemonia przeniosła ich do Ameryki i dała im fałszywe dokumenty, nie wydawało się możliwe, żeby ktokolwiek zamierzał drać ten temat.

Smaruj więc sobie dalej te wykresy na tablicy, mała panno Jak-Dorosnę-Będę-Panią-Nauczycielką. Zdam wszystkie twoje egzaminy, dostanę szóstkę i nawet się nie zorientujesz,

że miałaś w klasie najbardziej aroganckiego, ambitnego i inteligentnego studenta tego uniwersytetu.

Przynajmniej tak go nazwali podczas rekrutacji. Nie wspomnieli tylko o arogancji. Nie musieli. Widział to wymalowane na ich twarzach.

- Wszystko wypisałam na tablicy - powiedziała dziewczyna - ponieważ chcę, żebyście nauczyli się tego na pamięć i, mam nadzieję, zrozumieli, bo inaczej trudno będzie zrozumieć program zajęć.

John Paul oczywiście już wszystko zapamiętał - po jednym przeczytaniu. Ponieważ nie znalazł tych informacji w lekturach nadobowiązkowych, stało się jasne, że w swej „metodzie” będzie się siliła na nowatorskie, najnowsze - i najprawdopodobniej błędne - rozwiązania.

Nauczycielka spojrzała na niego.

- Pan... Wiggin, tak? Pan się chyba wyjątkowo nudzi? Czy to dlatego, że już pan wszystko wie o ewolucyjnym modelu selekcji społecznej?

A, świetnie. Więc to jedna z tych tak zwanych nauczycielek, które muszą mieć w klasie kozła ofiarnego - kogoś, kogo będą dręczyć, by udowodnić swoją przewagę.

- Nie, proszę pani - odpowiedział. - Miałem nadzieję, że to pani mnie wszystkiego nauczy.

Usunął z głosu wszelkie ślady sarkazmu, przez co oczywiście zabrzmiało to jeszcze bardziej jadowniczo i pogardliwie.

Spodziewał się, że nauczycielka okaże rozdrażnienie, ale ona zwróciła się do innego studenta i zaczęła z nim rozmawiać. Albo John Paul ją przestraszył, albo nie dostrzegła sarkazmu i nawet nie miała pojęcia, że rzucił jej wyzwanie.

Klasa nie zainteresowała się krwawą rozgrywką. Szkoda.

- Ewolucją człowieka kierują jego potrzeby społeczne - odczytała z tablicy nauczycielka. - Jak to możliwe, skoro przekaz informacji genetycznych występuje jedynie pomiędzy poszczególnymi osobnikami?

Odpowiedziało jej zwykłe milczenie. Bali się wygłupić? Pokazać, że ich to interesuje? Wyjść na frajerów? Oczywiście kilku studentów naprawdę było idiotami lub wszystko im zwisało, ale większość żyła w strachu.

Wreszcie ktoś nieśmiało podniósł rękę.

- Czy społeczność ma wpływ na dobór, eee... płciowy? Na przykład skośne oczy?

- Tak - powiedziała panna Tuż-Po-Studiach. - I występowanie fałdu mongolskiego w Azji Wschodniej jest dobrym przykładem. Ale koniec końców to nieistotny drobiazg - nie ma

prawdziwej wartości, jeśli chodzi o przetrwanie. Bo ja mówię o prawdziwym, konkretnym przetrwaniu najsilniejszych. Jak społeczność może je kontrolować?

- Zabijając tych, którzy się nie dostosują? - podsunął inny student.

John Paul wyciągnął się na krzesło i spojrzał w sufit. Zaszli tak daleko, a ciągle nie rozumieją podstawowych zasad.

- Nasza dyskusja chyba nudzi pana Wiggina - powiedziała panna Tuż-Po-Studiach.

John Paul otworzył oczy i znowu spojrzał na tablicę. Napisała tam jednak swoje nazwisko. Theresa Brown.

- Tak, panno Brown - oznajmił.

- Dlatego że zna pan odpowiedź czy dlatego, że to pana nie obchodzi?

- Nie znam odpowiedzi, ale nie zna jej nikt w tej sali oprócz pani, więc mogę się zdrzemnąć, dopóki nam jej pani nie wyjawí, zamiast zabierać nas w tę czarodziejską podróż po świecie odkryć, kiedy pozwala się pasażerom sterować statkiem.

Parę osób syknęło, parę zachichotało.

- Czyli nie ma pan pojęcia, dlaczego twierdzenie na tablicy jest prawdziwe lub fałszywe?

- Prawdopodobnie podsuwa nam pani teorię sugerującą, że ponieważ w społeczności ludzie mają o wiele większą szansę przeżycia oraz znalezienia partnera i wychowania dzieci, wszelkie cechy osobnicze wzmacniające społeczność okażą się na dłuższą metę tymi, które zostaną przekazane następnemu pokoleniu.

Zamrugła oczami.

- Tak - odparła. - To prawda.

I znowu zamrugła. Najwyraźniej zburzył jej porządek lekcji, natychmiast odgadując odpowiedź.

- Ale zastanawia mnie co innego - ciągnął. - Skoro przetrwanie ludzkiej społeczności polega na zdolności przystosowawczej, to nie umacnia jej jeden zestaw cech. Dlatego życie społeczne powinno promować różnorodność, nie wąski zakres cech.

- To mogłoby być prawdą, i rzeczywiście w zasadzie nią jest, ale istnieje bardzo niewiele rodzajów ludzkich społeczności, które przetrwały aż tak długo, by zwiększyć szanse przeżycia osobników.

Podeszła do tablicy i wytarła zapisany temat, który John Paul właśnie zakończył. Napisała dwa słowa: PLEMIENNY i MIEJSKI.

- To dwa modele, które stosują się do wszystkich pomyślnie trwających ludzkich społeczności - oznajmiła. Spojrzała na Johna Paula. - Jak by pan zdefiniował społeczność trwającą pomyślnie?

- Jest to społeczność, której członkowie mają maksymalne szanse przeżycia i rozmnażania - powiedział.

- Och, gdybyż. Ale to nieprawda. Większość społeczności wymaga od wielkich grup ludności zachowań zaprzeczającym prawom przetrwania. Oczywistym przykładem jest wojna, w której członkowie społeczności ryzykują życie - zazwyczaj w wieku rozrodczym. Wielu z nich umiera. Czemu przypisać gotowość zakończenia życia przed okresem rozrodczym? Posiadacze takiej cechy mają najmniejsze szanse na rozmnażanie.

- Ale tylko mężczyźni.

- Kobiety także służą w wojsku.

- W niewielkiej liczbie, ponieważ cechy dobrego żołnierza o wiele rzadziej występują u kobiet, które również o wiele rzadziej są gotowe iść na wojnę.

- Kobiety walczą ze wszystkich sił i są gotowe umrzeć, by chronić swoje dzieci.

- Właśnie - swoje dzieci. Nie społeczność jako taką - podchwycił John Paul. Zaangażował się, ale ta rozmowa miała sens i była interesująca, toteż mógł się dać wciągnąć w te sokratyczne gierki.

- A jednak to kobiety tworzą najściślejsze więzy społeczne.

- I najbardziej sztywne hierarchie. Ale robią to dzięki sankcjom społecznym, nie przemocy.

- Krótko mówiąc, twierdzi pan, że życie społeczne wykształca w mężczyznach agresję, a w kobietach cywilizowane zachowanie.

- Nie agresję, lecz gotowość poświęcenia się dla sprawy.

- Innymi słowy, mężczyźni wierzą w bajki, które opowiada im społeczeństwo. W takim stopniu, by zabijać i umierać. A kobiety nie?

- Wierzą w nie w takim stopniu, by... - Przerwał na chwilę, by sobie przypomnieć, co wie o różnicach płciowych. - Kobiety muszą chcieć wychowywać swoich synów w społeczności, która może zażądać ich śmierci. Dlatego i mężczyźni, i kobiety powinni wierzyć w te bajki.

- A jedną z nich jest ta, że mężczyźni są zbędni, a kobiety nie.

- Przynajmniej do pewnego stopnia.

- A dlaczego jest to bajka, w którą powinno wierzyć społeczeństwo? - skierowała to pytanie do całej klasy.

Odpowiedzi padły szybko, bo przynajmniej niektórzy studenci słuchali rozmowy.

- Bo nawet jeśli połowa mężczyzn umrze, kobiety i tak będą zdolne do reprodukcji.

- Bo to zapewnia ujście męskiej agresji.

- Bo trzeba umieć bronić zasobów społeczności.

John Paul przyglądał się, jak Theresa Brown wyłapuje i analizuje każdą odpowiedź.

- Czy społeczności, które poniosły ogromne straty na wojnie, rezygnują z monogamii?

Czy wiele kobiet pozostaje bez potomstwa? - Przytoczyła przykład Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii po krwawej pierwszej wojnie światowej.

- Czy wojna jest spowodowana męską agresją? Czy też męska agresja jest cechą, którą społeczność musi pielęgnować, by wygrywać wojny? Agresja istnieje dzięki społeczeństwu czy też społeczeństwo dzięki agresji? - John Paul zrozumiał, że to właśnie sedno teorii, o której rozmawiali. Nawet mu się spodobało.

- I jakie dobro ma chronić społeczność?

Żywność, powiedzieli. Wodę. Schronienie. Ale wyglądało na to, że nie o te odpowiedzi chodzi.

- Wszystko to ważne, ale nie zauważacie najistotniejszego.

Ku swemu zaskoczeniu John Paul poczuł, że chciałby podać właściwą odpowiedź. Nigdy by się nie spodziewał, że coś takiego przydarzy mu się na zajęciach prowadzonych przez nauczycielkę tuż po studiach.

- Jakie dobro społeczne mogą być istotniejsze dla przeżycia niż pożywienie, woda i schronienie?

Podniósł rękę.

- Panu Wigginowi wydaje się, że zna odpowiedź. - Nauczycielka spojrzała na niego.

- Łona - powiedział.

- Jako dobro społeczne.

- Jako społeczność. Kobiety są społecznością.

Uśmiechnęła się.

- I to właśnie jest ta wielka tajemnica.

Inni studenci zaczęli głośno protestować. To mężczyźni kierują większością społeczności. Kobiety są uważane za własność prywatną.

- Niektórzy mężczyźni - podkreśliła nauczycielka. - Większość traktuje się o wiele bardziej przedmiotowo niż kobiety. Kobiet niemal nigdy się tak nie marnuje, a mężczyzn marnuje się tysiącami w czasie wojny.

- Ale to mężczyźni rządzą - zaprotestował jakiś student.

- To prawda. Rządzi garstka samców alfa, a inni są ich narzędziami. Ale nawet rządzące samce wiedzą, że głównym źródłem żywotności społeczeństwa są kobiety i że każda chcąca przetrwać społeczność musi poświęcić wszystkie wysiłki jednemu podstawowemu zadaniu - umożliwieniu kobietom rozrodu i wychowania potomstwa.

- A co ze społecznościami, które dokonują aborcji selektywnej lub zabijają nowo narodzone dziewczynki? - spytał student.

- Są to społeczności, które postanowiły wyginąć, prawda? - odparła pani Brown.

Konsternacja. Zgiełk.

Pomysł był interesujący. Społeczność, która zabija dziewczynki, będzie ich miała mniej, kiedy osiągną wiek rozrodczy. Dlatego jej populacja będzie mniejsza. John Paul podniósł rękę.

- Proszę nas oświecić - powiedziała nauczycielka.

- Mam tylko pytanie. Czy przewaga liczebna mężczyzn nie ma zalet?

- Nie mogą być one istotne - odparła pani Brown - ponieważ przeważająca większość ludzkich społeczności - zwłaszcza te, które przetrwały najdłużej - wykazuje gotowość pozbywania się mężczyzn, nie kobiet. Poza tym zabijanie nowo narodzonych dziewczynek przechyła proporcję na korzyść mężczyzn, lecz i tak jest ich mniej, ponieważ istnieje mniej kobiet, które mogłyby ich urodzić.

- A jeśli społeczność ma ograniczone środki do życia? - spytał jakiś student.

- I co z tego?

- Jeśli trzeba ograniczyć populację do poziomu umożliwiającego przetrwanie?

Nagle w sali zrobiło się bardzo cicho.

Pani Brown się roześmiała.

- Czy ktoś chce na to odpowiedzieć?

Nikt się nie odezwał.

- A dlaczego tak nagle zamilkliśmy? - spytała.

Odczekała chwilę.

W końcu ktoś wymamrotał:

- Prawo populacyjne.

- Ach. Polityka. Mamy ogólnoświatową decyzję, by zmniejszyć ludzką populację, ograniczając liczbę dzieci do dwóch na jedną parę. A wy nie chcecie o tym mówić.

Milczenie świadczyło, że nie chcą mówić nawet o tym, że nie chcą o tym mówić.

- Ludzka rasa walczy o przetrwanie w obliczu inwazji Obcych - ciągnęła - a my postanowiliśmy ograniczyć nasz rozród.

- Ktoś, kto nazywa się Brown - odezwał się John Paul - powinien wiedzieć, jak niebezpieczne jest sprzeciwianie się prawu populacyjnemu.

Spojrzała na niego lodowato.

- To zajęcia szkolne, nie debata polityczna. Istnieją prawa społeczne, które pozwalają przeżyć jednostce, oraz cechy indywidualne, które pozwalają przetrwać społeczeństwu. Na tych zajęciach nie boimy się podążać tam, dokąd prowadzą nas dowody.

- A jeśli przez to stracimy szansę na dostanie pracy? - spytał ktoś.

- Mam uczyć studentów, którzy chcą się dowiedzieć tego, co wiem. Jeśli należycie do tej grupki szczęśliwców, to wszyscy mamy fart. Jeśli nie, mało mnie to obchodzi. Ale nie będę ukrywać przed wami faktów tylko dlatego, że po ich poznaniu będziecie mieli mniejsze szanse na otrzymanie pracy.

- Czyli to prawda - spytała dziewczyna z pierwszego rzędu - że on jest pani ojcem?

- Kto? - spytała pani Brown.

- Dobrze pani wie. Hinckley Brown.

Hinckley Brown. Strateg wojskowy, którego książka nadal była biblią Floty Międzynarodowej, lecz który zrezygnował ze służby i zamknął się w odosobnieniu, ponieważ nie zgadzał się z prawem populacyjnym.

- A to jest dla pani istotne, ponieważ...?

Odpowiedź zabrzmiała brutalnie.

- Bo mamy prawo wiedzieć, czy wyklada pani nauki ścisłe, czy swoją religię.

To prawda, pomyślał John Paul. Hinckley Brown był mormonem, był niesubordynowany.

Tak jak rodzice Johna Paula, katolicy z Polski.

Taki też chciał być John Paul, kiedy tylko znajdzie kogoś, kogo zapragnie poślubić. Kogoś, kto też będzie miał w głębokim poważaniu Hegemonię oraz zasadę dwojga dzieci w rodzinie.

- A gdyby - powiedziała pani Brown - odkrycia naukowe przypadkiem wykazały w pewnym punkcie zbieżność z wierzeniami religijnymi? Czy mamy odrzucić naukę, by odrzucić religię?

- A gdyby nauka była pod wpływem religii? - spytała studentka.

- Na szczęście pytanie jest nie tylko głupie i obraźliwe, lecz także wyłącznie teoretyczne. Bez względu na związki krwi, które mogą mnie łączyć ze słynnym admirałem Brownem, jedyne, co się liczy, to nauka, i jeśli przypadkiem macie jakieś podejrzenia - także moja religia.

- A jaka jest pani religia?

- Moją religią jest podważanie wszystkich hipotez. Także tej, że nauczycieli należy osądzać po ich rodzicach lub przynależności do jakiejś grupy. Jeśli przyłapie mnie pani na nauczaniu czegoś, czego nie da się poprzeć dowodami, może pani złożyć skargę. Ponieważ wydaje mi się jednak, że zależy pani szczególnie na uniknięciu wszelkiego ewentualnego kontaktu z przekonaniami Hinckleya Browna, proszę opuścić... te... zajęcia.

Pod koniec zdania zaczęła wystukiwać instrukcje na pulpicie na podium. Podniosła głowę.

- Gotowe. Może pani odejść i udać się do dziekanatu, by prosić o przydział do innej grupy.

Studentka była przerażona.

- Ja nie chcę opuszczać tych zajęć.

- Nie przypominam sobie, żebym pytała, czego sobie pani życzy - rzuciła pani Brown.

- Jest pani bigotką, sprawia pani kłopoty, nie muszę pani znosić na moich zajęciach. To samo dotyczy reszty. Będziemy podążać za dowodami, będziemy analizować idee, ale nie prywatne życie nauczyciela. Czy ktoś jeszcze chce opuścić klasę?

John Paul Wiggin zakochał się właśnie w tej chwili.

Theresa jeszcze kilka godzin przeżywała uniesienie. Zajęcia nie zaczęły się dobrze - ten mały Wiggin robił wrażenie awanturnika, ale okazał się równie inteligentny jak arogancki, a to pobudziło intelekt najinteligentniejszych uczniów. W końcu to najbardziej lubiła w nauczaniu: kiedy grupa zaczyna myśleć w ten sam sposób, poznaje ten sam wszechświat, na parę chwil staje się jednością.

Mały Wiggin. Musiała się roześmiać. Była pewnie młodsza od niego, ale czuła się staro. Już od paru lat wykładała na kursach podyplomowych i czuła się tak, jakby dźwigała na ramionach całe brzemie świata. A jakby nie miała dość własnych kłopotów z karierą, musiała jeszcze znosić nieustanną presję krucjaty ojca. Cokolwiek robiła, inni odczytywali to tak, jakby ojciec przez nią przemawiał, jakby w jakiś sposób miał władzę nad jej umysłem i sercem.

Zresztą dlaczego nie mieliby tak uważać? Ojcu też się tak wydawało.

Ale nie zamierzała o nim myśleć. Była naukowcem, nawet jeśli zajmowała się teorią. I przestała być już dzieckiem. Mówiąc wprost, nie była żołnierzem ojca, co jemu nigdy nie przyszło i nie przyjdzie do głowy - zwłaszcza teraz, kiedy jego „armia” stała się tak mała i słaba.

Wtedy dostała wezwanie na spotkanie u dziekana.

Młodzi wykładowcy nie dostawali zaproszeń na zebrania u dziekana. Kiedy sekretarka oznajmiła, że nie ma pojęcia, czego ma dotyczyć to spotkanie ani kto jeszcze weźmie w nim udział, Theresę opadły złe przeczucia.

Był schyłek lata, całkiem ciepły nawet w tych północnych rejonach, ale Theresa prawie nie opuszczała pomieszczeń, toteż nawet tego nie zauważyła. Okazało się, że ubrała się za ciepło. Zanim dotarła do dziekanatu, ociekała potem. Nie zdążyła nawet ochłonać przez kilka minut w klimatyzowanym pokoju; sekretarka natychmiast zapędziła ją do gabinetu dziekana.

Coraz gorzej.

W środku czekał na nią dziekan i cała komisja, oceniająca jej pracę doktorską. I emerytowana doktor Howell, która najwyraźniej przybyła specjalnie na tę okazję. Ciekawe tylko, co to za okazja.

Odbębnił po łebkach wstępne uprzejmości, po czym wytoczył ciężką artylerię.

- Fundacja postanowiła wycofać swój wkład finansowy, jeśli nie usuniemy pani z projektu.

- Na jakiej podstawie?

- Przede wszystkim pani wieku - oznajmił dziekan. - Jest pani wyjątkowo młoda jak na uczestnika badań o takim zakresie.

- Ale to mój projekt. Istnieje tylko dlatego, że go wymyśliłam.

- Wiem, że to się wydaje niesprawiedliwe - powiedział dziekan - ale nie pozwolimy, żeby to jakoś wpłynęło na pani doktorat.

- Wpłynęło? - Roześmiała się z konsternacją. - Zdobycie tego grantu zajęło mi rok, choć projekt ma oczywiste znaczenie dla obecnej sytuacji światowej. Nawet gdybym miała w zapasie jeszcze inny projekt, nie może pan udawać, że to nie odwlecze mojego doktoratu o wiele lat.

- Rozumiemy pani problem, ale jesteśmy gotowi przyjąć pracę doktorską o mniejszym... rozmachu.

- Żeby dobrze zrozumiała: ufacie mi tak bardzo, że przyznacie mi stopień naukowy, nie dbając o moją pracę. A jednak tego zaufania nie wystarczy, by pozwolić mi na uczestniczenie w ważnym projekcie mojego pomysłu. Kto będzie nim kierować?

Spojrzała na przewodniczącego komisji. Zarumienił się.

- To nawet nie pańska specjalizacja - powiedziała. - Na tym nie zna się nikt oprócz mnie.

- Jak pani powiedziała - odparł przewodniczący - jest to projekt pani pomysłu. Będziemy się ściśle trzymać pani wskazówek. Uzyskane dane będą miały taką samą wartość bez względu na to, kto kieruje projektem.

Wstała.

- Oczywiście odchodzę - powiedziała. - Nie możecie mi tego zrobić.

- Thereso - odezwała się doktor Howell.

- A! Więc to pani ma mnie uspokoić?

- Thereso - powtórzyła starsza pani. - Doskonale wiesz, o co chodzi.

- Nie, nie wiem.

- Nikt z obecnych przy tym stole tego nie przyzna... ale „przede wszystkim” chodzi o twój wiek.

- A poza tym? Nikt o tym nie mówi.

- Gdyby twój ojciec wrócił do służby - kontynuowała doktor Howell - nikt nie miałby obiekcji wobec tak młodej osoby, prowadzącej ważny projekt badawczy.

Theresa powiodła wzrokiem po twarzach.

- Chyba żartujecie.

- Nikt tego nie powiedział głośno - odezwał się dziekan - ale zwrócono nam uwagę, że główny nacisk pochodzi ze strony największego klienta fundacji.

- Hegemonii - dodał przewodniczący.

- Zostałam ofiarą polityki ojca.

- Lub jego religii - dodał dziekan. - Czy co tam nim kieruje.

- A wy pozwalacie sobą manipulować za... za...

- Uniwersytet zależy od grantów - rzekł dziekan. - Proszę sobie wyobrazić, co się z nami stanie, kiedy nasze prośby o granty będą odrzucane. Hegemonia ma wszędzie ogromne wpływy. Wszędzie.

- Innymi słowy - wtrąciła doktor Howell - tak naprawdę nie ma pani dokąd iść. Należymy do najbardziej niezależnych uniwersytetów, a jednak nie jesteśmy wolni. To dlatego postanowili dać pani doktorat, choć nie może pani zrobić badań. Bo zasługuje pani na niego, a oni zdają sobie sprawę z tej paskudnej niesprawiedliwości.

- Ciekawe, ile trzeba, żeby zabronili mi także wykładać? Doktor nauk, który nie może prowadzić badań. Jakaś kpina.

- My panią zatrudnimy - oznajmił dziekan.

- Dlaczego? Z litości? Co mogę osiągnąć, skoro nie mogę prowadzić badań?

Doktor Howell westchnęła.

- Bo oczywiście będzie pani nadal kierować projektem. Kto inny mógłby tego dokonać?

- Ale anonimowo.

- To ważne badania - powiedziała doktor Howell. - Gra idzie o przetrwanie ludzkiej rasy. Wie pani, mamy wojnę.

- Więc powiedzcie to fundacji, a ona niech powie Hegemonii, żeby...

- Thereso - przerwała doktor Howell. - Pani nazwisko nie znajdzie się pod projektem. Nie będzie mogła pani umieścić go w swoim życiorysie. Ale wszyscy zajmujący się tą dziedziną poznają, kto jest jego autorem. Otrzyma pani tytuł naukowy i pracę, której autorstwo będzie tajemnicą poliszynela. My prosimy tylko, by zacisnęła pani zęby i zgodziła się na idiotyczne wymagania, które nam narzucono - i nie, nie przyjmujemy teraz do wiadomości pani decyzji. A nawet zignorujemy wszystko, co pani powie w ciągu najbliższych trzech dni. Proszę porozmawiać z ojcem. Albo z kimkolwiek z nas, jak pani woli. Ale proszę nie odpowiadać, dopóki pani nie ochłonie.

- Pani mnie traktuje jak dziecko.

- Nie, moja droga - powiedziała doktor Howell. - Zamierzamy traktować panią jak człowieka, którego cenimy za bardzo, by... jak brzmi pani ulubione sformułowanie? By panią wyrzucić.

Dziekan wstał.

- I na tym kończymy to okropne spotkanie, ale liczymy, że pomimo tych okrutnych warunków pozostanie pani z nami.

Wyszedł.

Członkowie komisji uścisnęli jej dłoń - przyjęła to w odrętwieniu - doktor Howell przytuliła ją i szepnęła:

- Wojna pani ojca pociągnie za sobą wiele ofiar, zanim dobiegnie końca. Może pani przelewać za niego krew, ale na Boga, niechże pani za niego nie ginie. W sensie zawodowym.

Spotkanie - a pewnie także jej kariera - dobiegło końca.

John Paul zauważył ją, kiedy szła przez dziedziniec, i dołożył wszelkich starań, by zastała go opartego o balustradę schodów przy wejściu do budynku Nauk Społecznych.

- Chyba trochę za gorąco na sweter? - spytał.

Zatrzymała się i patrzyła na niego tak długo, aż zrozumiał, że usiłuje sobie przypomnieć jego nazwisko.

- Wiggin - powiedziała.

- John Paul - odparł, wyciągając rękę.

Spojrzała na nią, a potem na jego twarz.

- Trochę za gorąco na sweter - zauważyła z roztargnieniem.

- Śmieszne, to samo przyszło mi do głowy - rzekł. Najwyraźniej coś zaprzętało jej myśli.

- Czy to taka metoda? Powiedzieć dziewczynie, że nieodpowiednio się ubrała? Czy też po prostu musiał się pan podzielić ze mną tym spostrzeżeniem?

- Rany. Przejrzała mnie pani na wylot. Tak, to faktycznie działa na kobiety. Muszę się od nich opędzać.

Znowu chwila milczenia. Tym razem nie czekał na kolejną ripostę. Jeśli ma zyskać drugą szansę, musi szybko zastosować jakiś manewr dezorientujący.

- Przepraszam, że powiedziałem, co mi przyszło do głowy - powiedział. - Spytałem „Chyba trochę za gorąco na sweter?”, bo jest trochę za gorąco na sweter. A poza tym chciałem sprawdzić, czy ma pani chwilę na rozmowę ze mną.

- Nie mam - odparła pani Brown. Minęła go i ruszyła do wejścia.

Poszedł za nią.

- Właściwie teraz powinna pani być w pracy, prawda?

- Dlatego idę do pracy.

- Czy mogę pani towarzyszyć?

- To nie są moje godziny pracy.

- Wiedziałem, trzeba było sprawdzić.

Otworzyła drzwi i weszła do budynku.

Poszedł za nią.

- Proszę na to spojrzeć w ten sposób: pod pani drzwiami nie będzie kolejki.

- Wykładałam mało prestiżowy przedmiot o kiepskiej porze. Pod drzwiami nigdy nie ma kolejki.

- A jednak jest tak długa, że wylądowałam aż tutaj.

Znajdowali się u stóp schodów prowadzących na piętro. Pani Brown znów spojrzała mu w oczy.

- Jeśli chodzi o inteligencję, ma pan ponadprzeciętne wyniki. Może innego dnia nasze przekomarzanie by mnie rozbawiło.

Uśmiechnął się. Rzadko się spotyka kobiety, które użyłyby słowa „przekomarzanie” w rozmowie z mężczyzną - istnieje bardzo niewielka grupka kobiet w ogóle znających to słowo.

- Tak, tak - powiedziała, jakby w odpowiedzi na jego uśmiech. - Dziś nie mam dobrego dnia. Nie spotkam się z panem. Mam inne rzeczy na głowie.

- Ja nie mam żadnych - odparł - i jestem dobrym słuchaczem, zadziwiająco dyskretnym.

Ruszyła po schodach.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- O, daję słowo. Na przykład w moich dokumentach są praktycznie same kłamstwa, a ja nigdy nikomu o tym nie powiedziałem.

I znowu minęła chwila, zanim żart do niej dotarł. Tym razem zachichotała cicho. Jakiś postęp.

- Bardzo chciałbym z panią porozmawiać o zajęciach. I choć może się wydawać inaczej, nie przyszedłem tu z gotowym tekstem i nie zamierzam się wymądrzać. Zaskoczyło mnie, że wyklada pani taką wersję stosunków społecznych, która odbiega od standardu - nic takiego nie ma w podręczniku, gdzie jest tylko o naczelnych, więzach społecznych i hierarchii...

- Dojdziemy i do tego.

- Już od dawna nie miałem profesora, który wiedziałby coś, o czym sam nie czytałem.

- Ja nie wiem - odparła. - Usiłuję się dowiedzieć. To różnica.

- Nie odejdę - oświadczył John Paul.

Zatrzymała się w drzwiach swojego gabinetu.

- A to dlaczego? Pomijam fakt, że mogłabym to uznać za napastowanie.

- Wydaje mi się - powiedział - że pani może być mądrzejsza ode mnie.

Roześmiała się mu w twarz.

- Oczywiście, że jestem mądrzejsza od pana.

Triumfalnie podniósł palec.

- Aha! Pani też jest arogancka. Mamy wiele wspólnego. Naprawdę chce mi pani zamknąć drzwi przed nosem?

Zamknęła mu drzwi przed nosem.

Theresa starała się pracować nad następnym wykładem. Próbowwała przeczytać parę pism naukowych. Nie mogła się skoncentrować. Myślała jedynie o tym, że zabierają jej projekt - nie pracę, tylko chwałę. Usiłowała sobie wmówić, że ważna jest tylko nauka, nie prestiż. Przecież nie należała do tych jakże licznych żalosnych młodych naukowców, którym chodzi wyłącznie o karierę, a badania są dla nich tylko trampoliną do sukcesu. Dla niej liczyła

się przede wszystkim praca. Dlaczego więc nie pogodzić się z rzeczywistością polityczną, przyjmując zdradziecką „ofertę” i być zadowolonym?

Nie chodzi o chwałę. Chodzi o Hegemonię, która przekształciła całą naukę w perwersyjne narzędzie przymusu. Choć nauka wygląda na czystą tylko w porównaniu z polityką.

Zaczęła wyświetlać na pulpicie dane swoich studentów, wywoływać ich zdjęcia i dokumenty. Podświadomie wiedziała, że szuka Johna Paula Wiggina. Zaintrygowało ją to, co powiedział o swoich dokumentach, a sprawdzanie go było zajęciem tak prostym, że mogła je wykonać, nawet nie przestając się martwić tym, co jej zrobiono.

John Paul Wiggin. Drugie dziecko Briana i Anne Wigginów; starszy brat Andrew. Urodzony w Racine w stanie Wisconsin. To dlatego najwyraźniej dobrze wiedział, kiedy należy wkładać sweter. Same piątki w szkole w Racine. Ukończył ją o rok wcześniej, wygłosił mowę na rozdaniu dyplomów, uczęszczał do mnóstwa klubów, trzy lata grał w piłkę nożną. Dokładnie takiego typu uczniów szukają uniwersytety. A jego wyniki na uczelni były równie dobre - nic poniżej piątki, a wybrał trudne przedmioty. O rok od niej młodszy. A jednak... nie zdecydował się na żadną specjalizację, co oznaczało, że choć zaliczył odpowiednią liczbę godzin wykładów i mógłby ukończyć studia w tym roku, nadal nie wie, co chce robić w przyszłości.

Inteligentny dyletant. Tylko zmarnował tu czas.

Ale powiedział, że to wszystko kłamstwa.

Co dokładnie? Chyba nie stopnie - był tak inteligentny, że na nie zasługiwał. Co jeszcze mogło nie być prawdą? O co mu chodziło?

Tylko starał się ją zaciekawić. Zauważył, że jest młoda jak na nauczycielkę, a w tym środowisku nauczyciel zajmuje prestiżowe miejsce. Może usiłował się zaprzyjaźnić ze wszystkimi profesorami. Jeśli zacznie sprawiać kłopoty, będzie musiała się rozpytać i sprawdzić, jak to z nim jest.

Pulpit zapiszczał, sygnalizując rozmowę.

Przycisnęła klawisz BEZ OBRAZU, a potem ODPOWIEDZ. Oczywiście wiedziała, kto dzwoni, choć nie wyświetlił się numer ani tożsamość.

- Witaj, ojciec - powiedziała.

- Włącz obraz, kochanie, chcę cię zobaczyć.

- Będziesz musiał sobie przypomnieć - odparła. - Nie chcę teraz rozmawiać.

- Te dranie nie mogą ci tego zrobić.

- Mogą.

- Przykro mi, kochanie. Nie chciałem, żeby moje decyzje miały wpływ na ciebie.
- Jeśli robale zniszczą Ziemię, bo ich nie powstrzymasz, na pewno będzie to miało na mnie wpływ.

- A jeśli je pokonamy, ale stracimy wszystko, dla czego warto być człowiekiem...
- Ojcie, tylko bez przemówień, znam to na pamięć.
- Kochanie, mówię tylko, że nie zrobiłbym tego, gdybym wiedział, że będą ci przeszkadzać w karierze.

- Aha, jasne, narazisz cały rodzaj ludzki, ale nie karierę córki.
- Niczego nie narażam. Oni już mają wszystko, co wiem. Jestem teoretykiem, nie dowódcą - teraz potrzebują dowódcy, a to całkiem inna umiejętność. Tak naprawdę chodzi tylko o to... no, ich wściekłość z powodu mojego odejścia bardzo im zaszkodziła w oczach społeczeństwa i...

- Ojcie, nie zauważyłeś, że nie zadzwoniłam do ciebie?
- Właśnie się dowiedziałas.
- Tak, a kto ci powiedział? Ktoś ze szkoły?
- Nie, Grasdolf, przyjaciel z fundacji i...
- Właśnie.
Ojciec westchnął.
- Jesteś cyniczna.
- Na co komu zakładnik, jeśli nie wyśle się listu z żądaniami?
- Grasdolf jest moim przyjacielem, oni go tylko wykorzystują, a ja szczerze mówiłem...

- Ojcie, pewnie przez chwilę wydawało ci się, że mógłbyś się wyrzec tej swojej nierealnej krucjaty, żeby ułatwić mi życie, ale prawda wygląda tak, że tego nie zrobisz, i oboje o tym wiemy. Nawet nie chodzi o to, że tego nie chcę. Mnie to w ogóle nie obchodzi. Zgoda? Toteż masz czyste sumienie, ich próba szantażu się nie powiodła, szkoła zajmie się mną na swój sposób, no i wiesz, w mojej klasie jest inteligentny, uroczy i cholernie zarozumiały chłopiec, który do mnie uderza, więc życie jest mniej więcej idealne.

- Ależ z ciebie szlachetna męczennica.
- Widzisz, jak szybko przeszliśmy do walki?
- Bo nie rozmawiasz ze mną, tylko mówisz wszystko, co twoim zdaniem mnie zniechęci.
- Najwyraźniej ciągle mi się nie udaje. Ale jestem blisko?

- Dlaczego to robisz? Dlaczego zamykasz drzwi przed wszystkimi, którym na tobie zależy?

- O ile mi wiadomo, zamknęłam drzwi tylko przed tymi, którzy czegoś ode mnie chcieli.

- A ja, twoim zdaniem, czego chcę?

- Chcesz być znany jako najwspanialszy teoretyk wojskowy wszech czasów i jednocześnie mieć rodzinę tak ci oddaną, jakby cię naprawdę znała. Widzisz? Nie chcę z tobą rozmawiać, już to przerabialiśmy wiele razy, a kiedy się rozłączę, co zaraz zamierzam zrobić, proszę, nie dzwoń i nie zostawiaj mi żalosnych wiadomości. Tak, kocham cię, doskonale sobie poradzę i koniec, kropka, cześć.

Rozłączyła się.

Dopiero wtedy się rozplakała.

Były to łyzy frustracji. Nic takiego. Musiała rozładować napięcie. Nie obchodziło jej nawet, czy ludzie usłyszą, że płacze - to jej badania miały być obiektywne, nie ona.

Przestała łkać, położyła ręce na biurku, oparła na nich głowę i może nawet na chwilę zasnęła. Chyba tak. Zrobiło się późne popołudnie. Zgłodniała i chciało się jej siusiu. Nie jadła od rana, a jeśli zapominała o obiedzie, koło czwartej zawsze zaczynało się jej kręcić w głowie.

Na pulpicie nadal miała akta studentów. Wyczyściła je, wstała, poprawiła prze poczone ubranie i pomyślała: naprawdę jest za ciepło na sweter, zwłaszcza taki gruby i obszerny. Ale nie miała pod spodem koszuli, nie było więc rady, musiała wrócić do domu, oczekając potem.

Jeśli miała wracać do domu za dnia, mogłaby zacząć ubierać się tak, żeby strój pasował również do popołudniowej temperatury. Ale na razie nie była zainteresowana pracą do późna. I tak na jej dokonaniach będzie widnieć cudze nazwisko, prawda? Do diabła z nimi wszystkimi i z ich grantem też.

Otworzyła drzwi...

I zobaczyła tego Wiggina, który siedział plecami do drzwi i rozkładał plastikowe sztucce na papierowych serwetkach. Zapach gorącego jedzenia niemal zapędził ją z powrotem do gabinetu.

Wiggin spojrzał na nią bez uśmiechu.

- Sajgonki z Hunan, kawałki pieczonego kurczaka z My Thai, sałatki z Garden Green, a jeśli zechce pani zaczekać parę minut, z Trompe L'Oeuf dojadą faszerowane grzyby.

- Muszę do toalety - powiedziała. - Nie potrzebuję do towarzystwa obłąkanego studenta, który koczuje pod moimi drzwiami, więc gdyby zechciał się pan odsunąć...

Odsunął się.

Myjąc ręce, pomyślała, że mogłaby nie wracać do gabinetu. Zamek się zatrzasnął. Miała przy sobie torebkę. Nie była nic winna temu chłopcu.

Ciekawość zwyciężyła. Nie zamierzała jeść, ale musiała poznać odpowiedź na jedno pytanie.

- Skąd pan wiedział, kiedy wychodzę? - spytała, stając nad nim.

- Nie wiedziałem. Pizza i burrito wylądowały w śmieciach odpowiednio pół godziny i piętnaście minut temu.

- Czyli zamawia pan jedzenie w regularnych odstępach czasowych, żeby...

- Żeby - kiedy pani wyjdzie - było gorące i/albo świeże.

- I/albo?

Wzruszył ramionami.

- Jeśli pani nie smakuje, to trudno. Oczywiście muszę oszczędzać, ponieważ żyję z tego, co mi płacą za stróżowanie w budynku nauk ścisłych. Jeśli się pani nie poczęstuje, pensja za pół tygodnia pójdzie przez okno.

- Pan naprawdę jest kłamcą. Wiem, ile płacą za stróżowanie na część etatu, i musiałby pan oszczędzać przez dwa tygodnie, żeby za to zapłacić.

- Więc litość nie skłoni pani do jedzenia w moim towarzystwie?

- Skłoni. Ale nie litość dla pana.

- A dla kogo?

- Oczywiście dla samej siebie - powiedziała, siadając. - Grzybów i tak bym nie tknęła, mam alergię na shiitake, a w Oeuf myślą, że to jedyne prawdziwe grzyby. A kurczak w kawałkach musi być zimny, bo nigdy nie podają go na gorąco, nawet w restauracji.

Położył serwetkę na jej skrzyżowanych nogach, podał nóż i widelec.

- Chce pani wiedzieć, gdzie w moich dokumentach znajdują się przekłamania? - spytał.

- Nie obchodzi mnie to. Nie zaglądałam do pańskich akt.

Wskazał swój pulpit.

- Już dawno zamontowałem w bazie danych program monitorujący. Wiem, kiedy i kto zyskuje dostęp do moich dokumentów.

- Absurd. Szkoła sprawdza swoje programy dwa razy dziennie.

- Szukają znanych wirusów i wykrywalnych anomalii.

- Ale pan chce mi zdradzić swoją tajemnicę?

- Tylko dlatego, że pani mnie okłamała - powiedział Wiggin. - Notoryczni kłamcy nie donoszą na siebie.

- W porządku - odparła. Chciała powiedzieć: w porządku, co jest kłamstwem? Ale potem skosztowała sajgonkę i znowu powiedziała: - W porządku.

Tym razem miało to znaczyć: smaczne.

- Cieszę się. Każę je robić z imbirem, który bardzo dobrze podkreśla smak warzyw. Choć oczywiście potem maczam je w tym przeraźliwie żrącym sosie sojowo-musztardowo-chili, dlatego właściwie nie mam pojęcia, jak smakują.

- Niech spróbuję tego sosu - powiedziała. Miał rację, był taki smaczny, że miała ochotę polać nim sałatkę. Albo od razu wypić.

- A jeśli chce pani wiedzieć, co w moich dokumentach jest nieprawdą, oto lista: wszystko. Tylko znaki przestankowe są prawdziwe.

- Bzdura. Kto by robił coś takiego? Po co? Jest pan objęty programem ochrony świadków?

- Nie urodziłem się w Wisconsin, tylko w Polsce. Mieszkalem tam przez pierwsze sześć lat życia. W Racine spędziłem tylko dwa tygodnie. Poznawałem okolicę, żeby się nie zdradzić, gdybym spotkał tutaj jakiegoś mieszkańca Racine.

- Polska - powtórzyła. Przez krucjatę ojca przeciwko prawu populacyjnemu wiedziała, że jest to niesubordynowany kraj.

- Aha. Jesteśmy nielegalnymi emigrantami z Polski. Przemknęliśmy się przez sieć Hegemonii. A może powinienem powiedzieć, że jesteśmy półlegalni.

Dla ludzi takich jak on, Hinckley Brown był bohaterem.

- O - powiedziała z rozczarowaniem. - Rozumiem. Ten piknik jest nie na moją cześć, tylko mojego ojca.

- Dlaczego? Kim jest pani ojciec?

- Daj spokój, Wiggin, wiesz, co dziś rano powiedziała ta dziewczyna. Moim ojcem jest Hinckley Brown.

John Paul wzruszył ramionami, jakby nigdy o nim nie słyszał.

- Akurat - powiedziała. - W zeszłym roku wszyscy o nim mówili. Mój ojciec wystąpił z Floty Międzynarodowej z powodu prawa populacyjnego, a pańska rodzina pochodzi z Polski. Zbieg okoliczności? Nie sądzę.

Roześmiał się.

- Rany, ale pani podejrzliwa.

- Nie do wiary. Nie kupiłeś wontonów z Hunan?

- Nie wiedziałem, czy je pani lubi. Mają specyficzny smak. Nie chciałem ryzykować.
- Zorganizował pan piknik pod moimi drzwiami, wyrzuca pan dania, które wystygły, zanim wyszłam... Gdzie tu ryzyko?

- Niech się zastanowię... - powiedział Wiggin. - Inne kłamstwa. A, moje nazwisko nie brzmi Wiggin, tylko Wieczorek. I mam więcej rodzeństwa.

- A ta mowa na zakończenie szkoły?

- Wygłosiłbym ją, ale przekonałem zarząd, żeby ze mnie zrezygnował.

- Dlaczego?

- Nie chciałem zdjęć, żeby uczniowie mnie nie zapamiętali.

- Samotnik. To wyjaśnia wszystko.

- Nie wyjaśnia, dlaczego pani płakała w gabinecie.

Wyjęła z ust ostatni kawałek sajgonki.

- Przepraszam, że nie mogę oddać tego, co już zjadłam - rzuciła. - Nie kupi pan mojego prywatnego życia za parę dań na wynos.

Położyła mokry od śliny kęs na serwetce.

- Myśli pani, że nie zauważyłem, co zrobili z pani projektem? - spytał. - Wyrzucili panią, choć to był pani pomysł. Ja też bym się popłakał.

- Nie wyrzucili mnie.

- *Scuzi, bella donna*, ale dokumenty nie kłamią.

- Co za bzdurne... - Potem zdała sobie sprawę, że Wiggin się śmieje.

- Cha, cha - dodała.

- Nie chcę kupować pani życia, tylko nauczyć się wszystkiego, co pani wie o naukach społecznych.

- Zatem proszę przyjść na zajęcia. I następnym razem przynieść poczęstunek dla kolegów.

- To nie jest poczęstunek dla kolegów - odparł mały Wiggin - tylko dla pani.

- Dlaczego? Czego pan ode mnie chce?

- Chcę być tym, po czym telefonie pani nigdy nie płacze.

- W tej chwili, gdy pana widzę, mam tylko chęć krzyczeć.

- To przejdzie - oznajmił Wiggin. - Kolejne kłamstwo dotyczy mojego wieku. Tak naprawdę jestem o dwa lata starszy. Późno poszedłem do amerykańskiej szkoły, bo musiałem się nauczyć angielskiego i... wystąpiły pewne komplikacje z kontraktem, którego nie zamierzałem dotrzymać. Ale potem poddali się i sfalszowali mój wiek, żeby nikt się nie zorientował.

- Kto się poddał?
- Hegemonia - powiedział ten mały Wiggin.

Przecież on nie jest mały, pomyślała. To mężczyzna. John Paul Wiggin. Dziwnie było myśleć o jego imieniu. To nieprofesjonalne. Niebezpieczne.

- Pan zmusił Hegemonię, żeby się poddała?
- Nie wiem, czy się zupełnie poddała. Myślę, że tylko zmieniła cel.
- Dobrze, teraz naprawdę mnie pan zaciekawił.
- I nie jest już pani zirytowana ani głodna?
- Jestem.
- Co panią ciekawi?
- Na czym polegał pański spór z Hegemonią?

- Ogólnie rzecz biorąc, poszło o Flotę. Myśleli, że powinienem pójść do Szkoły Bojowej.

- Do tego nie mogli pana zmusić.
- Wiem. Ale powiedziałem im, że pójdę do Szkoły Bojowej, jeśli najpierw wywiozą z Polski całą moją rodzinę i zrobią tak, że sankcje przeciwko nadmiernie liczным rodzinom nie będą nas obowiązywać.
- Te sankcje mają zastosowanie także w Ameryce.
- Tak, jeśli się robi wokół nich wielki hałas. Jak pani ojciec. Jak cały pani Kościół.
- To nie jest mój Kościół.
- No jasne, pani jest pierwszą osobą w historii, na którą religijne wychowanie nie miało żadnego wpływu.

Miała ochotę się z nim sprzeczać, ale wiedziała, że jego stwierdzenie opiera się na nauce wykazującej niemożność ucieczki od podstawowego światopoglądu, który rodzice wszczepiają dzieciom. Od dawna z niego zrezygnowała, ale on nadal w niej tkwił, toteż głosy rodziców nieustannie prowadziły w niej spór z jej wewnętrznym głosem.

- Prawo karze nawet tych ludzi, którzy po cichu wychowują liczne dzieci.
- Moje starsze rodzeństwo wychowywało się u krewnych. Nigdy nie było nas w domu więcej niż dwoje. Podczas „wizyt” nazywano nas siostrzeńcami.
- A Hegemonia na to przystała, nawet kiedy nie zgodził się pan pójść do Szkoły Bojowej.
- Mniej więcej. Tak naprawdę na jakiś czas zmusili mnie do nauki, ale zastrajkowałem. Wówczas zaczęli wspominać o wysłaniu nas z powrotem do Polski albo o ukaraniu w Ameryce.

- I dlaczego tego nie zrobili?

- Miałem pisemną umowę.

- Od kiedy coś takiego przeszkadza rządowi?

- Nie chodzi o to, że umowa była jakoś szczególnie sformułowana, tylko o to, że w ogóle istniała. Ja jedynie zagroziłem, że ją opublikuję. Nie mogli zaprzeczyć, że naginają prawo populacyjne, ponieważ byliśmy na to żywym dowodem.

- Rząd potrafi sprawić, żeby niewygodne dowody zniknęły.

- Wiem - powiedział John Paul. - Dlatego uważam, że nadal mają wobec mnie jakieś plany. Nie mogli mnie umieścić w Szkole Bojowej, ale pozwolili całej mojej rodzinie pozostać w Ameryce. Jak w historii o diable, który kiedyś zgłosi się po sprzedaną duszę.

- I to pana nie niepokoi?

- Będę się tym martwił, kiedy nadejdzie pora. A pani? Już wiadomo, jaki plan mieli wobec pani.

- Nie całkiem. Z pozoru wygląda to na typową politykę Hegemonii - ukarać córkę, żeby sławny ojciec zrezygnował z buntu przeciwko prawu populacyjnemu. Niestety, mój ojciec wychował się na filmie „Oto jest głowa zdrajcy” i uważa się za Thomasa More’a. Rozczarowało go chyba tylko to, że ucięli głowę mnie, nie jemu; rzecz jasna, z zawodowego punktu widzenia.

- Tylko pani uważa, że coś za tym stoi?

- Dziekan i komisja zamierzają mi dać stopień naukowy i pozwolili mi kierować projektem, ale chwała przypadnie komu innemu. No tak, to irytujące, lecz na dłuższą metę nieistotne. Nie sądzi pan?

- Może uważają, że kariera jest dla pani równie ważna, jak dla nich.

- Wiedzą przecież, że mój ojciec nie jest karierowiczem. Chyba nie uważają, że to go załamię. Albo że mogą mnie skłonić do wywarcia na niego nacisku.

- Nie wolno nie doceniać głupoty rządu.

- Jest wojna - powiedziała. - Czas wyjątkowy, i oni w to wierzą. Tolerancja dla idiotów na wysokich stanowiskach jest obecnie bardzo mała. Nie, nie wierzę, że są głupi. Myślę, że na razie nie rozumiem ich planu.

Skinął głową.

- Oboje czekamy, aż się zdemaskują.

- Chyba tak.

- A pani zamierza tu zostać i dalej kierować swoim projektem.

- Na razie.

- Jak pani zacznie, nie zrezygnuje pani, dopóki nie pojawią się rezultaty.

- Niektóre pojawiają się dopiero za dwadzieścia lat.

- Badania długofalowe?

- Właściwie obserwacje. W pewnym sensie to absurd - próba poddania historii regułom matematycznym. Ale określiłam kryteria mierzące główne komponenty społeczności miejskich o długim czasie egzystencji oraz czynniki powodujące cofnięcie się społeczności miejskiej do poziomu plemiennego. Czy *civitas* może trwać wiecznie? Czy też rozpad jest nieuniknionym efektem istnienia udanej społeczności miejskiej? A może istnieje potrzeba życia plemiennego, która z czasem zawsze daje o sobie znać? Na razie nie wygląda to dobrze dla ludzkiej rasy. Moje wstępne badania wykazują, że kiedy społeczność miejska dojrzeje i osiągnie sukces, obywatele zaczynają narzekać, a następnie, żeby zaspokoić swoje pragnienia, ustanawiają na nowo plemiona, co powoduje odśrodkowy rozpad społeczności.

- Czyli zarówno klęska, jak i sukces prowadzą do klęski.

- Pozostaje pytanie, czy jest to nieuniknione.

- Tak, to może być przydatna informacja.

- Na razie mogę im powiedzieć, że ograniczanie populacji jest prawdopodobnie najgłupszą decyzją, jaką mogli podjąć.

- Zależy, jaki mieli cel - odparł John Paul.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Chce pan powiedzieć, że może im nie chodzić o przetrwanie Hegemonii?

- Czym jest właściwie Hegemonia? Zgromadzeniem narodów, które sprzymierzyły się, by stawić opór wrogowi. A jeśli wygramy? Dlaczego mielibyśmy dalej chcieć Hegemonii? Dlaczego narody takie jak ten miałyby się jej poddawać?

- Mogłyby, gdyby Hegemonia była dobrze zarządzana.

- Tego się boją. Jeśli tylko parę państw zechce z niej wystąpić, inne mogłyby je zmusić do pozostania, tak jak Północ zmusiła Południe podczas wojny secesyjnej. Dlatego jeśli ktoś zamierza zerwać z Hegemonią, trzeba się upewnić, ile państw i plemion jej nienawidzi i uważa ją za okupanta.

Ależ ja jestem głupia, pomyślała Theresa. Przez te wszystkie lata ani ojciec, ani ja nawet nie zakwestionowaliśmy powodu, dla którego ustanowiono prawo populacyjne.

- Naprawdę uważa pan, że w Hegemonii jest ktoś wystarczająco inteligentny, żeby mu to przyszło do głowy?

- Nie trzeba wielu. Kilku głównych graczy. Jak pani myśli, dlaczego tak kontrowersyjny wymóg stał się absolutną podstawą programu wojennego? Prawo populacyjne

nie wspomaga ekonomii. Posiadamy mnóstwo surowców i moglibyśmy zyskać więcej i szybciej, gdyby populacja światowa stopniowo rosła. Wszystkie inne rozwiązania są nieproduktywne. A jednak jest to dogmat, którego nikt nie ośmiela się podważać. To widać po reakcji klasy, kiedy dziś poruszyła pani ten temat.

- Jeśli nie chcą przetrwania Hegemonii, dlaczego pozwalają na kontynuację mojego projektu?

- Może ludzie, którzy ustanowili prawo populacyjne, nie są tymi samymi, którzy pozwalają pani dyskretne prowadzić badania.

- Gdyby mój ojciec nadal znajdował się w centrum zdarzeń, mógłby mi nawet powiedzieć, kim oni są.

- Albo nie. Pracował dla Floty. Tamci mogą nie być wojskowymi. Może pochodzą z różnych rządów państwowych i w ogóle nie należą do Hegemonii. A jeśli to rząd amerykański po cichu wspiera pani badania, jednocześnie ostentacyjnie przestrzegając prawa Hegemonii?

- Tak czy inaczej, jestem tylko narzędziem.

- Daj spokój. Wszyscy jesteśmy narzędziami w cudzej skrzynce. Ale to nie znaczy, że nie możemy uczynić narzędzi z innych ludzi. Albo znaleźć interesujący sposób użycia nas samych.

Rozdrażniło ją, że przeszedł z nią na ty. No, może nie rozdrażniło. W każdym razie coś poczuła i to ją wytrąciło z równowagi.

- Było mi bardzo miło, ale panu się chyba wydaje, że ten piknik zmienił charakter naszego związku.

- Oczywiście - odpowiedział. - Bo do tej pory go nie mieliśmy, a teraz mamy.

- Mieliśmy: związek nauczycielki i studenta.

- I ten nadal będziemy mieć - na zajęciach.

- I żadnego innego.

- Niezupełnie. Bo ja także jestem nauczycielem, a ty studentką, kiedy rozmawiamy o sprawach, które ja znam, a ty nie.

- Dam panu znać, kiedy do tego dojdzie. Zapiszę się na pańskie zajęcia.

- Możemy nawzajem uczyć się myślenia. Razem jesteśmy mądrzejsi. A skoro osobno oboje jesteśmy niewiarygodnie inteligentni, połączenie nas da wręcz przerażające efekty.

- Intelktualna fuzja - dodała kpiąco.

Ale przecież to nie była kpina, prawda? Tylko realna możliwość.

- Oczywiście nasz związek jest bardzo chwiejny - dodał John Paul.

- Pod jakim względem? - spytała, podejrzewając, że znalazł jakiś inteligentny sposób zasugerowania, że to on jest mądrzejszy lub bardziej twórczy.

- Bo jestem w pani zakochany - powiedział John Paul - a pani nadal mnie uważa za denerwującego studenta.

Wiedziała, co powinna poczuć. Powinna pomyśleć, że jego uczucie jest wzruszające i słodkie. Zdawała sobie też sprawę, co powinna zrobić. Powinna mu natychmiast oznajmić, że jego uczucie jej pochlebia, lecz nic z tego nie będzie, ponieważ go nie odwzajemnia i nigdy nie odwzajemni.

Ale tego nie wiedziała. Nie miała takiej pewności. W jego wyznaniu było coś zapierającego dech.

- Przecież dopiero się poznaliśmy - odrzekła.

- I to, co czuję, to dopiero pierwsze drgnienie miłości. Jeśli dalej będzie mnie pani traktować jak kłak kurzu, oczywiście przezwyciężę to uczucie. Ale nie chcę! Chcę panią coraz lepiej poznawać, żeby coraz bardziej kochać. Myślę, że jest pani dla mnie odpowiednią partnerką - bardziej niż odpowiednią. Gdzie znajdę kobietę, która mnie przewyższy inteligencją?

- Od kiedy to mężczyźni tego szukają?

- Tylko idiota, który chce wyglądać na mądrego, szuka głupiej kobiety. Tylko słaby mężczyzna, który chce wyglądać na silnego, szuka kobiety uległej. Na pewno nauki społeczne coś o tym wspominają.

- Czyli zobaczył mnie pan dziś rano i...

- Usłyszałem panią, rozmawialiśmy, zmusiła mnie pani do myślenia, ja panią też, i zaiskrzyło. Tak jak przed chwilą, kiedy siedzieliśmy, próbując rozgryźć zamiary Hegemonii. Pewnie gdyby wiedzieli, że siedzimy tu, knując przeciwko nim, oszaleliby ze strachu.

- A my knujemy?

- Oboje ich nienawidzimy.

- Jeśli chodzi o mnie, nie jestem pewna. Mój ojciec tak. Ale ja to nie on.

- Nienawidzi pani Hegemonii, ponieważ nie jest tym, za co chce uchodzić - oświadczył John Paul. - Gdyby naprawdę była rządem całej rasy ludzkiej, dbającym o demokrację, sprawiedliwość, rozwój i wolność, ani ja, ani pani byśmy się jej nie sprzeciwiali. Tymczasem to zwykły czasowy sojusz, który wziął pod swój parasol wiele złych rządów. A skoro wiemy, że te rządy dopuszczają się manipulacji, by Hegemonia nigdy nie stała się taka jak powinna, to co może zrobić para tak inteligentnych młodych ludzi jak my? Tylko spiskować w celu obalenia obecnej Hegemonii i zastąpienia jej czymś lepszym.

- Polityka mnie nie interesuje.

- Polityka jest pani życiem - odparł. - Tylko nazywa ją pani „naukami społecznymi” i udaje, że interesuje panią tylko obserwacja i zrozumienie. Ale kiedyś urodzi pani dzieci, które będą musiały żyć w tym świecie - a pani już teraz myśli o tym, jaki on będzie.

To jej się nie spodobało.

- Dlaczego pan myśli, że zamierzam mieć dzieci?

Tylko się roześmiał.

- Na pewno nie będę ich miała, żeby zakpić z prawa populacyjnego.

- Dobra, dobra - powiedział. - Już przeczytałem podręcznik. To jedna z podstawowych zasad nauk społecznych. Nawet ci ludzie, którym się wydaje, że nie chcą się rozmnażać, podejmują większość decyzji tak, jakby brali aktywny udział w rozmnażaniu.

- Są wyjątki.

- Patologiczne. Pani jest zdrowa.

- Czy wszyscy Polacy są tak aroganccy, wścibscy i chamscy?

- Paru mi dorównuje, ale większość może tylko pomarzyć.

- Czyli postanowił pan dziś na zajęciach, że będę matką pańskich dzieci?

- Thereso, oboje jesteśmy w najlepszym wieku reprodukcyjnym. Wszystkich poznanych ludzi oceniamy pod kątem ich zdolności rozrodczych.

- Może ja pana oceniłam inaczej.

- Na pewno. Ale w najbliższej przyszłości dołożę starań, żeby nabrać dla ciebie nieodpartego uroku.

- Nie przyszło panu do głowy, że powiedzenie tego wprost może mieć wyjątkowo odstręczający efekt?

- Daj spokój. Od samego początku wiedziałś, o co mi chodzi. Co bym zyskał udawaniem?

- Może chcę się poczuć adorowana. Mam wszystkie potrzeby osobnika płci żeńskiej.

- Przepraszam, ale niektóre kobiety by uznały, że całkiem nieźle cię adoruję. Dostałaś złe wieści, odbyłaś nieprzyjemną rozmowę telefoniczną, popłakałaś się, a kiedy wyszłaś, zobaczyłaś mnie z przyjęciem na swoją cześć i wiesz, że zadałem sobie masę trudu, żeby je przygotować, i że zrobiłem to z własnej woli - w dodatku wyznałem ci miłość i zamiar towarzyszenia w życiu naukowym, politycznym i rodzinnym. Moim zdaniem to cholernie romantyczne.

- No, może. Ale czegoś brakuje.

- Wiem. Czekałem na właściwy moment z wyznaniem, jak bardzo chcę zdjąć z ciebie ten idiotyczny sweter. Pomyślałem, że poczekam, dopóki sama tego nie zapragniesz tak bardzo, że nie będziesz już mogła wytrzymać.

Wbrew sobie roześmiała się i zarumieniła.

- Na to sobie jeszcze długo poczekasz, kolego.

- Tyle, ile będzie trzeba. Jestem katolikiem z Polski. W moim kraju żenimy się z dziewczynami, które nie dają mleka, dopóki nie kupi się całej krowy.

- O, to bardzo atrakcyjne porównanie.

- To może „nie znoszą jaj, dopóki nie kupi się kury”?

- Albo bekonu, dopóki nie kupi się świni?

- Auu. Ale skoro nalegasz, mogę spróbować myśleć o tobie w kategoriach nierogaczyny.

- Dziś mnie nie pocałujesz.

- Kto by chciał? Masz sałatkę między zębami.

- Jestem zbyt rozchwiana emocjonalnie, żeby podejmować racjonalne decyzje.

- Na to liczyłem.

- O, nowa myśl - zauważyła nagle. - A jeśli to jest ich plan?

- Czyj?

- Ich. Tych samych „ich”, o których mówimy od początku. Może nie odesłali cię do Polski, bo chcieli, żebyś ożenił się z bardzo inteligentną dziewczyną - na przykład córką czołowego teoretyka wojskowego. Oczywiście nie mogli mieć pewności, że dostaniesz się do mojej klasy.

- Owszem, mogli - rzekł z namysłem.

- Ach. Więc nie chciałeś do niej trafić.

Zapatrzył się na resztki jedzenia.

- Bardzo interesująca myśl. Może jesteśmy czymś projektem w programie eugenicznym.

- Od czasu powstania koedukacyjnych uczelni są one rynkiem matrymonialnym dla bogatych ludzi, którzy chcą sobie znaleźć inteligentnych partnerów.

- I odwrotnie.

- Ale czasami dochodzi do spotkania dwojga inteligentnych ludzi.

- A kiedy rodzą im się dzieci, klękajcie narody.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- To była wyjątkowa arogancja, nawet dla mnie - powiedział John Paul. - Jakbyśmy byli dla nich tak ważni, że postawili wszystko na to, byśmy się w sobie zakochali.

- Może znając nasz nieodparty urok, wiedzą, że jeśli się spotkamy, po prostu musimy się w sobie zakochać.

- Mnie się to zdarzyło - powiedział.

- A mnie nie.

- Uwielbiam wyzwania.

- A jeśli się dowiemy, że to prawda? Że naprawdę nami manipulują?

- I co z tego? Co z tego, że idąc za głosem serca, przy okazji realizuję czyjś plan?

- A jeśli ich plan nam się nie spodoba? - spytała. - Jeśli będzie tak, jak z Rumpelstiltskinem? Jeśli będziemy musieli oddać to, co najbardziej kochamy, żeby mieć to, czego najbardziej pragniemy?

- Lub odwrotnie.

- Ja nie żartuję.

- Ani ja - oświadczył John Paul. - Nawet w społeczeństwach, gdzie małżeństwo aranżują rodzice, nikt nie zakazuje zakochać się w swoim partnerze.

- Ja nie jestem zakochana, panie Wiggin.

- Dobrze. Powiedz, żebym odszedł.

Milczała.

- Nie mówisz, żebym odszedł.

- Powinam. Prawdę mówiąc, już to zrobiłam kilka razy, ale ty nie odszedłeś.

- Chciałem się upewnić, że wiesz, z czego rezygnujesz. Ale teraz, kiedy już zjadłaś i wysłuchałaś moich wyznań, nie zamierzam uznać „nie” za odmowę, jeśli zamierzasz powiedzieć „nie”.

- Nie zamierzam. Tylko zrozum, że brak „nie” nie oznacza „tak”.

Roześmiał się.

- Rozumiem. Rozumiem też, że brak „tak” nie oznacza „nie”.

- W pewnych okolicznościach. I w pewnych sytuacjach.

- Czyli co do pocałunku ciągle zdecydowane „nie”? - spytał.

- Mam sałatkę między zębami, pamiętasz?

Ukląkł, pochylił się i pocałował ją lekko w policzek.

- Nie ma zębów, nie ma sałatki.

- Nawet jeszcze cię nie lubię, a ty sobie pozwalasz.

Pocałował ją w czoło.

- Zdajesz sobie sprawę, że widziało nas tu ze trzydzieści osób. A każda mogłaby nas przyłapać na całowaniu.

- Skandal - powiedziała.

- Ruina - dodał.

- Doniesiono by władzom.

- Które by się ucieszyły.

I ponieważ dzień był pełen emocji, on naprawdę się jej podobał, a w głowie miała taki zamęt, że nie wiedziała już, co jest dobre, słuszne czy mądre, poddała się impulsowi i oddała pocałunek. W usta. Lekki, dziecinny, ale zawsze pocałunek.

Potem przyniesiono grzyby i kiedy John Paul płacił kurierce i dawał jej napiwek, Theresa oparła się o drzwi swojego gabinetu i usiłowała się zastanowić nad tym, co się dzisiaj wydarzyło, co się nadal działo z tym małym Wigginem, co mogło się wydarzyć w przyszłości - z jej pracą, życiem, z nim.

Nic nie było jasne. Ani pewne.

A jednak pomimo wszystkich złych rzeczy, które się wydarzyły, i wszystkich łez, które przełała, pomyślała, że w sumie był to bardzo dobry dzień.

GRA ENDERA

- Bez względu na to, jaka będzie grawitacja, kiedy dostaniecie się do swojej bramy, pamiętajcie: brama przeciwnika jest na dole. Jeśli przejdziecie przez swoją bramę, jakbyście szli na spacer, staniecie się jednym wielkim celem i zasłużycie na to, żeby oberwać. I to z czegoś większego niż miotacz.

Ender Wiggin zrobił pauzę i powiódł wzrokiem po grupie. Większość wpatrywała się w niego w napięciu. Kilku go rozumiało. Paru patrzyło chmurnie i z urazą.

Pierwszy dzień w jego oddziale, prosto z grup ćwiczeniowych. Ender zapomniał, jak młodzi mogą być zieloni. Był tu od trzech lat, oni od sześciu miesięcy - w całej grupie nie znalazłby nikogo liczącego ponad dziewięć lat. Ale to jego oddział. Skończył jedenaście lat i został dowódcą pół roku przed czasem. Miał własny pluton i znał parę sztuczek, ale w jego nowej armii znalazło się czterdziestu żołnierzy. Zielonych. Wszyscy doskonale potrafili strzelać z miotacza, wszyscy osiągnęli najlepszą formę, w przeciwnym razie by ich tu nie było - ale wszyscy równie dobrze mogli paść w pierwszej bitwie.

- Pamiętajcie - ciągnął - oni was nie widzą, dopóki nie przejdziecie przez bramę. Ale w chwili, kiedy znajdziecie się w sali, będziecie ich mieli na karku. Więc wchodźcie w bramę w takiej pozycji, w jakiej chcecie się znaleźć, kiedy zaczną do was strzelać. Nogi przed siebie, skierowane w dół. - Wskazał naburmuszonego chłopca, najmniejszego ze wszystkich. Wyglądał na najwyżej siedem lat. - Gdzie jest dół?

- Tam, gdzie brama przeciwnika - odparł szybko. I cierpko, jakby chciał dodać: tak, tak, a teraz powiedz coś ciekawego.

- Nazwisko, mały?

- Groszek.

- Ze względu na wzrost czy rozmiar mózgu?

Groszek nie odpowiedział. Reszta roześmiała się cicho. Ender dobrze wybrał. Mały naprawdę był młodszy od pozostałych, pewnie awansował dzięki inteligencji. Inni nie przepadali za nim, chętnie zobaczą jego upokorzenie. Tak jak Endera upokorzył jego pierwszy dowódca.

- No, Groszek, masz rację. A teraz słuchajcie: nikt nie przejdzie przez tę bramę, nie narażając się na strzał. Wielu z was w pewnym momencie oberwie. Lepiej, żeby w nogi. Jasne? Jeśli oberwiecie tylko w nogi, to tylko nogi będziecie mieć zamrożone, a w zerowej

grawitacji to żaden problem. - Ender zwrócił się do jednego z oszołomionych chłopców. - Po co nam nogi? Hm?

Puste spojrzenie. Zagubienie. Bełkot.

- Widzę, że znowu będę musiał spytać tego Groszka.

- Nogi są do odpychania się od ścian. - Nadal znudzony.

- Dzięki, Groszek. Wszyscy załapali?

Wszyscy załapali i nie spodobało im się, że dzięki Groszkowi.

- Dobra. Nogami nie widzicie, nogami nie strzelacie i przeważnie po prostu przeszkadzają. Jeśli zostaną zamrożone, kiedy będą wyprostowane, staniecie się bezbronni. Nie macie się gdzie schować. To jak powinny być ustawione nogi?

Tym razem odezwało się paru, żeby udowodnić, że nie tylko Groszek coś wie.

- Podwinięte pod siebie. Zgięte.

- Zgadza się. Tarcza. Klęczycie na tarczy, a tą tarczą są wasze nogi. A teraz dodatkowa sztuczka. Nawet z zamrożonymi nogami możecie się odpychać od ścian. Nie widziałem, żeby robił to ktoś oprócz mnie - ale wszyscy się tego nauczą.

Ender Wiggin włączył miotacz. Zalśnił w jego dłoni bładą zielenią. Potem uniósł się przy braku ciężenia w sali ćwiczebnej, zgiął nogi, jakby klęczał, i zamroził je. Jego kombinezon natychmiast zeszytywniał w kolanach i kostkach, tak że nie mógł nimi poruszać.

- Dobra, teraz jestem zamrożony, widzicie?

Unosił się metr nad ich głowami. Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni. Odchylił się i przytrzymał jednego z uchwytów w ścianie za swoimi plecami. Przyciągnął się do niej.

- Jestem unieruchomiony przy ścianie. Gdybym miał nogi, odepchnąłbym się nimi i wyciągnął się jak strączyk grochu, tak?

Roześmieli się.

- Ale nie mam nóg i tak jest lepiej, chwytacie? Dlatego. - Zgiął się wpół i gwałtownie wyprostował. W ułamku chwili znalazł się po drugiej stronie sali.

- Zrozumieliście? - zawołał z daleka. - Nie odepchnąłem się rękami, nadal więc mogę używać miotacza. A nogi nie wloką się za mną. Teraz znowu uważajcie.

Powtórzył wyprost i złapał uchwyt na ścianie obok nich.

- Nie, nie chodzi mi o to, żebyście tak robili z zamrożonymi nogami. Róbcie tak, kiedy jeszcze macie w nich czucie, bo tak jest lepiej. I dlatego, że oni w życiu się tego nie będą spodziewać. Dobra, teraz wszyscy do góry i klękacie.

Większość wykonała rozkaz w parę sekund. Ender zamroził maruderów, którzy zawisli bezradnie w powietrzu. Inni się roześmieli.

- Kiedy daję rozkaz, ruszacie. Jasne? Gdy znajdziemy się przy bramie, a oni w nią wejdą, będę wam wydawał rozkazy co dwie sekundy, jak tylko zobaczę ich układ. A kiedy wydam rozkaz, lepiej zajmujcie pozycję, bo kto pierwszy dotrze na pozycję, wygrywa, chyba że jest głupi. Ja nie jestem. I wy lepiej też nie bądźcie, bo każę was odesłać do grup ćwiczebnych.

Kilku przełknęło ślinę, a ci zamrożeni wpatrywali się w niego z przerażeniem.

- E, wisielcy! Uważajcie. Za piętnaście minut odtajecie i zobaczymy, czy potrafcie dogonić pozostałych.

Przez godzinę ćwiczyli wyprosty. Ender zakończył zajęcia, kiedy zrozumiał, że wszyscy pojęli istotę manewru. Możliwe, że to jednak dobra grupa. A będzie lepsza.

- Skoro rozgrzewkę macie już za sobą - powiedział - bierzemy się do roboty.

Ender wyszedł z ćwiczeń ostatni, bo został, żeby pomóc tym, którzy uczyli się wolniej. Mieli dobrych nauczycieli, ale jak we wszystkich armiach poziom był nierówny i niektórzy żołnierze mogli przeszkadzać w bitwie. Pierwsza bitwa rozegra się za parę tygodni. Albo jutro. Nie wiadomo. Dowódca budził się i znajdował przy łóżku wiadomość z godziną bitwy i nazwą armii przeciwnika. Dlatego Ender zamierzał od pierwszej chwili ćwiczyć chłopców tak, żeby osiągnęli szczytową formę - wszyscy bez wyjątku. Żeby byli gotowi o każdej porze. Strategia to dobra rzecz, ale nic nie da, jeśli żołnierze nie wytrzymają.

Skręcił do skrzydła mieszkalnego i stanął twarzą w twarz z Groszkiem, siedmiolatkiem, którego dręczył dziś przez cały dzień. Problem. Nie chciał teraz żadnego problemu.

- Cześć, Groszek.

- Cześć, Ender.

Milczenie.

- Sir - powiedział Ender cicho.

- Nie jesteśmy na służbie.

- W mojej armii zawsze jesteśmy na służbie. - Ender przeszedł obok chłopca.

Za jego plecami rozległ się cienki głos Groszka.

- Wiem, co robisz, Ender, sir, i ostrzegam cię.

Ender odwrócił się powoli.

- Ostrzegasz mnie?

- Jestem twoim najlepszym żołnierzem i lepiej mnie traktuj jak najlepszego żołnierza.

- Bo co? - Ender uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Bo będę twoim najgorszym żołnierzem. Wóz albo przewóz.

- A czego chcesz? Miłości i całusków? - Zaczęła go ogarniać złość.

Groszek patrzył na niego spokojnie.

- Chcę dostać pluton.

Ender wrócił do niego i stanął, patrząc mu prosto w oczy.

- Plutony daję chłopcom, którzy udowodnią swoją wartość. Dobrym żołnierzom, którzy wiedzą, jak przyjmować rozkazy, w sytuacji podbramkowej myślą samodzielnie i budzą szacunek. W taki sposób zostałem dowódcą. W taki sposób ty zostaniesz dowódcą plutonu. Jasne?

Groszek uśmiechnął się.

- To sprawiedliwe. Jeśli dotrzymasz słowa, za miesiąc będę dowódcą plutonu.

Ender chwycił go za mundur na piersi i pchnął na ścianę.

- Kiedy mówię, że coś zrobię, to zrobię.

Groszek tylko się uśmiechnął. Ender puścił go i odszedł, nie oglądając się. Bez patrzenia wiedział, że Groszek nadal go obserwuje, nadal się uśmiecha, i wciąż trochę pogardliwie. Byłby z niego dobry dowódca plutonu. Trzeba go mieć na oku.

Kapitan Graff, metr osiemdziesiąt sześć wzrostu, dość tęgi, pogładził brzuch, rozpięrając się w fotelu. Przed jego biurkiem siedział porucznik Anderson, z przejęciem wskazujący szczytowe punkty wykresu.

- Proszę, kapitanie - mówił. - Ender już nauczył ich taktyki, dzięki której pokonają każdego przeciwnika. Podwaja ich szybkość.

Graff skinął głową.

- I zna pan jego wyniki testów. Myśleć także potrafi.

Graff uśmiechnął się.

- Tak, tak, Anderson, to dobry uczeń, obiecujący.

Obaj zamilkli.

Graff westchnął.

- Zatem czego pan ode mnie oczekuje?

- Ender to właśnie ten. Nie ma innego wyjścia.

- Nie przygotuje się na czas, poruczniku. Ma jedenaście lat, na miłość boską. Człowieku, czego pan chce, cudu?

- Chcę, żeby zaczął staczać bitwy, od jutra codziennie jedną. Chcę, żeby po miesiącu miał ich na koncie tyle, co inni przez rok.

Graff pokręcił głową.

- Jego żołnierze wylądują w szpitalu.

- Nie, sir. On pracuje nad ich kondycją. A my go potrzebujemy.

- Poprawka, poruczniku. Potrzebujemy kogoś. Pan uważa, że tym kimś jest Ender.

- Dobrze; uważam, że to Ender. Który z dowódców, jeśli nie on?

- Nie wiem, poruczniku. - Graff przesunął rękami po pokrytej rzadkim puszkami łysinie. - To przecież dzieci. Nie rozumie pan? W armii Endera służą dziewięcioletnie dzieci. Mamy ich rzucić przeciwko starszym? I to piekło ma trwać przez miesiąc?

Porucznik Anderson pochylił się ku Graffowi.

- Ale wyniki Endera!...

- Widziałem te cholerne wyniki! Obserwowałem go w bitwie, słuchałem nagrań z jego sesji treningowych, znam wykresy jego snów i nagrania rozmów na korytarzach i w łazienkach, znam Endera Wiggina lepiej, niż pan sobie wyobraża! I wbrew wszystkim argumentom, pomimo wszystkich jego oczywistych zalet, zastanawiam się nad jednym. Widzę Endera za rok - takiego, jaki się stanie, jeśli wszystko pójdzie po pańskiej myśli. Zniszczony, bezużyteczny, złamany, bo wymusiliśmy na nim więcej, niż może znieść człowiek. Ale to dla pana nic nie znaczy, prawda, poruczniku, bo mamy wojnę, straciliśmy nasz największy talent, a najpoważniejsze walki dopiero przed nami. Dlatego w tym tygodniu proszę przydzielić Enderowi codziennie jedną bitwę. A potem przynieść mi raport.

Anderson wstał i zasalutował.

- Dziękuję, sir.

Był już prawie przy drzwiach, kiedy Graff go zawołał. Odwrócił się i spojrzał na kapitana.

- Anderson - rzucił kapitan Graff. - Był pan na zewnątrz? Ostatnio.

- Na ostatniej przepustce pół roku temu.

- Tak myślałem. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Ale czy był pan kiedykolwiek w parku Beamana, w centrum? Co? Piękny park. Drzewa. Trawniki. Żadnych bitew, żadnych trosk. Wie pan, co jeszcze jest w parku Beamana?

- Nie, sir - odpowiedział porucznik Anderson.

- Dzieci.

- Oczywiście.

- Mówię o prawdziwych dzieciach, które wstają rano, kiedy budzą je matki, idą do szkoły, a popołudniami bawią się w parku Beamana. Są szczęśliwe, często się uśmiechają, bawią się. Tak?

- Na pewno tak, sir.

- Tylko tyle potrafi pan powiedzieć?

Anderson odchrząknął.

- Sir, dzieci powinny się bawić. Ja się bawiłem. Ale teraz świat potrzebuje żołnierzy. A to jest sposób na ich zdobycie.

Graff pokiwał głową i zamknął oczy.

- W rzeczy samej. Ma pan rację, o czym świadczy statystyka i wszystkie mądre teorie, cholernie słuszne, i nasz system też ma rację. A Ender i tak jest ode mnie starszy. To nie dziecko.

- Jeśli to prawda, sir, to przynajmniej wiemy, że dzięki Enderowi dzieci w jego wieku będą mogły się bawić w parku.

- A Jezus oczywiście umarł, żeby odkupić grzechy wszystkich ludzi. - Graff wyprostował się i spojrzał na Andersona niemal ze smutkiem. - Ale to my - dodał - to my wbijamy gwoździe.

Ender Wiggin leżał w łóżku, wpatrując się w sufit. Nigdy nie sypiał dłużej niż pięć godzin, ale światła gaszono o 22.00 i zapalano dopiero o 6.00. Dlatego patrzył w sufit i rozmyślał.

Miał swoją armię od trzech i pół tygodnia. Armia Smoka. Nazwa była przydzielona odgórnie i nie należała do szczęśliwych. W papierach można było przeczytać, że jakieś dziewięć lat temu Armia Smoka radziła sobie nawet nieźle, ale potem przez sześć lat nazwę tę otrzymywały armie zewnętrzne, i w końcu ją rozwiązano ze względu na przesady, które zaczęły się z nią łączyć. A teraz znowu powstała. Armia Smoka weźmie ich z zaskoczenia, pomyślał Ender z uśmiechem.

Drzwi otworzyły się cicho. Ender nie odwrócił głowy. Ktoś cicho wszedł do jego pokoju, wyszedł, stuknęły zamykane drzwi. Kiedy odgłos kroków ucichł, Ender przewrócił się na drugi bok i zobaczył na podłodze biały pasek papieru. Podniósł go.

„Armia Smoka przeciwko Armii Królika, Ender Wiggin i Carn Carby, 7.00”.

Pierwsza bitwa. Wstał i szybko się ubrał. Poszedł szybkim krokiem do pokojów dowódców plutonów i kazał im obudzić swoich żołnierzy. Pięć minut później wszyscy zebrali się na korytarzu, rozespani i niezdarni. Ender przemówił cicho:

- Pierwsza bitwa, przeciwko Armii Królika, o siódmej. Walczyłem z nimi już dwa razy, lecz mają nowego dowódcę. Nie słyszałem o nim. Ale są starsi i znam kilka ich trików. Teraz się obudźcie. Bieg i rozgrzewka w sali.

Przez półtorej godziny ćwiczyli, rozegrali trzy pozorowane bitwy w korytarzu przy normalnej grawitacji. Potem na kwadrans zawisli w przestrzeni, odpoczywając w nieważkości. O 6.30 Ender zarządził koniec odpoczynku i wypędził wszystkich na korytarz. Znowu kazał im biegać, a od czasu do czasu skakać do tablicy świetlnej w suficie. O 6.58 znaleźli się pod swoją bramą w sali ćwiczebnej.

Żołnierze z plutonów C i D przytrzymali się ośmiu pierwszych uchwytów w suficie korytarza. Plutony A, B i E przykucnęły na podłodze. Ender zaczepił stopy w dwóch uchwytach na środku sufitu, żeby nikomu nie przeszkadzać.

- Gdzie jest brama przeciwnika? - rzucił szeptem.

- Na dole! - odpowiedzieli wszyscy i roześmiali się.

- Włączyć miotacze. - Pudełka w ich rękach zaśniły zielenią. Czekali jeszcze parę sekund, a potem szara ściana przed nimi znikła i pojawiła się sala bojowa.

Ender omiótł ją wzrokiem. Znana otwarta kratownica, jak drabinki w parku, a pomiędzy kratami siedem lub osiem skrzyń. Nazywali je gwiazdami. Było ich wystarczająco dużo - i na odpowiednio wysuniętych do przodu pozycjach - by je wykorzystać. Ender podjął decyzję w ułamku sekundy i syknął:

- Zająć pozycje za najbliższymi gwiazdami. Pluton E czekać!

Cztery grupy z kątów skoczyły przez pole siłowe i spadły do sali bitewnej. Zanim przeciwnik pojawił się w przeciwnej bramie, armia Endera rozproszyła się od wrót do najbliższych gwiazd.

Wtedy w bramie pojawili się żołnierze przeciwnika. Z ich ruchów Ender wywnioskował, że byli w innej grawitacji i nie przyszło im do głowy, żeby się przeorientować. Wpadli do sali w pozycji stojącej, z ciałami odsłoniętymi.

- E, zabić ich! - syknął i rzucił się w drzwi kolanami naprzód, z miotaczem między nogami. Otworzył ogień. Podczas gdy grupa Endera płynęła przez salę, pozostałe plutony osłaniały ją, dlatego pluton E dotarł na pozycję, mając tylko jednego kompletnie zamrożonego żołnierza, choć większość nie mogła już poruszać nogami - co w najmniejszym stopniu im nie przeszkadzało. Walki zamarły na chwilę, gdy Ender i jego przeciwnik, Carn Carby, zajmowali pozycję. Oprócz żołnierzy, których Armia Królika straciła przy bramie, nie przybyło nowych ofiar i obie armie dysponowały niemal nietkniętymi siłami. Ale Carn nie potrafił się zdobyć na oryginalność - zdecydował się rozprościć armię w czterech kątach, na co wpadłby każdy pięciolatek z oddziałów ćwiczebnych. A Ender wiedział, jak go pokonać.

Zawołał głośno:

- E kryje A, C w dół. B, D na wschodnią ścianę. - Pod osłoną plutonu E plutony B i D oderwały się od gwiazd. Kiedy były jeszcze odsłonięte, żołnierze z plutonów A i C zostawili swoje gwiazdy i poszybowali w stronę najbliższej ściany. Dotarli do niej w tym samym momencie i jednocześnie odbili się od niej, zginając ciało w pół i wyprostowując je gwałtownie. Dopadli gwiazd nieprzyjaciela z prędkością dwa razy większą od normalnej i otworzyli ogień. Po paru sekundach bitwa się skończyła, niemal wszyscy żołnierze wroga - w tym dowódca - byli zamrożeni, a reszta rozproszyła się po kątach. Przez pięć następnych minut czteroosobowe oddziały Armii Smoka czyściły ciemne kąty sali bitewnej i zaganiały przeciwnika na środek, gdzie żołnierze zderzali się ze sobą, zamrożeni w nieprawdopodobnych pozycjach. Potem Ender zabrał trzech żołnierzy do bramy przeciwnika i dopełnił formalności odwrócenia jednostronnego pola przez jednoczesne dotknięcie każdego rogu wrót hełmem Armii Smoka. Następnie zgrupował swoją armię w pionowych szeregach w pobliżu grupki zamrożonych żołnierzy Armii Królika.

Tylko trzech żołnierzy z Armii Smoka było zupełnie zamrożonych. Wynik - 38 do 0 - był idiotycznie wysoki. Ender zaczął się śmiać. Cała Armia Smoka dołączyła do niego. Śmiali się długo i głośno. Nadal się śmiali, kiedy w bramie nauczycielskiej na południowym końcu sali pojawił się porucznik Anderson i porucznik Morris.

Porucznik Anderson zachował niewzruszony wyraz twarzy, ale Ender dostrzegł jego mrugnięcie podczas sztywnych, oficjalnych gratulacji, którymi tradycyjnie witano zwycięzcę gry.

Morris znalazł Carna Carby'ego i rozmroził; trzynastoletni Carby zasalutował Enderowi, który roześmiał się bez złośliwości i wyciągnął do niego rękę. Carn uściśnął ją z wdzięcznością i skłonił głowę. Gdyby tego nie zrobił, znowu zostałby zamrożony.

Porucznik Anderson zezwolił Armii Smoka na odejście; w milczeniu opuścili salę bojową przez bramę przeciwnika - kolejny zwyczaj. Na północnej stronie kwadratowych drzwi mrugało światelko oznaczające kierunek grawitacji w korytarzu. Ender, wychodząc ze swymi żołnierzami, przeorientował się i przeszedł przez pole siłowe. Żołnierze szybkim krokiem podążyli za nim do sali treningowej. Tam zgrupowali się w oddziały, a Ender zawisł w powietrzu i obserwował ich.

- Dobra pierwsza bitwa - powiedział i to wystarczyło, by żołnierze zaczęli wiwatować. Uciszył ich. - Armia Smoka dobrze sobie poradziła z Królikami. Ale wróg nie zawsze będzie tak słaby. Gdyby to była dobra armia, rozgromiłaby nas. Moglibyśmy wygrać, ale moglibyśmy też solidnie oberwać. A teraz pluton B i D - z sali. Wasze wyjście zza gwiazd

było o wiele za wolne. Gdyby Armia Królika umiała strzelać, bylibyście wszyscy zamrożeni na kamień, zanim A i C dotarliby do ściany.

Ćwiczyli do końca dnia.

Tej nocy Ender poszedł po raz pierwszy do mesy dowódców. Mieli tam wstęp tylko ci, którzy wygrali przynajmniej jedną bitwę. Ender był najmłodszym dowódcą, jakiemu się to udało. Jego widok nie zrobił wielkiego wrażenia, ale gdy niektórzy chłopcy dostrzegli smoka na kieszeni na jego piersiach, zaczęli się na niego otwarcie gapić. Zanim Ender dostał tacę i usiadł przy pustym stoliku, w mesie panowała już zupełna cisza. Inni dowódcy go obserwowali. Bardzo skrupowany Ender zastanawiał się, jak to możliwe, że wszyscy już wiedzą, i dlaczego przyglądają mu się z taką wrogością.

Potem spojrzał nad drzwi, którymi wszedł. Całą ścianę zajmowała tablica wyników. Widniały na niej wygrane i przegrane każdej armii; bitwy, które odbyły się tego dnia, były podświetlone na czerwono. Rozegrano tylko cztery. Zwycięzcy pozostałych ledwie sobie poradzili - najlepszy pod koniec gry miał tylko dwóch całkowicie sprawnych żołnierzy i jedenastu zdolnych do strzału. Wynik Armii Smoka, która miała trzydziestu ośmiu zdolnych do strzału, był zenująco dobry.

Innych nowych dowódców witano w mesie okrzykami i gratulacjami. Ale inni nowi dowódcy nie wygrali trzydzieści osiem do zera.

Ender szukał na tablicy Armii Królika. Z zaskoczeniem przeczytał, że Carn Carby miał dotąd osiem zwycięstw i trzy porażki. Czy był aż tak dobry? Czy walczył tylko ze słabszymi armiami? W każdym razie w rubryce zdolnych do strzału i sprawnych w armii Carna figurowało zero. Uśmiechnięty Ender odwrócił wzrok od tabeli. Nikt nie odwzajemnił jego uśmiechu; zrozumiał, że się go boją, a to oznaczało, że go znienawidzą, tym samym każdy, kto stanie do walki z Armią Smoka, będzie przestraszony, zły i mniej kompetentny. Ender poszukał wzrokiem Carna Carby'ego i dostrzegł go w pobliżu. Patrzył na niego tak długo, aż któryś chłopiec trącił dowódcę Królików i wskazał Endera. Ender znowu się uśmiechnął i lekko pomachał ręką. Carby poczerwieniał; zadowolony Ender pochylił się nad talerzem i zaczął jeść.

Pod koniec tygodnia Armia Smoka miała na koncie siedem bitew stoczonych w siedem dni. Na tablicy wyników widniało siedem zwycięstw, żadnej porażki. W ani jednej grze Ender nie miał więcej niż pięciu zamrożonych żołnierzy. Pozostali dowódcy nie mogli już go ignorować. Kilku siadło przy nim i cicho rozmawiało o strategii, którą wykorzystali

jego przeciwnicy. Inne, o wiele większe grupy, rozmawiały z pokonanymi dowódcami, usiłując zrozumieć, jak Ender zdołał tego dokonać.

W połowie posiłku otworzyły się drzwi nauczycielskie i w sali zapadła cisza; porucznik Anderson wszedł do mesy i powiódł wzrokiem po zebranych. Odnalazłszy Endera, ruszył szybko przez salę i szepnął mu coś do ucha. Ender skinął głową, dopił wodę i wyszedł z porucznikiem. Po drodze Anderson wręczył jednemu ze starszych chłopców pasek papieru. Po wyjściu Andersona i Endera w sali podniósł się gwar.

Ender szedł korytarzami, których dotąd jeszcze nie widział. Nie lśniły błękitem jak korytarze w koszarach. Na ogół były wykładane drewnianymi płytami, na podłogach leżały chodniki. Drzwi były z drewna, opatrzone tabliczkami; na tych, przed którymi się zatrzymali, widniał napis: „Kapitan Graff, administrator”. Anderson zapukał cicho.

- Proszę - odezwał się niski głos.

Weszli. Kapitan Graff siedział za biurkiem z rękami splecionymi na brzuchu. Skinął głową. Anderson usiadł, Ender także. Graff odchrząknął.

- Siedem dni od twojej pierwszej bitwy, Ender.

Ender nie odpowiedział.

- Wygrałeś siedem bitew, codziennie jedną.

Ender skinął głową.

- Z niezwykle wysokim wynikiem.

Ender zamrugnął powiekami.

- Dlaczego? - spytał Graff.

Ender zerknął na Andersona i zwrócił się do kapitana.

- Dwie nowe taktyki, sir. Zgięte nogi jako tarcza chroniąca przed unieruchomieniem. Nowy rodzaj odbicia od ścian. Lepsza strategia; jak naucza porucznik Anderson, myśleć o miejscu, nie przestrzeni. Pięć plutonów po osiem osób zamiast czterech po dziesięć. Niekompetentni przeciwnicy. Doskonali dowódcy plutonów, dobrzy żołnierze.

Graff przyglądał się Enderowi z kamienną miną. Na co on czeka, pomyślał Ender.

- Jaka jest kondycja twojej armii? - spytał porucznik Anderson.

Czy chcą, żebym prosił o litość? Niedoczekanie.

- Żołnierze trochę zmęczeni, w szczytowej kondycji, wysokie morale, szybko się uczą. Niecierpliwie czekają na następną bitwę.

Anderson spojrzał na Graffa. Ten lekko wzruszył ramionami i zwrócił się do Endera:

- Czy chcesz o coś spytać?

Ender swobodnie oparł ręce o kolana.

- Kiedy wystawicie nas przeciwko dobrej armii?

Śmiech Graffa rozbrzmiał w pokoju i ucichł. Graff podał Enderowi kartkę.

- Teraz - powiedział.

Ender przeczytał: „Armia Smoka przeciwko Armii Leoparda, Ender Wiggin i Pol Slattery, 20.00”. Spojrzał na kapitana Graffa.

- To za dziesięć minut, sir.

Graff uśmiechnął się.

- To się lepiej pospiesz, chłopcze.

Wychodząc, Ender uświadomił sobie, że Pol Slattery to ten chłopiec, który dostał rozkaz w mesie.

Pięć minut później stanął przed swoją armią. Trzech dowódców plutonów już się rozebrało i leżało nago w łóżkach. Kazał im natychmiast budzić żołnierzy i sam pozbierał ich mundury. Kiedy wszyscy chłopcy zebrali się w korytarzu - większość jeszcze się ubierała - Ender przemówił.

- Tym razem będzie gorąco. Nie mamy czasu. Znajdziemy się przy bramie za późno, a przeciwnik będzie czekał tuż za nią. Zasadzka, jeszcze nie słyszałem, żeby coś takiego zorganizowano. Dlatego nie będziemy się spieszyć. Plutony A i B poluzować pasy i oddać miotacze dowódcom i zastępcom z innych plutonów.

Zaskoczeni żołnierze usłuchali. Byli już ubrani i Ender ruszył z nimi truchtem do bramy. Kiedy do niej dotarli, pole siłowe było włączone, a niektórzy żołnierze mieli zadyszkę. Odbyli dziś już jedną walkę i pełen trening. Czuli zmęczenie.

Ender zatrzymał się w wejściu i przyjrzał się rozmieszczeniu przeciwnika. Niektórzy żołnierze znajdowali się nie dalej niż sześć metrów od bramy. Nie było kratownicy ani gwiazd. Wielka pusta przestrzeń. Gdzie reszta żołnierzy? Powinno być ich jeszcze trzydziestu.

- Są pod tamtą ścianą, gdzie ich nie widać - oznajmił. Kazał żołnierzom z plutonu A i B klęknąć z rękami na biodrach. Zamroził ich zupełnie.

- Jesteście tarczami - powiedział i rozkazał chłopcom z C i D uklęknąć im na nogach i wsunąć ręce pod pasy zamrożonych. Każdy żołnierz trzymał dwa miotacze. Potem Ender wraz z żołnierzami z plutonu E chwytały pary chłopców, po trzy jednocześnie, i wrzucali je w bramę.

Oczywiście przeciwnik natychmiast otworzył ogień, ale strzały trafiały na ogół w już zamrożonych chłopców i po paru chwilach w sali bitewnej rozpętało się piekło. Wszyscy żołnierze z Armii Leoparda stanowili łatwy cel, przyciśnięci do ścian lub dryfujący bez

osłony na środku sali. Żołnierze Endera, mający do dyspozycji po dwa miotacze, załatwili ich bez trudu. Pol Slattery zareagował szybko, rozkazując żołnierzom oderwać się od ściany, ale zabrakło im szybkości. Tylko kilku zdołało się ruszyć, ale i tak zostali zamrożeni, zanim zdołali dotrzeć do jednej czwartej sali.

Po bitwie Armia Smoka miała tylko dwunastu sprawnych żołnierzy, najniższy wynik w ich historii. Ale Ender był zadowolony. Podczas kapitulacji Pol Slattery złamał regulamin, ściskając rękę Endera i pytając:

- Dlaczego tak długo zwlekałeś z przejściem przez bramę?

Ender zerknął na Andersona, który unosił się w powietrzu tuż obok nich.

- Późno mnie poinformowano. To była zasadzka.

Slattery wyszczerzył zęby i znowu uścisnął dłoń Endera.

- Fajnie się grało.

Tym razem Ender nie uśmiechnął się do Andersona. Wiedział, że teraz gra będzie się toczyć przeciwko niemu i będzie coraz trudniejsza. Niedobrze.

Była 21.50, dochodziła pora gaszenia świateł, kiedy Ender zapukał do drzwi pokoju, w którym mieszkał Groszek i trzech innych żołnierzy. Jeden uchylił drzwi, usunął się na bok i otworzył je szeroko. Ender stał przez chwilę w progu, po czym spytał, czy może wejść. Odpowiedzieli: „oczywiście, oczywiście, wejdź”, a wtedy podszedł do górnej pryczy. Groszek odłożył książkę i oparł się na łokciu.

- Groszek, mogę cię prosić na dwadzieścia minut?

- Zaraz gaszą światła - powiedział Groszek.

- U mnie - rzucił Ender. - Biorę to na siebie.

Groszek zeskoczył z łóżka. Razem wrócili po cichu korytarzem. Ender pierwszy wszedł do swojego pokoju, Groszek zamknął drzwi.

- Siadaj - rzucił Ender i obaj zajęli miejsca na łóżku, zwróceniu do siebie twarzami.

- Pamiętasz, jak to było przed miesiącem, Groszek? Kiedy powiedziałeś, żebyś dał ci pluton?

- Aha.

- Od tego czasu mianowałem pięciu dowódców, tak? A ciebie nie.

Groszek patrzył na niego spokojnie.

- Zgadza się? - spytał Ender.

- Tak jest.

Ender skinął głową.

- Jak sobie radziłeś w tych bitwach?

Groszek przechylił głowę na bok.

- Nigdy nie zostałem unieruchomiony, a sam unieruchomiłem czterdziestu trzech przeciwników. Szybko reagowałem na rozkazy, dowodziłem grupą podczas odwrotu i nie straciłem żadnego żołnierza.

- Więc to zrozumiesz. - Ender zrobił pauzę, po czym zmienił zdanie i postanowił najpierw powiedzieć coś innego.

- Wiesz, że jesteś młodszy od wszystkich o ponad pół roku. Ja też byłem i zostałem dowódcą pół roku przed czasem. A teraz rzucają mnie do walki, chociaż trenowałem moją armię zaledwie trzy tygodnie. W siedem dni kazali mi stoczyć osiem bitew. Już teraz mam ich na koncie więcej niż chłopcy, którzy zostali dowódcami przed czterema miesiącami. Wygrałem więcej bitew niż wielu dowódców przez rok. I jeszcze dziś. Wiesz, co się dziś zdarzyło.

Groszek skinął głową.

- Powiedzieli ci za późno.

- Nie wiem, co kombinują nauczyciele, ale moi żołnierze są już zmęczeni, ja też, a teraz oni zmieniają reguły. Nikt w historii gry nie pokonał dotąd tylu wrogów i nie stracił tak niewielu swoich żołnierzy. Wiem, bo zajrzałem do starych wyników. Jestem wyjątkowy - i traktują mnie wyjątkowo.

Groszek uśmiechnął się.

- Jesteś najlepszy.

Ender pokręcił głową.

- Może. Ale to nie przypadek, że dostałem takich żołnierzy, jakich dostałem. Mój najgorszy żołnierz mógłby być w innej armii dowódcą plutonu. Mam samych najlepszych. Grali do mojej bramki - a teraz grają przeciwko mnie. Nie wiem dlaczego. Ale wiem, że muszę być gotowy. Potrzebuję twojej pomocy.

- Dlaczego mojej?

- Bo choć w Armii Smoka są żołnierze lepsi od ciebie - niewielu, ale są - żaden nie potrafi myśleć lepiej i szybciej od ciebie. - Groszek nie odezwał się. Obaj wiedzieli, że to prawda. - Muszę być gotowy - ciągnął Ender - ale nie mogę wytrenować całej armii od początku. Dlatego zamierzam zabrać z każdego plutonu jednego żołnierza, w tym ciebie. Zostaniecie oddziałem specjalnym pod moimi rozkazami. Nauczycie się czegoś nowego. Na co dzień będziecie ze swoimi plutonami, tak jak teraz. Ale kiedy będę was potrzebować... Rozumiesz?

Groszek skinął głową z uśmiechem.

- Dobrze, świetnie, mogę ich sam wybrać?

- Po jednym z każdego plutonu, z wyjątkiem twojego, i nie możesz zabrać dowódców.

- Co będziemy robić?

- Groszek... nie wiem. Nie wiem, czym nas zaskoczą. Co byś zrobił, gdyby nagle nasze miotacze przestały działać albo gdybyśmy musieli walczyć z dwiema armiami jednocześnie? Wiem tylko, że może się nam zdarzyć gra, kiedy nawet nie spróbujemy walczyć, tylko od razu ruszymy do bramy przeciwnika. Chcę, żebyście byli na to gotowi, gdy tylko dam znak. Jasne? W czasie normalnych ćwiczeń będziesz ich zabierał na dwie godziny. Potem ty, ja i moi żołnierze spotkamy się po kolacji na ćwiczeniach.

- Będziemy zmęczeni.

- Coś mi się wydaje, że jeszcze nie wiemy, co to zmęczenie. - Ender chwycił mocno dłoń Groszka. - Nawet jeśli będą nam przeszkadzać, i tak wygramy.

Groszek wyszedł w milczeniu i wrócił do siebie.

Teraz nie tylko Armia Smoka ćwiczyła nadprogramowo. Do innych dowódców wreszcie dotarło, że muszą nadrobić braki. Od białego świtu po gaszenie świateł wszyscy żołnierze w Centrum Ćwiczebno-Dowodzeniowym - żaden nie miał więcej niż czternaście lat - uczyli się nowej techniki odbijania od ścian i wykorzystywania kolegów jako tarcz.

Ale kiedy dowódcy uczyli się technik, dzięki którym Ender ich pokonał, Ender i Groszek opracowywali rozwiązania problemów, które jeszcze się nie pojawiły.

Nadal codziennie toczyli bitwy, ale na razie zwyczajne, z kratownicą, gwiazdami i nagłymi wypadami z bramy. Po bitwie Ender, Groszek i czterej inni żołnierze odłączali się od grupy i ćwiczyli dziwne manewry. Ataki bez miotaczy, rozbrajanie lub dezorientacja wroga za pomocą stóp, odwracanie bramy przeciwnika przez czterech zamrożonych żołnierzy w niespełna dwie sekundy. A pewnego dnia Groszek zjawił się w sali ćwiczeń z trzydziestometrową struną.

- Na co to?

- Jeszcze nie wiem. - Groszek w zamyśleniu zakręcił końcem struny. Miała najwyżej trzy milimetry grubości, ale wytrzymałaby ciężar trzech dorosłych osób.

- Skąd ją masz?

- Z magazynu. Pytali po co. Powiedziałem, że chcę ćwiczyć wiązanie węzłów.

Groszek zawiązał pętlę na końcu linki i założył sobie na ramiona.

- E, wy dwaj, trzymajcie, się blisko tamtej ściany. I nie puszczajcie liny. Dajcie mi jakieś pięćdziesiąt metrów luzu. - Usłuchali. Groszek odleciał jakieś trzy metry od nich, trzymając się blisko ściany. Kiedy był już pewien, że są gotowi, odbił się od ściany i odleciał na pięćdziesiąt metrów. Lina napięła się. Była cienka, prawie niewidoczna, ale tak mocna, że Groszek skręcił niemal pod kątem prostym. Wszystko wydarzyło się tak nagle, że zatoczył idealny łuk i mocno grzmotnął w ścianę, zanim żołnierze zrozumieli, co się dzieje. Odbił się i śmignął do Endera czekającego z innymi.

Wielu żołnierzy z pięciu podstawowych oddziałów nie zauważyło struny i dopytywało się, jak tego dokonał. W nullo tak gwałtowna zmiana kierunku jest niemożliwa. Groszek tylko się roześmiał.

- Poczekajcie do następnej bitwy bez kratownicy! Nawet nie będą wiedzieć, kto im dowali.

I tak było. Następną bitwę rozpoczęła się zaledwie dwie godziny później, ale Groszek i dwaj inni zdołali już wyćwiczyć całkiem niezłą celność w strzelaniu podczas śmigania z nieprawdopodobną prędkością na strunie. Kiedy dostarczono im pasek papieru, Armia Smoka ruszyła biegiem do bramy na starcie z Armią Gryfa. Groszek po drodze zwijał strunę.

Kiedy brama się otworzyła, ujrzeli tylko wielką brązową gwiazdę oddaloną o jakieś pięć metrów od nich. Zupełnie zasłaniała bramę nieprzyjaciela.

Ender nie czekał.

- Groszek, bierz strunę i okrąż gwiazdę.

Groszek wraz ze swoimi żołnierzami wyskoczył z bramy i po chwili wypadł zza gwiazdy. Struna napięła się i Groszek poleciał naprzód. W miarę jak lina owijała się wokół gwiazdy, zataczał coraz mniejsze kręgi z coraz większą prędkością, a kiedy w końcu uderzył w ścianę o parę kroków od bramy, kontrolował już lot na tyle, by zatrzymać się na gwieździe. Natychmiast poruszył rękami i nogami, żeby żołnierze czekający za bramą wiedzieli, że nieprzyjaciela go nie trafił.

Ender wskoczył w bramę. Groszek szybko opisał mu rozlokowanie Armii Gryfa.

- Mają dwa kwadraty z gwiazd, ustawione wokół bramy. Wszyscy żołnierze są pod osłoną, nie można ich trafić, chyba że zbliżymy się do dolnej ściany. Nawet z tarczami dotarlibyśmy tam z połową żołnierzy. Nie mielibyśmy szansy.

- Ruszają się? - spytał Ender.

- A muszą?

- Ja bym się ruszał. - Ender zastanawiał się przez chwilę. - Łatwo nie będzie. Lecimy prosto do bramy, Groszek.

Armia Gryfa zaczęła do nich wołać.

- Halo, jest tam kto?

- Nie spać, wojna jest!

- Wyjdźcie się pobawić!

Jeszcze wołali, kiedy armia Endera wypadła zza gwiazdy, osłonięta tarczą z czternastu zamrożonych żołnierzy. William Bee, dowódca Armii Gryfa, czekał cierpliwie, aż tarcza się zbliży. Jego żołnierze wyglądali zza swoich gwiazd, czekając na moment, kiedy zobaczą ukrytych za tarczą chłopców. Jakies dziesięć metrów od nich tarcza nagle rozpadła się, a ukryci za nią żołnierze odepchnęli ją na północ. Odrzuciło ich na południe z dwukrotnie większą prędkością, a w tej samej chwili reszta Armii Smoka wypadła zza swojej gwiazdy, rozpoczynając gwałtowny ostrzał.

Żołnierze Williama Bee natychmiast rzucili się do walki, ale sam William Bee był o wiele bardziej zainteresowany tym, co pozostało za rozproszoną tarczą. Czterej zamrożeni żołnierze z Armii Smoka sunęli głowami naprzód ku bramie Armii Gryfa. Trzymał ich piąty zamrożony żołnierz, z rękami i stopami wsuniętymi za ich pasy. Szósty obejmował go w pasie i ciągnął za nimi niczym ogon latawca. Armia Gryfa bez trudu zwyciężała w walce, a William Bee przyglądał się formacji zbliżającej się do bramy. Nagle żołnierz sunący za nią poruszył się - wcale nie był zamrożony! I choć William Bee natychmiast do niego strzelił, już się stało. Formacja dotarła do bramy Armii Gryfa i cztery hełmy jednocześnie dotknęły jej rogów. Rozległ się brzęczyk, brama odwróciła się i zamrożeni żołnierze z rozpędu przeszli przez nią. Miotacze się wyłączyły. Bitwa dobiegła końca.

Otworzyła się brama nauczycielska, do środka wpłynął porucznik Anderson. Na środku sali zatrzymał się lekkim ruchem rąk.

- Ender - zawołał nieregulaminowo. Jeden z zamrożonych żołnierzy Smoka pod ścianą południową usiłował coś powiedzieć, choć zeszywniały kombinezon ścisnął mu szczęki. Anderson podpłynął i rozmroził go.

Ender się uśmiechał.

- Znowu pana pokonałem, sir - powiedział.

Anderson nie zrewanżował się.

- Nonsens - powiedział cicho. - Walczyłeś z Williamem Bee z Armii Gryfa.

Ender podniósł brew.

- Po tym manewrze - oznajmił Anderson - zasady zostają zmienione. Obecnie brama zostanie odwrócona dopiero wtedy, kiedy wszyscy żołnierze przeciwnika będą unieruchomieni.

- Proszę bardzo - powiedział Ender. - To i tak mogło się udać tylko raz.

Anderson skinął głową i właśnie się odwracał, kiedy Ender dodał:

- Czy będzie też nowa zasada, że armie mają walczyć na równych pozycjach?

Anderson odwrócił się do niego.

- Jeśli na jednej z tych pozycji walczysz ty, nie można ich nazwać równymi.

William Bee starannie przeliczył żołnierzy i nie mógł pojąć, jak mógł przegrać, skoro żaden z jego ludzi nie oberwał, a Ender miał tylko czterech sprawnych.

Gdy tego wieczora Ender zjawił się w mesie, powitały go brawa i okrzyki, a przy jego stoliku zgromadził się tłum pełnych szacunku dowódców. Wielu było od niego starszych o dwa lub trzy lata. Traktował ich przyjaźnie, ale przez cały posiłek zastanawiał się, co nauczyciele przygotowują dla niego w następnej walce. Nie musiał się martwić. Jego dwie następne bitwy zakończyły się łatwym zwycięstwem, a potem nigdy więcej nie zobaczył już sali bitewnej.

O 21.00 rozległo się pukanie do drzwi, co rozdrażniło trochę Endera. Jego żołnierze byli wyczerpani, rozkazał im iść do łóżka po 20.30. Ostatnie dwa dni należały do trudnych, a Ender spodziewał się rano najgorszego.

To był Groszek. Wszedł z zakłopotaniem, ociągając się, i zasalutował.

Ender odpowiedział tym samym.

- Groszek - warknął - wszyscy mieli spać.

Groszek skinął głową, ale nie wyszedł. Ender przez chwilę zastanawiał się, czy go odprawić. Ale spojrzał na niego i po raz pierwszy od wielu tygodni dotarło do niego, że to dziecko. Tydzień temu Groszek skończył osiem lat, nadal był mały i... nie, pomyślał Ender, to nie dziecko. Nikt tu nie jest dzieckiem. Groszek brał udział w bitwie i kiedy los całej armii zależał od niego, poradził sobie i doprowadził do zwycięstwa. I choć był mały, Ender nie potrafił myśleć o nim „dziecko”.

Ender wzruszył ramionami. Groszek usiadł obok niego na łóżku. Przez jakiś czas wpatrywał się we własne dłonie. W końcu Ender się zniecierpliwił.

- No, co jest?

- Dostałem przeniesienie. Rozkaz przyszedł parę minut temu.

Ender zamknął na chwilę oczy.

- Wiedziałem, że wymyślą coś nowego. Teraz mi was zabierają - gdzie cię przenoszą?

- Armia Królika.

- Jak mogą cię dawać pod rozkazy tego idioty Carna Carby'ego?

- Carn skończył szkołę. Oddział pomocniczy.

Ender podniósł głowę.

- To kto dowodzi Królikami?

Groszek rozłożył bezradnie ręce.

- Ja.

Ender pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Oczywiście. Przecież do przepisowego wieku brakuje ci tylko czterech lat.

- To nie jest śmieszne - odparł Groszek. - Nie wiem, co się tu dzieje. Najpierw te wszystkie zmiany zasad. A teraz to. Nie tylko mnie przenieśli, Ender. Ren, Peder, Brian, Wins, Younger. Wszyscy na dowódców.

Ender poderwał się gniewnie i podszedł do ściany.

- Wszyscy moi dowódcy plutonów! - rzucił i odwrócił się gwałtownie do Groszka. - Jeśli zamierzają rozbić moją armię, po co w ogóle mianowali mnie dowódcą?

Groszek pokręcił głową.

- Nie wiem. Jesteś najlepszy. Nikt nigdy nie dokonał tego, co ty. Dziewiętnaście bitew w piętnaście dni, i wygrałeś wszystkie, choćby wymyślali nie wiadomo co.

- A teraz ty i tamci jesteście dowódcami. Znać wszystkie moje sztuczki, sam was nauczyłem, i kogo mi teraz przydzielą? Chcą mi wsadzić sześciu nowych?

- Kiepsko, Ender, ale przecież wiesz, że wygrasz, nawet gdyby dali ci pięciu kulawych karłów i rolkę papieru toaletowego jako broń.

Obaj się roześmieli. Dopiero wtedy zauważyli, że drzwi są otwarte.

Do środka wszedł porucznik Anderson. Za nim kapitan Graff.

- Ender Wiggin - odezwał się Graff, splatając dłonie na brzuchu.

- Tak jest - odpowiedział Ender.

- Rozkazy.

Anderson podał mu pasek papieru. Ender przeczytał go szybko i zgniótł, nadal wpatrzony w punkt, gdzie przed chwilą znajdował się papier. Po paru minutach spytał:

- Czy mogę powiedzieć moim żołnierzom?

- Dowiedzą się - odparł Graff. - Lepiej nie rozmawiać z nimi po otrzymaniu rozkazu. Tak jest łatwiej.

- Dla pana czy dla mnie? - rzucił Ender. Nie czekał na odpowiedź. Odwrócił się szybko do Groszka, przez chwilę ścisnął go za rękę. Potem ruszył do drzwi.

- Czekaj! - zawołał za nim Groszek. - Dokąd idziesz? Szkoła Taktyczna czy Pomocnicza?

- Dowodzenia - odpowiedział Ender. Zniknął, a Anderson zamknął drzwi.

Szkoła Dowodzenia, pomyślał Groszek. Nikt nie trafiał do Szkoły Dowodzenia, nie spędziwszy trzech lat w Szkole Taktycznej. Ale też nikt nie szedł do Szkoły Taktycznej, nie spędziwszy co najmniej pięciu lat w Szkole Bojowej. Ender był tu tylko trzy lata.

System się sypie. Nie ma najmniejszej wątpliwości, pomyślał Groszek. Albo ktoś u góry zwariował, albo na wojnie źle się dzieje - na tej prawdziwej, do której nas szkolą. Niby dlaczego mieliby przerywać szkolenie, awansować kogoś - nawet tak dobrego jak Ender - od razu do Szkoły Dowodzenia? Dlaczego mieliby powierzać armię takiemu ośmioletniemu żółtodziobowi jak Groszek?

Groszek zastanawiał się długo, a kiedy wreszcie położył się na łóżku Endera, zdał sobie sprawę, że pewnie go już nigdy nie zobaczy. Nie wiadomo dlaczego, zachciało mu się płakać. Ale oczywiście się nie rozplakał. Szkolenie wstępne nauczyło go panować nad takimi uczuciami. Pamiętał, jak jego pierwszy nauczyciel - Groszek miał wtedy trzy lata - złościł się na widok drżących warg i oczu pełnych łez.

Zajął się rutynowymi ćwiczeniami relaksującymi, aż w końcu odeszła chęć do płaczu. Potem zasnął. Rękę położył na poduszce koło ust, jakby nie mógł się zdecydować, czy gryźć paznokcie, czy ssać palce. Czoło mu się zmarszczyło. Oddech stał się szybki i płytki. Był żołnierzem, a gdyby ktoś go zapytał, kim chce zostać, kiedy dorośnie, pewnie nie zrozumiałby, o co chodzi.

Mówili „jest wojna” i to usprawiedliwiała wszędzie ten straszny pośpiech. Wypowiadali to zdanie jak hasło i przy każdej kasie biletowej, punkcie odprawy i posterunku strażniczym pokazywali małą kartkę. Dzięki niej stawali na początku każdej kolejki.

Ender Wiggin pędził z miejsca na miejsce tak szybko, że nie miał czasu niczemu się przyjrzeć. Widział ludzi bez mundurów, kobiety, dziwne zwierzęta, które nie potrafiły mówić, ale posłusznie szły za kobietami i małymi dziećmi. Ujrzał walizki, pasy transmisyjne i znaki z wyrazami, które oglądał pierwszy raz w życiu. Spytałby kogoś, co znaczą, ale towarzyszyło mu czterech bardzo wysokich rangą oficerów, którzy nie odzywali się ani do siebie, ani do niego.

Ender Wiggin był obcy w świecie, który miał ocalić. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek opuszczał Szkołę Bojową. Jego najwcześniejsze wspomnienia dotyczyły dziecinnych gier wojennych, które prowadził nauczyciel, posiłków z innymi chłopcami w szarych i zielonych mundurach sił wojskowych jego świata. Nie wiedział, że szarość symbolizuje niebo, a zieleń -

wielkie lasy jego planety. Wszystko, co wiedział na temat świata, pochodziło z luźnych wzmianek o tym, co dzieje się „na zewnątrz”.

Zanim zdołał cokolwiek zrozumieć ze świata, który widział po raz pierwszy, znowu zamknęli go w skorupie wojskowego otoczenia, gdzie nikt nie musiał mówić „jest wojna”, bo nikt nie zapominał o tym ani na chwilę.

Wsadzili go do statku kosmicznego i zawieźli na wielkiego sztucznego satelitę, który obiegał świat.

Tę stację kosmiczną nazywano Szkołą Dowodzenia. Mieli tu ansibl.

Pierwszego dnia Ender Wiggin dowiedział się o jego znaczeniu dla działań wojennych. Oznaczało to, że choć statki, które obecnie toczyły bitwy, wyruszyły sto lat temu, ich dowódcy byli ludźmi żyjącymi współcześnie, którzy poprzez ansibl wysyłali wiadomości komputerom i nielicznej załodze statków. Ansibl wysyłał słowa w chwili ich wypowiedzania, rozkazy w chwili wydania. Plany bitwy w trakcie ich tworzenia. Nośnikiem było światło.

Przez dwa miesiące Ender Wiggin nikogo nie poznał. Zwracano się do niego bezosobowo, uczono go i przekazywano innym nauczycielom. Nie miał czasu tęsknić za przyjaciółmi ze Szkoły Bojowej. Miał czas tylko na to, by obsługiwać symulator, który wyświetlał wokół niego działania wojenne, jakby Ender znajdował się na pokładzie statku w samym środku bitwy; by dowodzić statkami na niby w walkach na niby, manipulując przyciskami symulatora i wypowiadając słowa do ansibla. Błyskawicznie rozpoznawać statki wroga i rodzaj ich uzbrojenia na podstawie schematów wyświetlanych na symulatorze. Stosować w bitwach kosmicznych w Szkole Dowodzenia całą wiedzę, jaką przyswoił sobie w Szkole Bitewnej podczas walk w nullo.

Przedtem wydawało mu się, że nauczyciele traktują grę poważnie. Tutaj bez przerwy go ponaglali, byli absurdalnie źli i zmartwieni, kiedy o czymś zapominał lub popełnił błąd. Ale pracował tak jak zawsze i uczył się tak jak zawsze. Po jakimś czasie już nie popełniał błędów. Korzystał z symulatora, jakby się z nim zrósł. Wtedy przestali się martwić i dali mu nauczyciela.

Kiedy Ender się obudził, Mazer Rackham siedział po turecku na podłodze. Nie odezwał się, gdy Ender wstał, wziął prysznic i ubrał się, a Ender nie tracił czasu na zadawanie pytań. Już dawno się nauczył, że kiedy dzieje się coś niezwykłego, szybciej otrzyma informacje czekając, niż pytając.

Mazer nie odezwał się, kiedy Ender przygotował się do wyjścia i podszedł do drzwi. Nie otworzyły się. Ender odwrócił się i stanął przed mężczyzną na podłodze. Mazer miał co

najmniej czterdzieści lat; Ender po raz pierwszy zobaczył z bliska takiego starca. Nosił jednodniowy szpakowaty zarost, tylko nieco krótszy niż ostrzyżone na jeża włosy. Twarz miał trochę obwisłą, a oczy otoczone zmarszczkami. Patrzył na Endera bez zainteresowania.

Ender odwrócił się do drzwi i znowu spróbował je otworzyć.

- No dobrze - poddał się w końcu. - Dlaczego się nie otwierają?

Mazer patrzył na niego martwo.

Ender zaczął się niecierpliwić.

- Spóźnię się. Jeśli mam się zjawić później, powiedz mi, to wrócę do łóżka. - Żadnej odpowiedzi. - Czy to zgadywanka?

Brak odpowiedzi. Ender uznał, że starzec chce go rozzłościć, dlatego oparł się o drzwi i zaczął wykonywać ćwiczenia relaksujące. Po chwili się uspokoił. Mazer nie odrywał od niego oczu.

Milczenie ciągnęło się przez następne dwie godziny. Mazer nieustępliwie przyglądał się Enderowi, Ender usiłował udawać, że nie zauważa starca. Denerwował się coraz bardziej i w końcu zaczął krążyć po pokoju.

Właśnie mijał Mazera po raz kolejny, kiedy ten nagle trącił go w nogę. Ender upadł.

Natychmiast poderwał się wściekły. Mazer siedział spokojnie, ze skrzyżowanymi nogami, jakby nic się nie wydarzyło. Ender stanął, gotowy do walki. Ale bezruch starca uniemożliwił mu atak. W końcu Ender zaczął podejrzewać, że coś mu się przywidziało.

Krążył po pokoju przez godzinę, od czasu do czasu usiłując otworzyć drzwi. Wreszcie poddał się, zdjął mundur i podszedł do łóżka.

Pochylił się, żeby podnieść koc, kiedy poczuł rękę chwytającą go między udami i drugą, zaciskającą się na jego włosach. W ułamku chwili znalazł się do góry nogami. Starzec przyciskał kolanem jego twarz i ramiona do podłogi, wyginał mu boleśnie plecy, a ręką przygważdżał nogi. Ender nie mógł ruszać rękami, nie mógł się uwolnić ani rozprostować nóg. W niespełna dwie sekundy starzec bezapelacyjnie pokonał Endera Wiggina.

- Dobra - jęknął Ender. - Wygrałeś.

Mazer boleśnie przygniół go kolanem.

- Od kiedy to - odezwał się cichym, zgrzytliwym głosem - trzeba informować przeciwnika, że wygrał?

Ender zamilkł.

- Już raz cię zaskoczyłem, Enderze Wiggina. Dlaczego natychmiast mnie nie unicestwiłeś? Bo wyglądałem spokojnie? Odwróciłeś się do mnie plecami. Głupio. Nic się nie nauczyłeś. Nigdy nie miałeś nauczyciela.

Ender był już zły.

- Miałem za dużo nauczycieli. Skąd miałem wiedzieć, że okażesz się... - Ender urwał, szukając słowa. Mazer mu je podsunął.

- Wrogiem, Enderze Wiggin - szepnął. - Jestem twoim wrogiem, pierwszym, który jest od ciebie mądrzejszy. Nie ma tu nauczyciela, jest wróg, Enderze Wiggin. Nikt oprócz wroga nie powie ci, co zamierza zrobić wróg. Nikt oprócz wroga nie nauczy cię, jak niszczyć i podbijać. Od tej pory jestem twoim wrogiem. Od tej pory jestem twoim nauczycielem.

Mazer puścił nogi Endera. Ponieważ nadal przyciskał mu głowę do podłogi, chłopiec nie mógł sobie pomóc rękami. Nogi opadły mu na plastikową powierzchnię z głośnym trzaskiem. Zabolalo tak, że Ender się skrzywił. Wtedy Mazer wstał i pozwolił mu się podnieść.

Chłopiec powoli podciągnął pod siebie nogi, jęknąwszy cicho z bólu, przez chwilę stał na czworakach, zbierając siły. Nagle wyrzucił przed siebie prawą rękę. Mazer szybko odskoczył, dłoń Endera chwyciła powietrze, a stopa nauczyciela wystrzeliła w kierunku podbródka chłopca.

Ale głowy Endera już tam nie było. Chłopiec upadł na plecy, potoczył się po podłodze i w chwili, gdy Mazer nie odzyskał jeszcze równowagi, zadał mu cios w drugą nogę. Starzec padł na ziemię bezwładnie jak kłębek szmat.

Kłębek szmat okazał się gniazdem szerszeni. Na plecy i ramiona Endera spadł grad ciosów, a on nie potrafił dostatecznie szybko ich odparować. Był mniejszy - nie mógł sięgnąć poza okładające go kończyny starca.

Odkoczył więc i stanął przy drzwiach gotowy do walki.

Starzec przestał się miotać i znowu usiadł po turecku. Roześmiał się.

- Tym razem już lepiej, chłopcze. Ale jesteś powolny. Lepiej, żebyś z flotą radził sobie lepiej niż z własnym ciałem, bo inaczej nikt nie będzie bezpieczny pod twoimi rozkazami. Dotarło do ciebie?

Ender powoli pokiwał głową.

Mazer uśmiechnął się.

- Dobrze. Więc już nigdy więcej nie stoczymy takiej walki. Reszta będzie na symulatorze. Zaprogramuję twoje bitwy, opracuję strategię wroga, a ty nauczysz się szybkiego reagowania i rozszyfrowywania sztuczek, który przeciwnik dla ciebie przygotowuje. Zapamiętaj, chłopcze. Od tej pory przeciwnik jest od ciebie mądrzejszy. Od tej chwili przeciwnik jest od ciebie silniejszy. Od tej pory zawsze będzie ci grozić przegrana.

Wtedy twarz Mazera znowu spowaźniała.

- Będzie ci grozić przegrana, Ender, ale wygrasz. Nauczysz się zwyciężać. Wróg cię tego nauczy.

Mazer wstał i podszedł do drzwi. Ender odsunął się mu z drogi. Kiedy starzec dotknął klamki, Ender skoczył i obiema stopami kopnął go w krzyż tak mocno, że impet ciosu go odrzucił, a Mazer z krzykiem upadł na podłogę.

Wstał powoli, przytrzymując się klamki, z twarzą wykrzywioną z bólu. Wyglądał, jakby odniósł poważne obrażenia, ale Ender mu nie ufał. Czekał nieufnie. A jednak pomimo czujności szybkość Mazera go zaskoczyła. W ułamku chwili znalazł się na podłodze pod przeciwległą ścianą. Z nosa i wargi, którymi uderzył o łóżko, płynęła mu krew. Zdołał się odwrócić w porę, by zobaczyć, jak Mazer otwiera drzwi i wychodzi. Starzec kulał i szedł powoli.

Ender uśmiechnął się pomimo bólu, przetoczył na plecy i śmiał się tak długo, aż do ust napłynęła mu krew i zaczął się krztusić. Wówczas wstał i z wysiłkiem dobrnął do łóżka. Położył się. Po paru minutach przyszedł pielęgniarz, który zajął się jego obrażeniami.

Kiedy leki zaczęły działać i Ender zapadł w drzemkę, przypomniawszy sobie, jak Mazer, kulejąc, wychodził z jego pokoju i znowu się roześmiał. Jeszcze śmiał się cicho, kiedy zrobiło mu się ciemno przed oczami. Pielęgniarz okrył go kocem i zgasił światło. Ender spał do rana, a potem obudził go ból. Śniło mu się, że pokonał Mazera.

Następnego dnia poszedł do sali symulacyjnej z opatrunkiem na nosie i spuchniętą wargą. Mazera nie było. Tymczasem kapitan, który już z nim pracował, pokazał mu poczynione zmiany. Wskazał przewód z pętlą na końcu.

- Nadajnik. Prymitywny, wiem. Tę pętlę zakłada się na ucho, a drugi koniec wkłada do ust, o tak.

- Ostrożnie - rzucił Ender, kiedy kapitan dotknął przewodem jego spuchniętej wargi.

- Przepraszam. Teraz mów.

- Dobrze. Do kogo?

Kapitan uśmiechnął się.

- Odezwij się, a sam zobaczysz.

Ender wzruszył ramionami i odwrócił się do symulatora. W tej samej chwili w jego głowie rozległ się jakiś głos. Był zbyt głośny, żeby go zrozumieć. Ender zdarł nadajnik z ucha.

- Co robicie, chcecie mnie ogłuszyć?

Kapitan pokręcił głową i poruszył gałką małej skrzynki stojącej na pobliskim stole. Ender znów włożył przyrząd.

- Dowódco - odezwał się znajomy głos.

- Tak - odpowiedział Ender.

- Instrukcje, sir?

Głos zdecydowanie brzmiał znajomo.

- Groszek? - spytał Ender.

- Tak jest.

- Groszek, tu Ender.

Cisza. I wybuch śmiechu. Potem roześmiało się jeszcze sześć czy siedem głosów. Ender zaczekał, aż znowu zrobi się cicho. A wtedy spytał:

- Kto jeszcze?

Kilka głosów odezwało się jednocześnie, ale Groszek je przekrzyczał.

- Ja, Peder, Wins, Younger, Lee i Vlad.

Ender zastanawiał się przez chwilę. Potem spytał, co się dzieje. Znowu się roześmieli.

- Nie mogą rozbić grupy - powiedział Groszek. - Byliśmy dowódcami przez jakieś dwa tygodnie, a potem nas dali do Szkoły Dowodzenia, na treningi na symulatorze i raptem mówią, że będziemy flotą pod rozkazami nowego dowódcy. I to właśnie ty.

Ender uśmiechnął się.

- Nadajecie się do czegoś, chłopaki?

- Jeśli nie, to nam powiesz.

Ender roześmiał się cicho.

- To się nawet może udać. Flota.

Przez dziesięć dni Ender ćwiczył swoich dowódców plutonów, aż nauczyli się manewrować statkami z baletową precyzją. Tak jakby znowu znaleźli się w sali bojowej, tylko teraz Ender zawsze wszystko widział, mógł mówić do swoich dowódców i w każdej chwili zmieniać rozkazy.

Pewnego dnia, kiedy usiadł przed tablicą kontrolną i włączył symulator, w przestrzeni pojawiły się jaskrawozielone światelka - przeciwnik.

- Jest tak - powiedział. - X, Y, pocisk, C, D, ekran rezerwowy, E, południowa pętla, Groszek, na północ.

Wrogie jednostki zgrupowały się w kulę; dwukrotnie przewyższały liczebnością flotę Endera. Połowa jego sił zgrupowała się w formację przypominającą pocisk, reszta utworzyła płaski okrągły ekran - z wyjątkiem maleńkiego oddziału pod rozkazami Groszka, który poruszał się poza symulatorem, kierując się na tyły formacji nieprzyjacielskich. Ender szybko nauczył się strategii wroga; kiedy pocisk się zbliżał, przeciwnik ustępował w nadziei, że

wciągnie go do środka kuli i otoczy. Dlatego Ender posłusznie wpadł w pułapkę, wprowadzając pocisk w sam środek kuli.

Statki przeciwnika zaczęły się powoli zbliżać, nie chcąc się znaleźć w zasięgu ognia, dopóki nie będą mogły jednocześnie rozpocząć ostrzału. Wówczas Ender zaczął się naprawdę starać. Jego rezerwowy ekran zbliżył się do krawędzi kuli, a nieprzyjaciel zaczął koncentrować siły w jego pobliżu. Wtedy po przeciwległej stronie pojawił się oddział Groszka i nieprzyjaciel znowu przeniósł statki w tamtym kierunku. Wskutek tego większa część kuli została niemal pozbawiona ochrony. Pocisk zaatakował, a ponieważ w miejscu ataku przewaga liczebna Endera nad wrogiem była przeważająca, przebił się przez formację. Wróg usiłował załatać dziurę, ale w chaosie oddział rezerwowy i niewielki oddział Groszka zaatakowały jednocześnie, a pocisk przeniósł się w inny punkt kuli. Po długiej chwili formacja została rozproszona, większość nieprzyjacielskich statków zniszczona, a nieliczni ocalali w pośpiechu uciekali.

Ender wyłączył symulator. Wszystkie światelka zbladły. Mazer stanął obok niego, z rękami w kieszeniach, spięty. Ender spojrzał na niego.

- Przecież mówiłeś, że wróg będzie inteligentny - powiedział.

Mazer patrzył na niego z kamiennym wyrazem twarzy.

- Czego się nauczyłeś?

- Nauczyłem się, że kula sprawdza się tylko wtedy, kiedy ma się idiotę za przeciwnika. Rozproszył swoje oddziały tak, że przy każdym starciu górowałem nad nim liczebnie.

- I?

- I nie można się przywiązywać do jednego schematu. Jest się wtedy przewidywalnym.

- To wszystko? - spytał cicho Mazer.

Ender zdjął słuchawki.

- Wróg mógłby mnie pokonać, gdyby wcześniej rozproszył kulę.

Mazer skinął głową.

- Miałeś niesprawiedliwą przewagę.

Ender spojrzał na niego zimno.

- Mieli przewagę liczebną dwa do jednego.

Mazer pokręcił głową.

- Miałeś ansibl. Wróg go nie ma. Uwzględniamy to przy tych bitwach na niby. Ich wiadomości wędrują z prędkością światła.

Ender zerknął na symulator.

- Czy to tak daleko, że ma to jakieś znaczenie?

- Nie wiesz? Między statkami jest odstęp co najmniej trzydziestu tysięcy kilometrów.

Ender usiłował sobie wyobrazić rozmiary kuli wroga. Astronomia go nie interesowała, ale zaciekał się.

- Jaka broń znajduje się na tych statkach, że potrafią tak szybko strzelać?

Mazer pokręcił głową.

- Nauki ścisłe są za trudne. Musiałbyś studiować więcej lat, niż w ogóle żyłeś, zanim zrozumiałbyś podstawy. Potrzebna jest ci tylko wiedza, jak działa ta broń.

- Dlaczego musimy podejść tak blisko, żeby znaleźć się w zasięgu strzału?

- Wszystkie statki mają pola siłowe. W pewnej odległości broń ma mniejszą siłę rażenia i jest nieskuteczna. Im bliżej, tym jest groźniejsza, a pole słabsze. Ale komputery już się tym zajęły. Nieustannie prowadzą ostrzał w kierunku, który nie zrobi szkód wśród naszych statków. Komputery wybierają cel, mierzą, wykonują całą drobiazgową pracę. Ty tylko im mówisz, kiedy mają strzelać, i ustawiasz je w takiej pozycji, żeby zwyciężyć. Jasne?

- Nie. - Ender okręcił przewód nadajnika wokół palców. - Muszę wiedzieć, jak działa ta broń.

- Mówiłem, to by zajęło...

- Nie mogę dowodzić flotą - nawet na symulatorze - jeśli nie będę wiedzieć. - Ender milczał przez chwilę i dodał: - Tylko tak ogólnie.

Mazer wstał i odszedł o parę kroków.

- Dobrze, Ender. Dla mnie to bez sensu, ale spróbuję. Najprościej jak to możliwe. - Wbił ręce w kieszenie. - Jest tak: wszystko składa się z atomów, cząstek tak małych, że nie widać ich gołym okiem. Te atomy dzielą się na kilka różnych rodzajów i wszystkie składają się z jeszcze mniejszych cząstek, które są mniej więcej takie same. Te atomy można rozbić, wówczas przestaną być atomami. Tak że ten metal się rozpadnie. Albo plastikowa podłoga. Albo twoje ciało. Nawet powietrze. Jeśli rozbijesz atomy, one jakby znikną. Zostaną z nich tylko kawałki. Będą fruwać i rozbijać inne atomy. Broń na tych statkach tworzy przestrzeń, gdzie atomy czegokolwiek nie mogą się trzymać razem. Wszystkie się rozpadają. Dlatego wszystko w tej okolicy... znika.

Ender skinął głową.

- Masz rację, nic nie rozumiem. Czy to można zablokować?

- Nie. Ale im dalej od statku, tym bardziej rozproszone i słabe jest działanie tej broni, więc po jakimś czasie blokuje je pole siłowe. Rozumiesz? Żeby broń była efektywna, musi

mieć skoncentrowane działanie, dlatego statek może wystrzelić skutecznie najwyżej w trzech lub czterech kierunkach naraz.

Ender znowu pokiwał głową, ale naprawdę nic nie rozumiał.

- Jeśli kawałki tych połamanych atomów rozbijają inne atomy, dlaczego wszystko razem nie zniknie?

- Przestrzeń. Te tysiące kilometrów pomiędzy statkami są puste. Tam prawie nie ma atomów. Te kawałki w nic nie uderzają, a kiedy wreszcie już się z czymś zderzą, są tak rozproszone, że nie czynią żadnej szkody. - Mazer przechylił pytająco głowę. - Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

- Czy ta broń ze statków... czy działa na coś poza statkami?

Mazer zbliżył się do Endera i powiedział twardo:

- Używamy jej tylko przeciwko statkom. Nigdy inaczej. Gdybyśmy użyli jej przeciwko czemuś innemu, wróg użyłby jej przeciwko nam. Rozumiesz?

Odszedł i był już prawie przy drzwiach, kiedy Ender zawołał:

- Nie wiem jeszcze, jak się nazywasz.

- Mazer Rackham.

- Mazerze Rackham - powiedział Ender kpiąco - pokonałem cię.

Mazer roześmiał się.

- Ender, dziś nie walczyłeś ze mną. Walczyłeś z najgłupszym komputerem w całej Szkole Dowodzenia, wyposażonym w dziesięcioletni program. Nie myślisz chyba, że zastosowałbym tę kulę, co? - Pokręcił głową. - Ender, moje kochane maleństwo, łatwo się zorientujesz, kiedy będziesz ze mną walczył. Bo przegrasz. - I wyszedł.

Ender nadal ćwiczył dziesięć godzin dziennie ze swoimi dowódcami plutonów. Nigdy ich nie widywał, słyszał tylko ich głosy w słuchawkach. Bitwy odbywały się co dwa lub trzy dni. Wróg za każdym razem miał jakąś nową sztuczkę, trudniejszą - ale Ender sobie radził. I za każdym razem wygrywał. A po każdej bitwie Mazer wytykał mu błędy i udowadniał, że tak naprawdę to przegrał. Pozwalał mu kończyć grę tylko dlatego, żeby nauczył się to robić.

Aż pewnego razu Mazer przyszedł, uroczyście uścisnął dłoń Endera i powiedział:

- Chłopcze, to była dobra bitwa.

Ponieważ tak długo zwlekał z pochwałą, jego słowa bardzo ucieszyły Endera. Brzmiały jednak protekcjonalnie, Ender poczuł się więc nieco urażony.

- Od tej pory - dodał Mazer - możemy ci dawać trudne zadania.

Życie Endera stało się powolnym marszem ku załamaniu nerwowemu.

Ender zaczął staczać dwie bitwy dziennie; problemy, który się pojawiały, zaczęły sprawiać mu coraz większe trudności. Przez całe życie zajmował się tylko tą grą, ale teraz zaczęła go pożerać. Rankami budził się z nowymi strategiami dla symulatora, a w nocy zapadał w twardy sen, dręcząc się popełnionymi tego dnia błędami. Czasami budził się w środku nocy, płacząc z powodów, których nie potrafił sobie przypomnieć. Niekiedy budził się z zakrwawionymi palcami, które gryzł przez sen. Ale codziennie beznamietnie szedł do symulatora, po bitwach musztrował dowódców plutonów i znosił krytykę, której nie szczędził mu Rackham. Zauważył, że Rackham perwersyjnie krytykuje go bardziej po najtrudniejszych bitwach. Zauważył, że za każdym razem, kiedy wymyślał nową strategię, po kilku dniach wróg zaczynał ją stosować. Zauważył też, że choć jego flota ma zawsze taką samą liczebność, oddziały wroga codziennie rosną.

Spytał o to nauczyciela.

- Pokazujemy ci, jak będzie, kiedy naprawdę zostaniesz dowódcą. Taktyka wroga.
- Dlaczego wróg jest zawsze liczniejszy?

Mazer pochylił siwą głowę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. Wreszcie spojrzał na Endera, wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia.

- Powiem ci, chociaż ta informacja jest tajna. Widzisz, wróg zaatakował nas pierwszy. Miał powody, żeby to zrobić, ale to sprawa polityków, i nawet jeśli jesteśmy winni, nie mogliśmy dać mu wygrać. Toteż kiedy w naszym świecie zjawił się wróg, ze wszystkich sił stawiliśmy opór i oddaliśmy nasz kwiat młodzieży do Floty. Wygraliśmy, a wróg się wycofał.

Mazer uśmiechnął się ponuro.

- Ale wróg nie dał za wygraną, chłopcze. Wróg nigdy nie da za wygraną. Powrócił liczniejszy i trudniej go było pokonać. Poświęciliśmy kolejne pokolenie młodych ludzi. Przeżyli nieliczni. Dlatego obmyśliliśmy pewien plan - góra go wymyśliła. Wiedzieliśmy, że musimy zlikwidować wroga raz na zawsze, absolutnie, pozbawić go możliwości prowadzenia wojny. Aby to zrobić, musieliśmy dotrzeć do jego światów - właściwie do świata, bo całe imperium wroga zależy od jednej macierzystej planety.

- I co? - spytał Ender.

- Stworzyliśmy Flotę. Zbudowaliśmy więcej statków, niż miał wróg. Na każdy statek rzucony przeciwko nam zbudowaliśmy sto. I wysłaliśmy je przeciwko dwudziestu ośmiu planetom wroga. Statki rozpoczęły podróż sto lat temu. Mają ansible i nieliczną załogę, by pewnego dnia jakiś dowódca z dalekiej planety mógł zacząć dowodzić Flotą. I by wróg nie unicestwił naszych najlepszych umysłów.

Nadal nie odpowiedział na pytanie Endera.

- Dlaczego są liczniejsi?

Mazer roześmiał się.

- Bo nasze statki pokonały tę trasę w sto lat. Wróg miał sto lat, by się przygotować. Musieliby być chyba idiotami - przyznasz, chłopcze - gdyby czekali na swoich starych krypach. Mają nowe statki, wielkie, setki statków. Ale my dysponujemy ansiblem. Na dodatek każda ich flota musi mieć dowódcę, a kiedy przegrają - a przegrają - stracą swoje najlepsze umysły.

Ender otworzył usta, by zadać następne pytanie.

- Dość. Powiedziałem ci więcej, niż powinienem.

Ender poderwał się gniewnie i odwrócił.

- Mam prawo wiedzieć. Myślisz, że tak będzie zawsze? Że będziecie mnie przenosić z jednej szkoły do drugiej, nie mówiąc mi, po co w ogóle żyję? Wykorzystujecie mnie i innych jak narzędzia, kiedyś będziemy dowodzić waszymi statkami, może uratujemy wam życie, ale nie jestem komputerem i muszę wiedzieć!

- To pytaj, chłopcze - poddał się Mazer - a jeśli będę mógł odpowiedzieć, odpowiem.

- Jeśli najlepsi dowodzą Flotą i nigdy ich nie tracicie, to do czego wam jestem potrzebny? Kogo mam zastąpić, skoro wszyscy są?

Mazer pokręcił głową.

- Nie mogę odpowiedzieć. Niech ci wystarczy, że wkrótce będziemy cię potrzebować. Już późno. Idź spać. Rano masz bitwę.

Ender wyszedł z sali symulacyjnej. Ale kiedy po chwili Mazer ukazał się w drzwiach, chłopiec czekał w korytarzu.

- No dobrze - rzucił zniecierpliwiony Mazer. - Czego chcesz? Nie będę tu sterczał przez całą noc, a ty musisz się wyspać.

Ender właściwie nie wiedział, o co chce go zapytać. Mazer czekał. W końcu chłopiec odezwał się cicho:

- Czy oni żyją?

- Czy kto żyje?

- Inni dowódcy. Ci, którzy teraz dowodzą. I którzy dowodzili wcześniej.

Mazer prychnął.

- Żyją. Oczywiście, że żyją. On się jeszcze zastanawia!

Odszedł, chichocząc. Ender stał jeszcze przez jakiś czas, ale w końcu poczuł, że jest potwornie zmęczony, i poszedł do siebie. Żyją, pomyślał. Żyją, ale on nie może mi powiedzieć, co się z nimi dzieje.

Tej nocy nie obudził się z płaczem, tylko z zakrwawionymi rękami.

Ender staczał codziennie bitwy przez kolejne miesiące, aż w końcu zaczął się osuwać w autodestrukcję. Co noc sypiał coraz krócej, coraz więcej śnił i zaczęły go męczyć okropne bóle żołądka. Przepisano mu lekkostrawną dietę, ale wkrótce zupełnie stracił apetyt.

- Jedz - mówił Mazer i Ender mechanicznie wkładał jedzenie do ust. Ale kiedy nikt nie wydał rozkazu - nie jadł.

Pewnego razu, kiedy trenował dowódców plutonów, nagle w pokoju zrobiło się ciemno. Ocknął się na podłodze, z twarzą zakrwawioną od zderzenia z pulpitem.

Zaniesiono go do łóżka i przez trzy dni ciężko chorował. Przypominał sobie, że widział we śnie twarze, ale nie były prawdziwe, z czego zdawał sobie sprawę nawet przez sen. Czasami wydawało mu się, że widzi Groszka, czasem, że porucznika Andersona i kapitana Graffa. A kiedy się budził, był przy nim tylko jego wróg, Mazer Rackham.

- Nie śpię - powiedział.

- Widzę - odparł Mazer. - Długo to trwało. Dziś masz bitwę.

Ender wstał, stoczył bitwę i wygrał. Tego dnia nie było już drugiej i wcześniej się położył. Kiedy się rozbierał, trzęsły mu się ręce.

W nocy śnił, że ktoś go delikatnie dotyka, a jakieś głosy mówią:

- Jak długo jeszcze wytrzyma?

- Wystarczająco.

- Tak szybko?

- Kilka dni i nastąpi koniec.

- Jak sobie poradzi?

- Doskonale. Nawet dziś był lepszy niż kiedykolwiek.

Ender rozpoznał głos, który odezwał się ostatni. Rackham. Oburzyło go, że Rackham wpycha się nawet do jego snów.

Obudził się, stoczył następną bitwę i wygrał.

Potem poszedł do łóżka.

Obudził się i znowu wygrał.

A rano rozpoczął się jego ostatni dzień w Szkole Dowodzenia, choć Ender o tym nie wiedział. Wstał i poszedł do symulatora, żeby stoczyć bitwę.

Mazer już na niego czekał. Ender wszedł powoli do sali. Lekko powłóczył nogami, był zmęczony i otępiały. Mazer zmarszczył brwi.

- Obudziłeś się, chłopcze?

Gdyby Ender był przytomniejszy, pewnie zastanowiłaby go troska w głosie nauczyciela. Ale dziś podszedł tylko do pulpitu i usiadł za nim.

- Dzisiejsza gra wymaga niewielkich objaśnień - powiedział Mazer. - Odwróć się i uważaj.

Ender odwrócił się i po raz pierwszy zauważył, że w głębi pokoju znajdują się jacyś ludzie. Rozpoznał Graffa i Andersona ze Szkoły Bojowej, mętnie przypomniał sobie paru mężczyzn ze Szkoły Dowodzenia - uczyli go przez kilka godzin. Jednak większości nie znał.

- Kto to?

Mazer pokręcił głową.

- Obserwatorzy - wyjaśnił. - Od czasu do czasu pozwalamy im przyglądać się bitwom. Jeśli ich tu nie chcesz, pójdą sobie.

Ender wzruszył ramionami. Mazer przystąpił do objaśnień.

- Dziś, chłopcze, gra zawiera nowy element. Rozgrywamy ją wokół planety. To skomplikuje sprawę na dwa sposoby. W naszej skali planeta nie jest duża, ale ansibl nie potrafi wykryć niczego po jej drugiej stronie - więc to ślepy punkt. Ponadto nie możemy używać broni przeciwko planecie. W porządku?

- Dlaczego? Broń się nie sprawdzi?

- To zasady sztuki wojennej - odparł zimno Mazer - które obowiązują nawet w grach.

Ender powoli pokręcił głową.

- Czy planeta może mnie zaatakować?

Mazer przez chwilę patrzył na niego ze zdziwieniem. Potem się uśmiechnął.

- Będziesz się musiał sam domyślić, chłopcze. I jeszcze jedno. Dziś twoim przeciwnikiem nie jest komputer. Dziś będę nim ja i nie odpuszczę ci. Dziś będziemy walczyć do końca. I wykorzystam wszystkie dostępne mi środki, żeby cię pokonać.

Potem Mazer odszedł, a Ender drewnianym głosem wydał rozkazy dowódcom plutonów. Oczywiście szło mu dobrze, ale kilku obserwatorów kręciło głowami, a Graff ciągle splatał i rozplatał dłonie, i zakładał nogę na nogę. Ender mógł być dziś powolny, a właśnie dziś nie mógł sobie na to pozwolić.

Rozległ się ostrzegawczy brzęczyk i Ender oczyścił pulpit symulatora. Czekał na pojawienie się gry. Dziś czuł się otępiały i zastanawiał się, dlaczego ci ludzie go obserwują. Mają go ocenić? Zdecydować, czy się do czegoś nadaje? Do kolejnych dwóch lat męczących treningów, kolejnych dwóch lat walki, by przejść samego siebie? Miał dwanaście lat. Czuł się bardzo stary. Czekając na grę, pomyślał, że chciałby ją po prostu przegrać, przegrać ją z

kretesem, żeby musieli go usunąć z programu, ukarać, jak tam sobie chcą, wszystko jedno, byle tylko mógł zasnąć.

Potem pojawiły się formacje wroga i jego zmęczenie zmieniło się w desperację.

Wróg górował nad nim liczebnie w stosunku tysiąc do jednego, symulator cały załśnił zielenią od jego jednostek. Ender zrozumiał, że nie może wygrać.

Wróg nie był też głupi. Nie było żadnej formacji, którą Ender mógłby przestudiować i zaatakować. Ogromne roje statków poruszały się nieustannie, wciąż tworzyły coraz to nowe formacje, tak że przestrzeń, która przed momentem była pusta, natychmiast zapełniała się przeważającymi siłami wroga. I choć Ender jeszcze nigdy nie otrzymał tak licznej floty jak dziś, nie miał jej gdzie rozmieścić, by zyskać znaczącą przewagę nad wrogiem.

A za przeciwnikiem znajdowała się planeta. Planeta, przed którą ostrzegł go Mazer. Co za różnica, skoro Ender i tak nie mógł się do niej przedrzeć? Zaczął czekać na olśnienie, błysk instynktu, który podpowie mu, co robić, jak pokonać wroga. A kiedy tak czekał, usłyszał, że obserwatorzy zaczynają się wiercić, zastanawiając się, co Ender robi, jaką taktykę zastosuje. I w końcu wszyscy zrozumieli, że Ender nie wie, co robić, że nie ma tu nic do zrobienia, i z gardeł kilku mężczyzn wyrwały się ciche jęki.

Wtedy w uchu Endera rozległ się głos Groszka. Groszek zachichotał i powiedział:

- Pamiętaj, brama przeciwnika jest w dole.

Kilku dowódców plutonów się roześmiało, a Ender przypomniał sobie proste gry, które toczył i wygrywał w Szkole Bojowej. Tam także stawiali go w beznadziejnej sytuacji. A on zwyciężał. I niech go diabli, jeśli Mazer Rackham pokona go takim tanim chwytem jak tysiąckrotna przewaga liczebna. W Szkole Bojowej wygrywał, robiąc coś, czego przeciwnik się nie spodziewał, łamiąc zasady; wygrał, idąc do bramy przeciwnika.

A brama przeciwnika jest w dole.

Uśmiechnął się i zrozumiał, że jeśli złamie tę zasadę, prawdopodobnie wywalą go ze Szkoły i w ten sposób na pewno wygra. Nigdy w życiu nie będzie już musiał grać.

Szepnął rozkaz do mikrofonu. Sześciu dowódców przejęło część floty i wyruszyło przeciwko wrogowi. Przemieszczali się chaotycznie, śmigając to tu, to tam. Wróg natychmiast zaprzestał bezcelowych manewrów i zaczął się grupować wokół sześciu flotylli Endera.

Ender zdjął słuchawkę, oparł się wygodnie i obserwował sytuację. Obserwatorzy zaczęli szeptać coraz głośniejsze - Ender nic nie robi. Zrezygnował z gry.

Ale w trakcie szybkich konfrontacji z przeciwnikiem na ekranie zaczął się wyłaniać schemat. Sześć grup Endera błyskawicznie traciło statki podczas spotkania z siłami

przeciwnika, ale nigdy się nie zatrzymywały, by walczyć, nawet kiedy przez chwilę mogły odnieść niewielkie taktyczne zwycięstwo. Trzymały się swego chaotycznego kursu, który prowadził je konsekwentnie w dół. Ku planecie wroga.

A ponieważ ich trasa była tak ostentacyjnie chaotyczna, wróg nie zdawał sobie z niczego sprawy - zorientował się dopiero równocześnie z obserwatorami. Ale wtedy było już za późno, tak jak William Bee zorientował się za późno, by przeszkodzić żołnierzom Endera w aktywowaniu bramy. Przeciwnik trafiał i niszczył większość statków Endera, tak że z sześciu flotylli do planety dotarły tylko dwie, a i one były zdziesiątkowane. Jednak te nieliczne oddziały zdołały się przedrzeć, a wówczas rozpoczęły ostrzał planety.

Teraz Ender pochylił się do przodu, ciekaw, czy jego wysiłki się opłaciły. Niemal spodziewał się, że zaraz rozlegnie się brzęczyk i gra zostanie przerwana, ponieważ złamał zasady. Ale liczył na dokładność symulatora. Skoro potrafił stworzyć symulację planety, mógł odtworzyć także to, co się z nią stanie w czasie ataku.

I tak było.

Broń, która niszczyła małe statki, początkowo nie rozerwała całej planety, jednak spowodowała straszliwe eksplozje. A na planecie było zbyt mało miejsca, by reakcja łańcuchowa uległa rozproszeniu, przeciwnie - reakcja znajdowała na planecie coraz więcej paliwa.

Powierzchnia planety falowała przez jakiś czas, by nagle rozprysnąć się w ogromnym wybuchu, który zalał oślepiającym światłem. Pochłonął całą flotę Endera. A potem dosięgnął statków wroga.

Pierwsze po prostu znikły w eksplozji. Potem, gdy wybuch zaczął się rozprzestrzeniać, a światło nie było już oślepiające, obserwowali los statków. Kiedy blask do nich dopełzał, rozbłyskiwały i znikaly. Wszystkie stanowiły pokarm dla ognia planety.

Minęło trochę ponad trzy minuty, zanim eksplozja dotarła do granic symulatora. Wówczas straciła już rozpęd. Prawie wszystkie statki znikły, ocalało tylko kilka, ale było ich tak niewiele, że nie należało się nimi przejmować. Tam, gdzie niedawno znajdowała się planeta, widniała pustka. Ekran symulatora opustoszał.

Ender pokonał wroga, poświęcając całą swoją flotę i łamiąc zakaz niszczenia planety wroga. Nie wiedział, co ma czuć: radość ze zwycięstwa czy strach przed nieuniknioną naganą. Dlatego nic nie poczuł. Był zmęczony. Chciał się położyć i zasnąć.

Wyłączył symulator i w końcu dotarł do niego hałas za plecami.

W sali nie było już dwóch rzędów dystygowanych obserwatorów wojskowych. Panował w niej chaos. Niektórzy obserwatorzy klepali się po plecach, inni siedzieli zgarbieni,

z twarzą w dłoniach, jeszcze inni otwarcie płakali. Kapitan Graff oderwał się od grupki i podszedł do Endera. Po twarzy płynęły mu strumienie łez, ale się uśmiechał. Wyciągnął ręce i ku zdumieniu Endera objął go, mocno uściskał i wyszeptał:

- Dziękuję, dziękuję, dziękuję, Ender.

Zaraz potem wokół zaskoczonego chłopca zgromadzili się inni, dziękując, wiwatując, klepiąc go po ramieniu i ściskając mu rękę. Ender usiłował zrozumieć coś z tego, co mówili. Więc jednak zdał ten egzamin? Czemu tak się przejmują?

Tłum się rozstąpił i zrobił przejście dla Mazera Rackhama. Ten podszedł prosto do Endera i wyciągnął rękę.

- Dokonałeś trudnego wyboru, chłopcze. Ale Bóg widzi, że nie mogłeś inaczej. Gratulacje. Pokonałeś ich i już jest po wszystkim.

Po wszystkim. Pokonałeś ich.

- Pokonałem ciebie, Mazer.

Mazer roześmiał się na cały pokój.

- Enderze Wiggin, nie grałeś ze mną. Odkąd zostałem twoim nauczycielem, nie rozegrałeś ze mną ani jednej gry.

Ender nie zrozumiał żartu. Rozegrał mnóstwo gier i zapłacił za to straszną cenę. Zaczęło go to złościć.

Mazer dotknął jego ramienia. Ender odtrącił jego dłoń. Wówczas Mazer spowaźniał.

- Enderze Wiggin - powiedział. - Od miesiący dowodziłeś naszą Flotę. To nie była gra, tylko prawdziwe bitwy. Wróg był prawdziwy. Wygrałeś wszystkie bitwy. A dziś wreszcie walczyłeś z nimi w pobliżu ich planety i zniszczyłeś ją i ich flotę, unicestwiłeś przeciwnika, który nigdy już nas nie zaatakuję. Ty tego dokonałeś. Ty.

Prawdziwe bitwy. Nie gra. Umysł Endera był zbyt zmęczony, by to ogarnąć. Chłopiec minął Mazera, przeszedł w milczeniu przez tłum, który nadal szeptał podziękowania i gratulacje, wyszedł z sali symulacyjnej, dotarł w końcu do swojego pokoju i zamknął drzwi.

Spał, kiedy Graff i Mazer Rackham go znaleźli. Weszli cicho i obudzili go. Oprzytomniał powoli, a kiedy ich rozpoznał, odwrócił się, żeby znowu zasnąć.

- Ender - odezwał się Graff. - Musimy z tobą porozmawiać.

Odwrócił się do nich. Milczał.

Graff uśmiechnął się.

- Wiem, wczoraj przeżyłeś szok. Ale pewnie się cieszysz, że wygrałeś wojnę.

Ender powoli pokiwał głową.

- Mazer Rackham nigdy z tobą nie grał. On tylko analizował twoje bitwy, by znaleźć twoje słabe punkty i pomóc ci w samodoskonaleniu. I udało się, co?

Ender zacisnął powieki. Tamci dwaj czekali.

- Dlaczego mi nie powiedzieliście? - spytał.

Mazer uśmiechnął się.

- Sto lat temu nauczyliśmy się kilku rzeczy. Kiedy życie dowódcy jest zagrożone, on zaczyna się bać, a strach spowalnia myślenie. Gdy dowódca wie, że zabija ludzi, staje się ostrożny lub wariuje, a to mu nie pomaga. A kiedy jest dorosły, ma zobowiązania i zna już świat, staje się ostrożny i powolny, i nie sprawdza się. Dlatego szkoliliśmy dzieci, które nie znały nic oprócz gry i nie wiedziały, kiedy staje się prawdziwa. Taka była teoria, a ty dowiodłeś jej słuszności.

Graff dotknął ramienia Endera.

- Wysłaliśmy nasze statki, żeby w ciągu paru miesięcy dotarły na miejsce. Wiedzieliśmy, że jeśli szczęście nam dopisze, znajdziemy tylko jednego dobrego dowódcę. Historia dowodzi, że podczas wojny bardzo rzadko zdarza się więcej niż jeden geniusz. Dlatego postanowiliśmy sprawić sobie geniusza. To było ryzyko, ale zjawileś się i wygraliśmy.

Ender znowu otworzył oczy. Zdali sobie sprawę, że jest zły.

- Tak, wygraliście.

Graff i Mazer Rackham spojrzeli na siebie.

- On nie rozumie - szepnął Graff.

- Rozumiem - powiedział Ender. - Potrzebowaliście broni, zdobyliście ją. Tą bronią jestem ja.

- Zgadza się - odezwał się Mazer.

- Więc powiedzcie - ciągnął Ender - ile istot żyło na planecie, którą zniszczyłem.

Nie odpowiedzieli. Przez chwilę czekali w milczeniu. Potem odezwał się Graff:

- Broń nie musi rozumieć, w co została wycelowana. To myśmy ją wycelowali, dlatego odpowiedzialność spada na nas. Ty tylko wykonałeś zadanie.

Ender odwrócił się do ściany i choć usiłowali z nim rozmawiać, nie odpowiadał. W końcu wyszli.

Długo leżał w łóżku, zanim ktoś znowu mu przeszkodził. Drzwi otworzyły się cicho. Ender nie odwrócił się, żeby spojrzeć. Jakaś ręka delikatnie go dotknęła.

- To ja, Groszek.

Ender odwrócił się i spojrzał na małego chłopca, który stał przy jego łóżku.

- Siadaj - powiedział.

Groszek usiadł.

- Ta ostatnia bitwa. Nie wiedziałem, jak nas z tego wyciągniesz.

Ender uśmiechnął się.

- Nie wyciągnąłem. Oszukiwałem. Myślałem, że mnie wyrzucą.

- Ty masz pojęcie? Wygraliśmy wojnę. Już po wojnie, a myśmy myśleli, że będziemy musieli dorosnąć, żeby walczyć, a tu tymczasem walczyliśmy od samego początku. Rany, Ender, przecież jesteśmy mali. Ja to już na pewno. - Groszek roześmiał się. Ender odpowiedział uśmiechem. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, Groszek przycupnął na brzegu łóżka, a Ender przyglądał mu się spod przymkniętych powiek.

W końcu Groszek znalazł temat.

- Skoro wojna się skończyła, to co będziemy robić?

Ender zamknął oczy.

- Ja będę spać.

Groszek wstał i wyszedł. Ender zapadł w sen.

Graff i Anderson weszli przez bramę do parku. Wiał lekki wietrzyk, ale słońce prażyło.

- Abba Technics? W stolicy? - spytał Graff.

- Nie, w okręgu Biggock. Jednostka treningowa - odpowiedział Anderson. - Uważają, że praca z dziećmi stanowiła dobre przygotowanie. A pan?

Graff pokręcił głową z uśmiechem.

- Nie mam planów. Pobędę tu jeszcze przez parę miesięcy. Raporty, zwijanie interesu. Złożono mi parę ofert. Dział kadr w DCIA, wiceprezes w U i P, ale odmówiłem. Wydawca chce, żebym napisał pamiętniki wojenne. Nie wiem.

Usiedli na ławce, przyglądając się liściom drżącym na wietrze. Dzieci na placu zabaw śmiały się i krzyczały, ale wiatr i odległość zacierały słowa.

- O! - wskazał Graff. Mały chłopczyk zeskoczył z drabinek i podbiegł do ich ławki. Drugi pędził za nim, trzymając na niby karabin i strzelając raz za razem.

- Dostałeś! Natychmiast wracaj!

Chłopiec uciekł.

- Nie wiesz, że cię zabiłem? - Chłopczyk wepchnął ręce w kieszenie i kopnął kamień w stronę drabinek.

Anderson uśmiechnął się, kręcąc głową.

- Ach te dzieci - powiedział. Potem obaj wstali i wyszli z parku.

DORADCA INWESTYCYJNY

Andrew Wiggin w dniu, w którym wylądował na planecie Sorelledolce, skończył dwadzieścia lat. A raczej, po skomplikowanych obliczeniach sekund lotu i prędkości światła, zatem upływu czasu subiektywnego, doszedł do wniosku, że dwadzieścia lat skończył tuż przed końcem podróży.

Było to dla niego o wiele ważniejsze niż fakt, że urodził się czterysta parę lat temu, na Ziemi, w czasach, kiedy ludzie nie opuszczali Układu Słonecznego, który był miejscem jego przyjścia na świat.

Kiedy Valentine wyłoniła się z komory lądowiskowej - zawsze wychodziła po nim, w porządku alfabetycznym - Andrew powitał ją nowymi wieściami.

- Właśnie sobie uświadomiłem - powiedział. - Mam dwadzieścia lat.
- Dobrze - odparła. - Teraz będziesz płacił podatki jak wszyscy.

Od zakończenia Ksenocydu Andrew żył z funduszu ustanowionego przez wdzięczny świat dla dowódcy Floty, która ocaliła ludzkość. Dokładnie mówiąc, kroki te zostały podjęte pod koniec trzeciej wojny z robalami, kiedy ludzie nadal uważali robale za potwory, a dzieci dowodzące Flotą za bohaterów. Z czasem wojnę zaczęto nazywać Ksenocydem, ludzie nie byli już tacy wdzięczni, a żaden rząd nie ośmieliłby się ustanowić funduszu dla Endera Wiggina, sprawcy najstraszniejszej zbrodni w historii ludzkości.

Prawdę mówiąc, gdyby dowiedziano się o istnieniu takiego funduszu, wybuchłby skandal. Jednak Flota Międzygwiezdna niechętnie przyjęła do wiadomości, że unicestwienie robali było takim złym pomysłem. Dlatego starannie zatuszowano istnienie funduszu, rozproszono go wśród wielu innych oraz akcji różnych firm i nie wyznaczono żadnego powiernika kontrolującego którąkolwiek z części pieniędzy. W końcu doprowadzono do tego, że fundusz zniknął i tylko sam Andrew i jego siostra Valentine wiedzieli, gdzie są pieniądze i ile ich jest.

Ale jedno było pewne: zgodnie z prawem po ukończeniu przez Andrew subiektywnego wieku dwudziestu lat jego dochody zaczęły podlegać opodatkowaniu. Informacja o nich dotrze do odpowiednich władz. Andrew będzie wypełniać formularz podatkowy co rok lub po każdej podróży międzygwiezdnej trwającej dłużej niż rok czasu obiektywnego. Podatki będą ściągane co roku, odsetki karne za zwłokę skrupulatnie naliczane.

Andrew nie tęsknił za takim stanem rzeczy.

- Jak to jest z honorarium za twoje książki? - spytał Valentine.

- Tak samo jak z innymi - powiedziała. - Tylko że nie sprzedają się dobrze, więc nie płacę za dużych podatków.

Parę minut później musiała odwołać te słowa, bo kiedy usiedli przy wynajętych komputerach w porcie kosmicznym Sorelledolce, Valentine przekonała się, że jej ostatnia książka, historia upadłych kolonii Jung i Calvin na planecie Helvetica, osiągnęła status czegoś w rodzaju przedmiotu kultu.

- Chyba jestem bogata - mruknęła do Andrew.

- Ja nie mam pojęcia, czy jestem - rzekł. - Ten komputer bez przerwy wyświetla listę moich kont.

Nazwy firm przesuwają się przez ekran. Lista ciągnęła się bez końca.

- Myślałam, że kiedy skończysz dwadzieścia lat, zwyczajnie dadzą ci czek - powiedziała Valentine.

- To by było za wiele szczęścia. Nie mogę tu siedzieć i czekać.

- Musisz. Nie przejdiesz przez odprawę, jeśli nie udowodnisz, że zapłaciłeś podatki i jeszcze ci coś zostało, żebyś nie musiał wykorzystywać państwa.

- A jeśli nie mam pieniędzy? Odeślą mnie?

- Nie, przydzielą cię do brygady robotników i będziesz musiał zarabiać na uwolnienie przy bardzo niekorzystnej płacy.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem. Czytałam dużo książek historycznych i orientuję się, jakie zasady ma nasz rząd. A jak nie będzie tak, to podobnie. Albo cię odeślą.

- Chyba nie jestem pierwszym podróżnym, który wylądował i zrozumiał, że określenie jego sytuacji finansowej potrwa tydzień. Muszę kogoś poszukać.

- Będę tutaj i zapłacę podatki jak każdy dorosły - oświadczyła Valentine. - Jak każda uczciwa kobieta.

- Zawstydzilaś mnie! - zawołał Andrew wesoło i odszedł.

Benedetto tylko rzucił okiem na zawadiackiego młodzieńca, który usiadł przed jego biurkiem, i westchnął. Od razu wiedział, że będzie miał przez niego kłopoty. Młody uprzywilejowany człowiek, przybysz z nowej planety, któremu się wydaje, że zdoła wyjednać dla siebie specjalne względy.

- Czym mogę służyć? - spytał Benedetto po włosku, choć płynnie władał wspólnym, a prawo nakazywało zwracać się w tym języku do wszystkich podróżnych, chyba że obie strony zgodzą się na inny.

Młodzieniec, nie zdradzając zaskoczenia, okazał dowód osobisty.

- Andrew Wiggin? - odczytał Benedetto z niedowierzaniem.

- Czy to jakiś problem?

- Mam uwierzyć, że ten dokument jest prawdziwy? - Teraz, zasygnalizowawszy swój stosunek, mówił już we wspólnym.

- Dlaczego nie?

- Andrew Wiggin? Według pana żyjemy na takiej prowincji, że nikt nie rozpozna nazwiska Endera Ksenobójcy?

- Czy posiadanie takiego nazwiska to przestępstwo?

- Jest nim posługiwanie się fałszywymi dokumentami.

- Czy gdybym się posługiwał fałszywymi dokumentami, wybranie nazwiska Andrew Wiggin byłoby mądre czy głupie?

- Głupie - niechętnie przyznał Benedetto.

- To zacznijmy od założenia, że jestem inteligentny, ale także ciężko doświadczony dorastaniem jako Ender Ksenobójca. Czy uzna mnie pan za nie zrównoważonego psychicznie w wyniku cierpień, na które byłem narażony?

- Tu nie komora celna, tylko urząd podatkowy - warknął Benedetto.

- Wiem. Ale był pan tak niezwykle zainteresowany kwestią tożsamości, że uznałem pana albo za szpiega z komory celnej, albo za filozofa, a kimże jestem, by odmawiać im informacji?

Benedetto nienawidził wyszczekanych cwaniaków.

- Czego pan chce?

- Moja sytuacja podatkowa wydaje się skomplikowana. Po raz pierwszy w życiu muszę zapłacić podatek - właśnie otrzymałem fundusz powierniczy - i nie wiem nawet, jaką sumą dysponuję. Chciałbym prosić o odroczenie terminu płatności podatku do czasu, kiedy zorientuję się w sytuacji.

- Nie - powiedział Benedetto.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

Andrew milczał przez chwilę.

- Czy mogę pomóc w czymś jeszcze? - spytał Benedetto.

- Czy mogę się odwoływać od tej decyzji?

- Tak. Ale najpierw musi pan zapłacić podatek.

- Zamierzam to zrobić, ale to potrwa. Pomyślałem, że lepiej sobie poradzę z własnym komputerem we własnym mieszkaniu niż z publicznymi komputerami w porcie.

- Boi się pan, że ktoś mu zajrzy przez ramię? Zobaczy, ile zostawiła panu babcia?

- Owszem, dyskrekcja byłaby mile widziana.

- Prośba o opuszczenie portu bez zapłaty odrzucona.

- Dobrze, w takim razie proszę o wypłatę moich funduszy, żebym mógł opłacić pobyt w porcie podczas pracy nad podatkami.

- Miał pan na to cały lot.

- Moje pieniądze od zawsze leżały w funduszu powierniczym. Nie wiedziałem, jakie to skomplikowane.

- Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że pańskie wyznania łamią mi serce i zaraz ucieknę stąd z płaczem - poinformował go chłodno Benedetto.

Młodzieniec westchnął.

- Nie wiem, czego pan ode mnie chce.

- Żeby pan zapłacił podatki jak każdy obywatel.

- Nie mam dostępu do pieniędzy, jeśli nie zapłacę podatków. Ale jeśli nie udostępnicie mi pewnej kwoty, nie będę miał z czego żyć, obliczając podatki.

- Teraz pan żałuje, że nie pomyślał o tym wcześniej, prawda?

Andrew rozejrzał się po gabinecie.

- Na tej tabliczce jest napisane, że udziela pan pomocy przy wypełnianiu formularzy podatkowych.

- Tak.

- Pomocy.

- Proszę pokazać formularz.

Andrew spojrział na niego dziwnie.

- Jak mam go panu pokazać?

- Wywołać go na tym komputerze. - Benedetto odwrócił swój komputer klawiaturą do Andrew.

Chłopak przyjrzał się rubrykom formularza nad komputerem i wpisał swoje nazwisko, numer identyfikacji podatkowej, a potem prywatny numer identyfikacyjny. Benedetto ostentacyjnie odwrócił wzrok, choć jego program rejestrował każde wciśnięcie klawisza.

Kiedy chłopak odejdzie, Benedetto będzie miał pełen dostęp do jego akt i funduszy. Rzecz jasna po to, by mu pomagać przy płaceniu podatku.

Na ekranie zaczęła się przewijać lista.

- Co pan zrobił? - spytał Benedetto. Na dole monitora, pod przesuwającą się listą, pojawiły się słowa. Benedetto zrozumiał, że ta długa lista pojawiła się w odpowiedzi na jedno pytanie w formularzu. Odwrócił komputer do siebie. Znajdowały się na niej nazwiska i kody korporacji oraz towarzystw inwestycyjnych wraz z liczbą udziałów.

- Teraz rozumie pan mój problem - powiedział chłopak. Lista ciągnęła się w nieskończoność. Benedetto nacisnął kombinację kilku klawiszy. Lista się zatrzymała.

- Ma pan mnóstwo aktywów - rzekł łagodnie.

- Ale ja o tym nie wiedziałem. To znaczy orientowałem się, że powiernicy podzielili fundusz jakiś czas temu, ale nie miałem pojęcia, do jakiego stopnia. Kiedy znajdowałem się na planecie, po prostu pobierałem pieniądze, a ponieważ była to wolna od podatku pensja rządowa, nie musiałem się nad tym zastanawiać.

Może ta jego niewinna mina jednak nie była udawana.

Niechęć Benedetta trochę osłabła. Prawdę mówiąc, Benedetto poczuł pierwsze drgnienia gorącej sympatii. Ten chłopak zupełnie nieświadomie uczyni go bogaczem. Benedetto mógłby nawet odejść z pracy. Za same akcje ostatniej firmy na liście, Enzichel Vinicenze, która zainwestowała na Sorelledolce ogromny kapitał, Benedetto mógłby kupić wiejską posiadłość i do końca życia utrzymywać służbę. A lista zatrzymała się dopiero na literze E.

- Interesujące - powiedział Benedetto.

- A co pan powie na to: podczas ostatniego roku podróży skończyłem dwadzieścia lat. Do tego czasu moje zarobki były wolne od podatku i mam prawo z nich skorzystać, nie płacąc go. Proszę mi je wypłacić i dać mi parę tygodni, żebym mógł znaleźć eksperta i przeanalizować to wszystko, a wtedy przyniosę formularz podatkowy.

- Wspaniały pomysł - przyznał Benedetto. - Gdzie znajdują się te aktywa płynne?

- W Katalońskim Banku Dewizowym.

- Numer konta?

- Proszę mi tylko udostępnić fundusze zgromadzone na moje nazwisko. Nie potrzebuje pan numeru konta.

Benedetto nie nalegał. Nie musiał wydierać mu tych drobniaków, skoro może zagarnąć główną część majątku, zanim chłopak dotrze do biura doradcy podatkowego. Wpisał konieczne informacje i sporządził formularz. Dał także Andrew Wigginowi

trzydziestodniową przepustkę, pozwalającą mu na swobodne poruszanie się po Sorelledolce, pod warunkiem codziennego meldowania się w biurze podatkowym, przedstawienia wypełnionego formularza i zapłaty podatku przed upływem trzydziestu dni, a także obietnicy pozostania na planecie do czasu, gdy jego zeznanie podatkowe zostanie sprawdzone i zaakceptowane.

Standardowa procedura. Młodzieniec podziękował mu - ten moment Benedetto zawsze lubił: ci bogaci idioci dziękowali mu za to, że ich okłamał i obrabował - i wyszedł.

Kiedy tylko zniknął, Benedetto oczyścił ekran i uruchomił program szpiegowski, by znaleźć kod identyfikacyjny młodzieńca. Zaczekał dłuższą chwilę. Program się nie włączył. Benedetto wywołał listę czynnych programów, sprawdził listę ukrytą i odkrył, że nie ma na niej programu szpiegowskiego. Absurd. Przecież zawsze był włączony. Ale dziś nie. Prawdę mówiąc, w ogóle zniknął z pamięci komputera.

Benedetto zaczął szukać elektronicznego podpisu programu szpiegowskiego za pomocą swojej wersji zakazanego programu Predator i znalazł kilka jego tymczasowych plików. Żaden nie zawierał użytecznych informacji, a program szpiegowski zniknął bez śladu.

Co więcej, kiedy Benedetto zaczął szukać formularza Andrew Wiggina, jego także nie mógł znaleźć. Powinien tu być, wraz z nietkniętą listą aktywów, by Benedetto mógł ręcznie wykonać parę zabiegów na akcjach i funduszach - można je było ograbić na wiele sposobów, nawet bez hasła z programu szpiegowskiego. Ale formularz był pusty. Wszystkie nazwy firm znikły.

Co się stało? Jak to możliwe, że wszystko padło jednocześnie?

Nieważne. Lista była tak długa, że program musiał ją buforować. Predator to znajdzie.

Ale Predator przestał odpowiadać. Jego także nie było już w pamięci komputera. Przecież przed chwilą był! To niemożliwe. To chyba...

Jak ten chłopak mógł wprowadzić wirus do komputera, wchodząc tylko do informacji z formularza podatkowego? Czy wirus mógł tkwić w którejś nazwie firmy? Benedetto używał nielegalnego oprogramowania, ale nigdy nie słyszał o wirusie, który mógłby się przenosić przez nieotwarte pliki.

Ten Andrew Wiggin to chyba jakiś szpieg. Sorelledolce była jednym z ostatnich przyczółków walki z federacją Gwiezdnego Kongresu - to pewnie szpieg Kongresu, działający na szkodę niepodległości Sorelledolce.

Ale to także absurd. Szpieg przybyłby z przygotowanymi formularzami podatkowymi, zapłaciłby i poszedł w swoją stronę. Szpieg zrobiłby wszystko, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Na pewno można to jakoś wytłumaczyć. I Benedetto zamierzał to zrobić. Kimkolwiek jest ten Andrew Wiggin, Benedetto nie da się wyślizgać ze sprawiedliwie należącej się mu części majątku tego smarkacza. Długo czekał na taką gratkę, a to, że ten mały Wiggin ma jakiś cudaczny program zabezpieczający, nie oznacza jeszcze, że Benedetto nie zdoła położyć ręki na tym, co mu się należy.

Andrew szedł z Valentine przez port kosmiczny. Nadal był trochę zirytowany. Sorelledolce była jedną w nowszych kolonii, zaledwie stuletnią, ale jej status planety sprzymierzonej oznaczał, że przenoszono tu mnóstwo podejrzanych i nieuregulowanych interesów, co wiązało się z wieloma miejscami pracy, nowymi szansami oraz atmosferą młodego miasta, która sprawiała, że każdy krok był energiczny - a każdy przechodzień zdawał się oglądać przez ramię. Statki przybywały do portu pełne pasażerów, a opuszczały go wypchane towarami. Kolonia liczyła już prawie cztery miliony mieszkańców, a jej stolica Donnabella - okrążył milion.

Zabudowa stanowiła dziwaczną mieszankę drewnianych chat i plastikowych prefabrykatów. Ale nie można było odgadnąć wieku żadnego budynku - oba te materiały stosowano od samego początku. Miejscową roślinność stanowiły paprociowe dżungle, dlatego fauna - głównie beznogie jaszczurki - miała rozmiary dinozaurów. Osady ludzkie były jednak dość bezpieczne, a plony tak duże, że połowę ziem poświęcono na uprawy przeznaczone na eksport - legalne materiały włókiennicze i nielegalne używki. Nie wspominając już o handlu ogromnymi kolorowymi skórami węży, które wykorzystywano jako gobeliny i obicia sufitów we wszystkich światach pod panowaniem Gwiezdnego Kongresu. Wielu myśliwych wyruszało do dżungli i po miesiącu wracało z pięćdziesięcioma skórami; dzięki nim ci, którzy przeżyli wyprawę, mogli spędzić resztę życia w luksusie. Ale wielu myśliwych wyruszało, by nigdy nie powrócić. Jedyną pociechą, jak mawiali miejscowi żartownisie, było to, że dzięki różnicom w biochemii każdy wąż, który pożarł człowieka, przez tydzień miał biegunkę. Może nie była to wystarczająca zemsta, ale zawsze coś.

Bez przerwy budowano nowe mieszkania, ale nadal było ich za mało; Andrew i Valentine musieli szukać jakiegoś lokum przez cały dzień. Mężczyzna, od którego wynajęli pokój, niezwykle bogaty abisyński myśliwy, obiecał za parę dni wyruszyć na polowanie i prosił tylko, by przypilnowali jego rzeczy do czasu, aż wróci... albo nie.

- Skąd będziemy wiedzieć, że już nie wrócisz? - spytała, jak zawsze praktyczna, Valentine.

- Bo kobiety z libijskiej dzielnicy zaczną płakać - odparł.

Andrew w pierwszej kolejności wszedł do sieci z własnego komputera, by spokojnie przestudiować swój majątek. Valentine musiała spędzić kilka pierwszych dni na porządkowaniu ogromnej sterty korespondencji dotyczącej jej ostatniej książki oraz zwykłej porcji listów, które otrzymywała od historyków ze wszystkich zamieszkanego światów. Na większość odpowie później, ale czytanie samych pilnych wiadomości zajęło jej trzy dni. Oczywiście ludzie, którzy do niej pisali, nie mieli pojęcia, że korespondują z dwudziestopięcioletnią (wiek subiektywny) kobietą. Sądziła, że piszą do sławnego historyka Demostenesa. Rzecz jasna nikt ani przez chwilę nie wątpił, że to nazwisko jest pseudonimem; niektórzy dziennikarze w reakcji na pierwszą falę rozgłosu jej ostatniej książki, usiłowali zidentyfikować „prawdziwego Demostenesa”, analizując długie okresy nieśpiesznych odpowiedzi lub ich braku, kiedy Valentine była w podróży, a następnie przeglądając listy pasażerów. Wymagało to gigantycznych obliczeń, ale w końcu od czego są komputery, prawda? I tak kilku mężczyznom o różnych związkach ze światem nauki zarzucono bycie Demostenesem. Niektórzy wcale nie starali się zbyt usilnie zaprzeczać.

Wszystko to bezgranicznie bawiło Valentine. Dopóki honoraria za książki wpływały na właściwe konto i nikt nie próbował wydawać pod jej pseudonimem, nie interesowała się, kto przypisuje sobie jej dokonania. Od dzieciństwa podpisywała się pseudonimem i odpowiadała jej ta dziwna mieszanka sławy i anonimowości. Z obu to, co najlepsze, powiedziała Andrew.

Jej przypadła sława, jemu - niesława. Dlatego nie korzystał z żadnego pseudonimu - wszyscy zakładali, że jego imię jest strasliwym nietaktem ze strony rodziców. Żaden Wiggin nie powinien być tak bezczelny, by nadać swojemu dziecku imię Andrew - nie po Ksenocydzie! Było nie do pomyślenia, by ten dwudziestolatek mógł być tym Andrew Wigginem. Nikt nie mógł wiedzieć, że od trzystu lat razem z Valentine podróżuje od świata do świata, zatrzymując się tylko na tyle, by znaleźć następną historię i zebrała materiały, żeby na pokładzie następnego statku mogła napisać książkę. Dzięki efektowi relatywistycznemu podczas ostatnich trzystu lat czasu realnego stracili zaledwie dwa lata życia. Valentine dokładnie i przenikliwie - kto mógłby w to wątpić, czytając jej książki? - poznawała każdą kulturę, ale Andrew pozostawał turystą. Albo nawet i nie. Pomagał Valentine w badaniach, trochę uczył się języków, lecz prawie nikogo nie poznawał i wszędzie pozostawał obojętny. Ona chciała dowiedzieć się wszystkiego; on nikogo nie chciał pokochać.

Albo tak mu się zdawało, kiedy się nad tym zastanawiał. Był samotny, ale potem wmawiał sobie, że mu to odpowiada, że potrzebuje tylko towarzystwa Valentine, ona z kolei

potrzebowała czegoś więcej, ale miała wszystkich tych ludzi, których poznawała podczas badań, wszystkich tych, z którymi korespondowała.

Tuż po wojnie, kiedy Ender był jeszcze Enderem, dzieckiem, ci, z którymi służył, pisali do niego. Gdy jednak pierwszy z nich zaczął podróżować z prędkością światła, korespondencja po jakimś czasie się urwała, ponieważ kiedy dostawał list i odpisywał na niego, był o pięć, dziesięć lat młodszy od nich. On, ich przywódca, pozostał dzieckiem. Dokładnie takim, jakie znali, jakie podziwiali; ale w ich życiu upłynęły lata. Prawie wszyscy dali się wciągnąć w wojny, które podzieliły Ziemię dekadę po zwycięstwie nad robalami, dojrżeli w walce lub politycznych rozgrywkach. Zanim dostali odpowiedź Endera na swoje listy, zaczęli uważać minione dni za historię starożytną, inne życie. I oto usłyszeli głos z przeszłości, odpowiadający dziecku, które napisało list - ale tego dziecka już nie było. Niektórzy płakali, czytając, wspominając przyjaciela, rozpaczając, że tylko jemu nie pozwolono powrócić na Ziemię po zwycięstwie. Ale jak mieli mu odpowiedzieć? W jakim punkcie mogłyby się zetknąć ich drogi?

Później prawie wszyscy polecili do innych światów, podczas gdy mały Ender był zarządcą kolonii jednego z podbitych światów robali. W tym idyllicznym otoczeniu osiągnął dojrzałość, a kiedy był już gotowy, został skierowany na spotkanie z ostatnią ocalałą królową kopca, która opowiedziała mu swoją historię i błagała, żeby zabrał ją w bezpieczne miejsce, gdzie jej lud się odrodzi. Obiecał jej to. Pierwszym krokiem do uczynienia dla niej świata bezpiecznym było napisanie o niej książki „Królowa Kopca”. Wydał ją anonimowo - za radą Valentine. Podpisał się jako Mówca Umarłych.

Nie miał pojęcia, jak jego książka zostanie przyjęta, jak przekształci ludzkie spojrzenie na wojny z robalami. To właśnie ta książka zmieniła go z małego bohatera w małego potwora, ze zwycięzcy trzeciej wojny z robalami w Ksenobójcę, który zupełnie niepotrzebnie zgładził cały gatunek. Początkowo nikt nie czynił z niego demona. Ten proces zachodził stopniowo, krok po kroku. Najpierw wszyscy użalali się nad dzieckiem, którym manipulowano, wykorzystując jego geniusz do zgładzenia królowej kopca. Potem jego nazwiskiem określano każdego, kto popełnił coś potwornego, nie rozumiejąc, co czyni. A później „Ender Ksenobójca” stało się popularnym określeniem kogoś, kto popełnia jakąś potworność na ogromną skalę. Andrew rozumiał ten proces i nawet nie miał o to pretensji. I tak chyba sam siebie oskarżał najbardziej. Wiedział, że nie powiedziano mu prawdy, ale czuł, że powinien się jej domyślić, i nawet jeśli nie zamierzał zgładzić królowej kopca i całego gatunku za jednym zamachem, to jednak do tego doprowadził. Zrobił, co zrobił, i musiał wziąć za to odpowiedzialność.

Dlatego woził ze sobą kokon z królową kopca, suchy i starannie opakowany niczym rodzinny skarb. Jego dawny status wojskowy nadal łączył się z przywilejami i ułatwieniami przy odprawie celnej, dlatego nigdy nie sprawdzano jego bagażu. A przynajmniej nie sprawdzano go aż do dziś. Spotkanie z tym Benedettem od podatków stanowiło pierwszy znak, że dorosłość oznacza zmianę sytuacji.

Zmianę, ale nie całkowitą. Dotąd dźwigał ciężar zniszczenia całego gatunku. Teraz doszło do niego brzemień jego ocalenia, odnowienia. W jaki sposób dwudziestolatek, ledwie mężczyzna, miał znaleźć miejsce, w którym królowa kopca będzie mogła się wykluć, złożyć zapłodnione jaja, gdzie żaden człowiek jej nie znajdzie i nie przeszkodzi? Jak Ender mógłby ją chronić?

Być może dzięki pieniądзом. Sądząc po wytrzeszczu oczu Benedetta na widok majątku Andrew, może ich być całkiem sporo. A Andrew wiedział, że pieniądze można między innymi zmienić we władzę. Być może władzę ochrony królowej kopca.

Jeśli oczywiście zdoła się połapać, ile ma tych pieniędzy i jaki musi zapłacić podatek.

Wiedział, że do takich rzeczy są specjaliści. Prawnicy, księgowi, którzy się na tym znają. Ale znowu pomyślał o oczach Benedetta. Potrafił rozpoznać chciwość. Każdy, kto dowiedziałby się o nim i jego bogactwie, zapragnąłby zagarnąć jego część. Andrew wiedział, że te pieniądze nie należą do niego. Splamiła je krew, to była zapłata za zagładę robali; musiał je wykorzystać do uratowania gatunku, jeśli chciał je nazywać swoimi. Jak miał znaleźć kogoś, kto mógłby mu pomóc, nie otwierając drzwi szakalom?

Przedyskutował to z Valentine, która obiecała, że rozpyta się wśród mieszkających tu znajomych (gdyż dzięki korespondencji miała znajomych wszędzie), komu można zaufać. Odpowiedź nadeszła szybko: nikomu. Jeśli ma się wielką fortunę i szuka się kogoś, kto ją ochroni, nie znajdzie się go na Sorelledolce.

I tak dzień po dniu Andrew przez kilka godzin studiował prawo podatkowe, usiłował uporać się z własnym majątkiem i zanalizować go z punktu widzenia urzędu skarbowego. Było to ogłupiające zajęcie i zaczął podejrzewać, że przeoczył jakiś haczyk, jakiś trik, który powinien znać, żeby wszystko zaczęło grać. Język paragrafów, który wydawał się nieistotny, teraz nabrał ogromnego znaczenia. Andrew musiał cofnąć się o krok i przestudiować go, by zrozumieć, w jaki sposób tworzy wyjątek od reguły, która - jak mu się wydawało - stosuje się do niego. Jednocześnie istniały pewne wyjątki, mające zastosowanie jedynie w szczególnych sytuacjach i czasami tylko do jednej firmy, lecz niemal z reguły Andrew miał udziały właśnie w tej firmie albo w fundacji, do której firma należała. Ustalenie, co właściwie do niego należy, było zadaniem nie na miesiąc, lecz na całe życie. Przez czterysta lat można

zgromadzić ogromny majątek, zwłaszcza jeśli nie ma się prawie żadnych wydatków. Co roku niewykorzystane środki inwestowano w nowe przedsięwzięcie. Wyglądało na to, że Andrew, nawet o tym nie wiedząc, miał udziały we wszystkim na świecie.

Wcale tego nie chciał. Im lepiej to rozumiał, tym mniej o to dbał. Doszedł do punktu, w którym zaczął się zastanawiać, dlaczego doradcy podatkowi nie popełniają masowo samobójstw.

Wówczas znalazł w e-mailu reklamę. Nie powinien jej dostać - międzygwiazdni podróżnicy znajdowali się automatycznie poza zasięgiem reklamodawców, ponieważ w trakcie podróży nie mogli skorzystać z ofert, a po wylądowaniu nagromadzone stare reklamy mogłyby ich przytłoczyć. Andrew zakończył już podróż, ale pieniądze wydał tylko na wynajęcie pokoju i jedzenie. Żadna z tych inwestycji nie zainteresowałaby żadnego reklamodawcy.

A jednak proszę: Najlepsze oprogramowanie finansowe! Rozwiązanie, którego szukasz!

Całkiem jak horoskopy - parę strzałów na ślepo i któryś musi trafić w cel. Andrew z całą pewnością potrzebował pomocy w finansach i na pewno nie znalazł jeszcze rozwiązania. Toteż zamiast wykasować odpowiedź, otworzył ją i przyjrzał się niewielkiej trójwymiarowej prezentacji.

Widział parę reklam, które wyskoczyły w komputerze Valentine - jej korespondencja była tak obszerna, że zawsze przyszła jakaś reklama na adres Demostenesa. Były pełne teatralnych chwytów, fajerwerków i olśniewających efektów specjalnych - rozdzierające serce dramaty, mające sprzedać wszystko, co przeznaczono do sprzedania.

Ale ta była prosta. W okienku pojawiła się kobieca głowa, ale odwrócona od niego. Rozejrzała się dokoła, wreszcie spojrzała przez ramię i „dostrzegła” Andrew.

- A, tu jesteś - powiedziała.

Andrew milczał, czekając, co będzie dalej.

- No, nie odpowiesz? - spytała.

Dobry program, pomyślał. Ale to dość ryzykowne: zakładać, że wszyscy odbiorcy powstrzymają się od odpowiedzi.

- Rozumiem - kontynuowała głowa. - Myślisz, że jestem zwykłym programem. Nieprawda. Jestem przyjaciółką i doradcą finansowym, którego sobie życzyłeś, ale nie pracuję dla pieniędzy, pracuję dla ciebie. Musisz ze mną porozmawiać, żebym zrozumiała, co chcesz zrobić ze swoimi pieniędzmi, co chcesz dzięki nim osiągnąć. Muszę usłyszeć twój głos.

Ale Andrew nie miał ochoty na zabawę z programami komputerowymi. Nie przepadał też za teatrem interaktywnym. Valentine zawlokła go na parę przedstawień, na których aktorzy usiłowali wciągać widzów do uczestniczenia w sztuce. Jeden magik próbował wykorzystać go w numerze, wyciągał mu z uszu, włosów i kieszeni różne przedmioty, ale Andrew siedział z kamienną twarzą, bez ruchu i nie zdradzał, że w ogóle rozumie, co się dzieje, aż w końcu magik pojął aluzję i zajął się kim innym. Nie zrobił tego dla istoty ludzkiej, dlatego z pewnością nie zrobi wyjątku dla programu. Wcisnął klawisz „page”, żeby ominąć wstęp w postaci gadającej głowy.

- Auu - odezwała się kobieta. - Co to miało być, chcesz się mnie pozbyć?

- Tak - odparł i zaklął, bo dał się nabrać. Ta symulacja była tak zmyślnie prawdziwa, że w końcu zmusiła go do odruchowej odpowiedzi.

- Twoje szczęście, że sam nie masz klawisza „page”. Ty wiesz, jak to boli? Nie wspominając już, że to upokarzające.

Skoro już raz się odezwał, mógł dać sobie spokój i korzystać z narzuconej formy komunikacji z programem.

- Dobrze, jak mam się ciebie pozbyć z ekranu, żeby wrócić do tych moich kamieniołomów? - spytał. Umyślnie wymawiał słowa płynnie i trochę niewyraźnie, wiedząc, że nawet najbardziej zaawansowane programy identyfikacji mowy wysiadają, gdy w grę wchodzi akcenty, brak dykcji i idiomy.

- Masz udział w dwóch kamieniołomach - udzieliła informacji kobieta. - Ale to chybione inwestycje. Musisz się ich pozbyć.

Zirytowała go.

- Nie dałem ci pozwolenia na wgląd w żaden z plików - powiedział. - Nawet jeszcze nie kupiłem tego programu. Nie chcę, żebyś czytała moje dokumenty. Jak mam cię wyłączyć?

- Ale jeśli zlikwidujesz kamieniołomy, z zysków będzie można zapłacić podatek. To niemal dokładnie tyle, co należność za ten rok.

- Mówisz, że już obliczyłaś moje podatki?

- Wylądowałeś na planecie Sorelledolce, gdzie podatki są nieprawdopodobnie wysokie. Ale wykorzystując wszystkie przysługujące ci ulgi, w tym tę dla garstki żyjących jeszcze weteranów Ksenocydu, zdołałam ograniczyć kwotę do niespełna pięciu milionów.

Andrew parsknął śmiechem.

- Cudownie. Nawet najbardziej pesymistyczne obliczenia nie przekraczają miliona pięćset.

Teraz to kobieta zaczęła się śmiać.

- Wyszło ci półtora miliona w kosmokredytach. Z moich obliczeń wychodzi niespełna pięć milionów firenzett.

Andrew przeliczył kwotę na miejscową walutę i jego uśmiech zbladł.

- To siedem tysięcy kosmnokredytów.

- Siedem tysięcy czterysta dziesięć - uzupełniła kobieta. - Czy jestem zatrudniona?

- W żaden legalny sposób nie zdołasz mi umożliwić zapłacenia takiego podatku.

- Wprost przeciwnie, panie Wiggin. Prawo podatkowe jest skonstruowane tak, żeby ludzie płacili więcej, niż muszą. W ten sposób dobrze poinformowani bogacze mogą korzystać z poważnych ulg podatkowych, a ci, co nie mają znajomości i jeszcze nie znaleźli księgowego, który je ma, muszą płacić idiotycznie zawyżone sumy. Ale ja znam wszystkie sztuczki.

- Wspaniała prezentacja. Bardzo przekonująca. Z wyjątkiem tego momentu, kiedy zjawia się policja, żeby mnie aresztować.

- Tak ci się wydaje?

- Jeśli zmuszasz mnie do stosowania werbalnego interfejsu, mów mi po imieniu.

- Andrew?

- Doskonale.

- A ty musisz nazywać mnie Jane.

- Muszę?

- Bo inaczej będę do ciebie mówić „Ender”.

Andrew zamarł. W jego plikach nie było nic, co by sugerowało to dziecinne przezwisko.

- Usuń ten program i natychmiast znikaj z mojego komputera - rzucił.

- Jak sobie życzysz - powiedziała.

Jej głowa znikła z ekranu.

I dobrze, pomyślał. Gdyby przedstawił Benedecie formularz podatkowy z tak niską sumą, w żaden sposób nie uniknęłyby kontroli, a miał przeczucie, że Benedetto zagarnęłyby sporą część jego majątku. Andrew nie miał nic przeciwko przedsiębiorczości, ale coś mu mówiło, że Benedetto nie zna umiaru. Nie ma potrzeby go drażnić.

Ale gdy pracował, stopniowo zaczął żałować, że się tak pośpieszył. Ten program Jane mógł wyciągnąć imię Ender ze swojej bazy danych jako zdrobnienie od Andrew. Może to i dziwne, że użyła go przed bardziej oczywistymi wersjami jak Drew czy Andy, ale paranoją byłoby przypuszczać, że program, przesłany mu e-mailem - bez wątplenia handlowa próbka znacznie większego oprogramowania - mógł tak szybko rozpoznać w nim prawdziwego

Andrew Wiggina. Po prostu mówił i robił to, co zaprogramowano. Może wybranie najmniej prawdopodobnego zdrobnienia miało sprowokować klienta do podania prawdziwego przydomku, co oznaczałoby ciche przyzwolenie na używanie go - kolejny krok ku decyzji zakupu.

A może ten bardzo, bardzo niski podatek był właściwy? Albo może zdołałby zmusić program do podania rozsądniejszej kwoty? A może, jeśli program napisał ktoś kompetentny, jest to dokładnie taki doradca finansowy i inwestycyjny, jakiego mu potrzeba? Z pewnością szybko znalazła te dwa kamieniołomy. A ich cena, o czym się przekonał, likwidując je, była dokładnie taka, jaką podała.

Jaką podał. Program. Ta niby-ludzka twarz stanowiła dobry sposób, by spersonalizować program i zmusić do uważania go za osobę. Program można wyłączyć, ale niegrzecznie jest wypędzać człowieka.

Ale na niego to nie działało. On go odesłał. I zrobi to znowu, jeśli tak mu się spodoba. Ale na razie, kiedy do terminu zapłaty podatku zostały tylko dwa tygodnie, mógłby się ostatecznie pogodzić z drażniącą obecnością wścibskiej wirtualnej kobiety. Może dalby radę tak przekonfigurować program, żeby komunikował się z nim tylko na piśmie. Tak byłoby lepiej.

Otworzył e-mail i przywołał reklamę. Ale tym razem pojawiła się tylko standardowa wiadomość: „Plik niedostępny”.

Andrew przeklął swoją głupotę. Nie miał pojęcia, z jakiej planety pochodził program. Utrzymanie łącza poprzez ansibl było kosztowne. Kiedy zamknął program demo, połączenie zostało przerwane - nie ma sensu marnować cennego międzygwiazdowego połączenia na klienta, który nie zdecydował się natychmiast na kupno. No cóż. Teraz już nic się nie da zrobić.

Okazało się, że prześledzenie losów tego typu, żeby sprawdzić, z kim pracował, zajmie Benedecie mnóstwo czasu. Nie było łatwe śledzenie go tak od podróży do podróży. Wszystkie te loty należały do kategorii specjalnej, zastrzeżonej - kolejny dowód na to, że Wiggina pracował dla jakiejś agencji rządowej - a poprzedni lot Benedetto zdołał znaleźć wyłącznie przez przypadek. Ale wkrótce uświadomił sobie, że pójdzie mu znacznie łatwiej, jeśli będzie śledzić jego kochankę, siostrę, sekretarkę czy kim tam była ta Valentine.

Zdziwiło go, jak krótko zatrzymywali się w jednym miejscu. Po paru podróżach Benedetto cofnął się o trzysta lat, do samych początków ery kolonizatorskiej i po raz pierwszy zaświtało mu, że nie jest wykluczone, iż ten Andrew Wiggina jest tym słynnym...

Nie, nie. Jeszcze nie mógł w to uwierzyć. Ale jeśli to prawda, jeśli to naprawdę ten zbrodniarz wojenny, który...

Szantaż dałby oszałamiające efekty.

Jak to możliwe, że nikt dotąd nie przeprowadził tych łatwych badań życiorysu Andrew i Valentine Wigginów? A może już opłacali się szantażystom z kilku światów?

A może wszyscy szantażyści już nie żyją? Benedetto będzie musiał bardzo uważać. Ludzie z taką fortuną zawsze mają przyjaciół na wysokich stanowiskach. Benedetto będzie musiał znaleźć własnych obrońców, jeśli zamierza zrealizować ten nowy plan.

Valentine pokazała to Andrew jako ciekawostkę.

- Już o tym słyszałam, ale pierwszy raz znaleźliśmy się tak blisko, żeby to zobaczyć na własne oczy.

Było to ogłoszenie w lokalnych wiadomościach internetowych o „przemawianiu” za umarłego.

Andrew nigdy nie był zadowolony z tego, że jego pseudonim „Mówca Umarłych” został podchwycony i zmieniony w quasi-duchowny tytuł nowej religii prawdy. Nie miała ona żadnej doktryny, toteż wyznawcy niemal każdej wiary mogli zaprosić mówcę umarłych do uczestniczenia w pogrzebie lub też wyprawić osobną uroczystość, czasami długo po tym, jak ciało zostało pochowane lub spalone.

Jednak przemówień w imieniu umarłych nie zainspirowała „Królowa Kopca”. To druga książka Andrew, „Hegemon”, przyczyniła się do powstania nowego zwyczaju pogrzebowego. Brat Andrew i Valentine, Peter, został Hegemonem po wojnie domowej i za pomocą sprytniej dyplomacji i brutalnej siły zjednoczył całą Ziemię pod panowaniem jednego rządu. Okazał się oświeconym despotą. Ustanowił instytucje, które w przyszłości miały się dzielić władzę; pod jego panowaniem zaczęto się poważnie zajmować kolonizacją innych planet. Ale Peter od dziecka był okrutny i pozbawiony współczucia; Andrew i Valentine bali się go. To Peter nie dopuścił do powrotu Andrew na Ziemię po zwycięskim zakończeniu trzeciej wojny z robalami. Andrew musiałby się bardzo starać, żeby nie czuć do niego nienawiści.

Dlatego napisał „Hegemona” - by dowiedzieć się prawdy o człowieku stojącym za intrygami, masakrami i okropnymi wspomnieniami z dzieciństwa. W rezultacie powstała okrutnie sprawiedliwa biografia, analizująca postępowanie i charakter człowieka i niczego nieukrywająca. Ponieważ książkę podpisał tym samym pseudonimem co „Królową Kopca”, która już zdążyła zmienić opinię na temat robali, obudziła wielkie zainteresowanie i w końcu

przyczyniła się do pojawienia się tych mówców umarłych, którzy starali się przemawiać równie prawdziwie na pogrzebach wielkich, jak maluczkich. Mówili o śmierci bohaterów i gigantów, wyraźnie podkreślając cenę, którą oni i inni zapłacili za swój sukces: o śmierci alkoholików czy okrutników, którzy zrujnowali życie swoim rodzinom; mówcy umarłych starali się jednak ukazać zza nałogu istotę ludzką, lecz nigdy nie szczędzili prawdy o szkodach, które spowodowała ta słabość. Andrew przywykł do myśli, że wszystko to dokonuje się w imieniu Mówcy Umarłych, ale nigdy nie był na takiej uroczystości i tak jak przewidziała Valentine, chętnie skorzystał z nadarzającej się okazji, choć brakowało mu czasu.

Nie wiedzieli nic o zmarłym, choć fakt, że przemówienie zasłużyło tylko na drobną wzmiankę, sugerował, że nie był to nikt znany. Uroczystość miała się odbyć w małej hotelowej świetlicy; zjawilo się tylko kilkadziesiąt osób. Nie było trumny - najwyraźniej pogrzeb już się odbył. Andrew usiłował odgadnąć, kim są zebrani. Czy to wdowa? A tamta to córka? A może starsza jest matką, a młodsza wdową? Czy to synowie? Przyjaciele? Wspólnicy?

Mówca był ubrany zwyczajnie. Nie puszył się. Stał przed zebranymi i zaczął z prostotą opowiadać o życiu zmarłego. Nie była to biografia - na szczegóły zabrakłoby czasu. Raczej przytaczał ważne uczynki zmarłego, oceniając ich znaczenie nie według sensacyjności, lecz ze względu na głębię i zasięg wpływu, jakie miały na życie innych. Dlatego informacja, że zmarły zbudował dom, na który nie mógł sobie pozwolić, w dzielnicy ludzi żyjących na znacznie wyższym poziomie, nigdy nie znalazłaby się w internetowych dziennikach, lecz dodawała kolorów życiu jego dzieci, które dorastały, codziennie stawiając czoło pogardzającym nimi sąsiadom. Wypełniła też jego życie ciągłą troską o pieniądze. Zpracował się na śmierć, by móc opłacić dom. Zrobił to „dla dzieci”, choć one wołałyby dorastać wśród ludzi, którzy nie pogardzaliby ich niedostatkiem i pragnieniem awansu społecznego. Jego żona była osamotniona, gdyż nie mogła znaleźć koleżanek, i nie minął dzień od jego śmierci, a wystawiła dom na sprzedaż. Już zdążyła się wyprowadzić.

Ale mówca nie poprzestał na tym. Zaczął wykazywać, że obsesja zmarłego na punkcie domu i dzielnicy wynikała z nieustannych utyskiwań jego matki, której mąż nie zdołał zapewnić pięknego domu. Stale mówiła o tym, że popełniła błąd, wychodząc za kogoś z innej sfery. I tak zmarły dorastał w obsesyjnym przekonaniu, że bez względu na koszty mężczyzna musi zapewnić rodzinie to, co najlepsze. Nienawidził swojej matki - uciekł z domu i przybył na Sorelledolce głównie dlatego, żeby się od niej uwolnić - ale jej spaczne wartości opętały

go i skrzywiły życie jego i dzieci. W rezultacie narzekanie na męża zabiło jej syna, bo doprowadziło do wyczerpania i zawału, które powaliły go przed pięćdziesiątką.

Andrew zrozumiał, że wdowa i dzieci nie znali babki, która mieszkała na rodzinnej planecie ojca, i nie odgadliby przyczyny jego obsesji na tle dobrego domu w dobrej dzielnicy. Teraz, ujrawszy scenariusz wypadków, który narzucono mu w dzieciństwie, wybuchnęli płaczem. Najwyraźniej poczuli, że mają prawo spojrzeć w twarz swoim pretensjom, a jednocześnie przebaczyć ojcu ból, który im sprawił. Teraz to wszystko nabrało w ich oczach sensu.

Przemówienie dobiegło końca. Krewni uścisnęli mówcę i siebie nawzajem. Potem mówca odszedł.

Andrew pośpieszył za nim. Na ulicy chwycił go za ramię.

- Przepraszam - powiedział - jak pan został mówcą?

Mężczyzna spojrzał na niego dziwnie.

- Przemówilem.

- Ale jak się pan przygotowywał?

- Po raz pierwszy mówiłem o śmierci mojego dziadka. Nawet nie czytałem „Królowej Kopca” i „Hegemona”. - Obecnie z zasady sprzedawano je w jednym tomie. - Ale kiedy skończyłem, ludzie powiedzieli, że mam talent do przemawiania w imieniu umarłych. Wtedy w końcu przeczytałem te książki i zrozumiałem, jak to się powinno robić. Dlatego kiedy proszą mnie, żebym przemówił, wiem, ile badań muszę zrobić. Nawet dziś nie mam wrażenia, że robię to jak należy.

- Czyli żeby być mówcą umarłych, trzeba po prostu...

- Przemówić. I dostać zaproszenie na następną uroczystość. - Mężczyzna uśmiechnął się. - Na tym nie da się zarobić, jeśli o to chodzi.

- Nie, nie - rzucił Andrew. - Ja... ja tylko chciałem się dowiedzieć, jak to się robi, to wszystko. - Ten mężczyzna, sporo po pięćdziesiątce, pewnie nie uwierzyłby, że autor „Królowej Kopca” i „Hegemona” stanął przed nim we własnej osobie, choć miał tylko dwadzieścia lat.

- Jeśli to pana zastanawia - dodał mówca umarłych - nie jesteśmy duchownymi. Nie oznaczamy swojego terenu i nie mamy pretensji, jeśli ktoś na niego wejdzie.

- Tak?

- Dlatego jeśli chce pan zostać mówcą umarłych, mogę tylko życzyć powodzenia. Tylko nie wolno sobie odpuszczać. Pan zmienia cudzą przeszłość, jeśli więc nie zamierza pan

dać z siebie wszystkiego i zrobić tego jak należy, dowiedzieć się wszystkiego, narobi pan tylko szkód, a wtedy lepiej w ogóle nie zaczynać. Tego nie można robić na pół gwizdka.

- Nie, chyba nie.

- No właśnie. Właśnie ukończył pan kurs na mówcę umarłych. Mam nadzieję, że nie chce pan certyfikatu. - Mężczyzna uśmiechnął się. - Nie zawsze jesteśmy tak doceniani jak dziś. Czasami mówi się, bo zmarły zażyczył sobie tego w testamencie. Rodzina tego nie chce, słuchają ze zgrozą, i nigdy nie wybaczą. Ale... i tak trzeba przemówić, bo zmarły pragnął, by powiedziano prawdę.

- Skąd pan wie, że dowiedział się pan prawdy?

- Tego nigdy nie wiadomo. Trzeba się starać. - Poklepał Andrew po plecach. - Chciałbym porozmawiać dłużej, ale muszę zadzwonić w kilka miejsc, zanim wszyscy pójdą do domu. Jestem księgowym żyjących - to moje etatowe zajęcie.

- Księgowy? - podchwycił Andrew. - Wiem, pan jest zajęty, ale czy mogę spytać o pewien program dla księgowych? Gadająca głowa, na ekranie pojawia się kobieta, nazywa się Jane.

- Pierwsze słyszę, ale przestrzeń kosmiczna jest spora. Nie ma szans, żebym wiedział o każdym programie, którego sam nie używam. Przepraszam.

I po tych słowach odszedł.

Andrew wrzucił w przeglądarkę słowo „Jane”, dodając hasła „inwestycje”, „finanse”, „księgowość” i „podatki”. Otrzymał siedem adresów, ale wszystkie dotyczyły jakiejś pisarki z planety Albion, która sto lat temu wydała książkę o międzyplanetarnym prawie spadkowym. Być może ta Jane z programu została nazwana na jej cześć. Albo nie. Nie zbliżyło go to ani na krok do kupna programu.

Jednak po pięciu minutach od zakończenia poszukiwań na ekranie jego komputera pojawiła się znajoma głowa.

- Dzień dobry, Andrew - powiedziała. - Ups! Przecież to wczesny wieczór, co? Tak trudno się połączyć w miejscowym czasie we wszystkich światach.

- Co ty tu robisz? - spytał. - Usiłowałem cię znaleźć, ale nie znam nazwy programu.

- Naprawdę? To zaprogramowana druga wizyta, na wypadek gdybyś zmienił zdanie. Jeśli chcesz, mogę się odinstalować z twojego komputera albo przeprowadzić częściową lub pełną instalację, zależnie od twoich potrzeb.

- Ile kosztuje taka instalacja?

- Stać cię na mnie. Jestem tania, a ty bogaty.

Ta symulacja poufałości niezbyt mu się spodobała.

- Oczekuję prostej odpowiedzi - powiedział. - Ile będzie mnie kosztować twoja instalacja?

- Odpowiedziałam. Cena zależy od stanu twoich finansów i tego, ile zdołam dla ciebie osiągnąć. Jeśli zainstalujesz mnie tylko po to, żebym pomogła ci w podatkach, płacisz mi jeden promil sumy, którą dla ciebie zaoszczędzę.

- A gdybym ci kazał zapłacić więcej, niż według ciebie wynosi minimalna stawka?

- Wtedy mniej dla ciebie oszczędzę i będę cię mniej kosztować. Żadnych ukrytych kosztów. Żadnych oszustw. Ale kiepsko na tym wyjdiesz, jeśli zainstalujesz mnie tylko ze względu na podatki. Jest tu tyle pieniędzy, że będziesz musiał poświęcić całe życie na zarządzanie nimi, chyba że zlecisz to mnie.

- To akurat mnie nie obchodzi. Jakiemu „mnie”?

- Mnie. Jane. Programowi zainstalowanemu w twoim komputerze. Rozumiem, martwisz się, że jestem połączona z jakąś główną bazą danych, która za dużo dowie się o twoich finansach. Nie, moja instalacja w twoim komputerze nie spowoduje przecieku informacji. Nie ma żadnego pokoju pełnego informatyków, którzy chcą położyć ręce na twojej fortunie. Natomiast zyskasz odpowiednik zatrudnionego na pełen etat maklera, prawnika oraz analityka inwestycyjnego, który będzie zarządzać pieniędzmi. Możesz w każdej chwili poprosić o wykaz swoich finansów - i dostaniesz go w ułamku chwili. Jeśli zechcesz coś kupić, daj mi znać, a znajdę ci najlepszą cenę w wygodnej lokalizacji, zapłacę i każę dostarczyć pod wskazany adres. Jeśli zdecydujesz się na pełną instalację, wraz z analitykiem i planistą, stanę się twoim nieodłącznym towarzyszem.

Andrew wyobraził sobie, jak ta kobieta gada do niego dniem i nocą, i pokręcił głową.

- Dzięki, ale nie.

- Dlaczego? Mam zbyt szczebiotliwy głos? - spytała. I dodała w niższym rejestrze, z nieznaczną chrypką: - Mogę zmienić głos tak, żeby ci odpowiadał. - Jej głowa nagle zmieniła się w męską. Baryton z ledwie wyczuwalną nutką zniewieścienia oznajmił: - Mogę też być mężczyzną, o dowolnym stopniu męskości. - Twarz znowu się zmieniła, stała się surowsza, a głos zmienił się w sznapsbaryton. - A to wersja „łowca niedźwiedzi”, na wypadek gdybyś powątpiewał w swoją męskość i szukał rekompensaty.

Andrew roześmiał się mimo woli. Kto napisał ten program? Dowcip, potoczystość języka - wszystko prześcigało najlepsze znane mu oprogramowania. Sztuczna inteligencja nadal pozostawała w sferze pobożnych życzeń; bez względu na poziom symulacji zawsze po paru chwilach wiedziało się, że to tylko program. Ale ta symulacja była o wiele lepsza,

zupełnie jak przyjemny towarzysz. Andrew mógłby ją kupić tylko po to, żeby sprawdzić, jak głęboko sięga, jak wytrzyma próbę czasu. A ponieważ był to właśnie taki program, jakiego mu było potrzeba, postanowił zaryzykować.

- Poproszę o codzienny wykaz honorariów, które mam zapłacić za twoje usługi - powiedział. - Dzięki temu będę mógł cię wyrzucić, jeśli staniesz się zbyt kosztowna.

- Tylko pamiętaj, żadnych napiwków - powiedział mężczyzna.

- Wróć do pierwszej wersji. Jane. I do domyślnego głosu.

Na ekranie znowu pojawiła się głowa kobiety.

- Nie chcesz seksowniejszego głosu?

- Dam ci znać, jak poczuć się aż tak samotnie.

- A jeśli ja się poczuję? O tym nie pomyślałeś?

- Nie, nie chcę żadnych flirtów. Zakładam, że potrafisz to wyłączyć.

- Już wyłączyłam.

- Więc przygotuj moje formularze podatkowe. - Andrew oparł się wygodnie, spodziewając się, że będzie musiał parę minut poczekać. Tymczasem na ekranie pojawił się wypełniony formularz. Twarz Jane znikła, lecz jej głos pozostał.

- Oto najważniejsze. Daję słowo, że wszystko jest całkowicie legalne, a on nie może cię ruszyć. Tak jest sformułowane prawo. Jest zaprojektowane, żeby chronić fortuny bogaczy takich jak ty, a główny ciężar podatków przerzucać na ludzi z dużo biedniejszych grup. To twój brat Peter je stworzył; nigdy go nie zmieniono, z wyjątkiem paru kosmetycznych poprawek.

Oszołomiony Andrew przez chwilę siedział w milczeniu.

- A, miałam udawać, że nie wiem, kim jesteś?

- Kto jeszcze wie?

- Nie jest to szczególnie chroniona informacja. Każdy może się domyślić na podstawie twoich podróży. Chcesz, żebym otoczyła twoją tożsamość ochroną?

- Ile to będzie kosztować?

- To element pełnej instalacji. - Twarz Jane znowu się pojawiła. - Zaprojektowano mnie tak, żebym potrafiła walczyć z prawnikami i ukrywać informacje. Oczywiście zawsze w granicach prawa. Z tobą pójdzie wyjątkowo łatwo, ponieważ Flota nadal uznaje wiele wydarzeń z twojej przeszłości za ściśle tajne. Bardzo łatwo jest wciągnąć niektóre informacje - takie jak twoje rozmaite podróże - na listę tajemnic Floty; wówczas twojej przeszłości będzie bronić cała machina wojskowa. Jeśli ktoś naruszy tajemnicę, Flota dobierze mu się do skóry - nawet jeśli nie będzie wiedzieć, kogo właściwie chroni. To u nich taki odruch.

- Potrafiłabyś to zrobić?

- Właśnie zrobiłam. Przepadły wszystkie dowody, które mogłyby cię zdradzić. Znikły.

Puf. Ja się naprawdę nieźle znam na swoim fachu.

Przez głowę Andrew przemknęła myśl, że ten program umie nawet za dużo. Coś takiego nie mogło być zgodne z prawem.

- Kto cię napisał? - spytał.

- Podejrzliwość, hm? - zgadła. - Ty.

- Pamiętałbym - powiedział cierpko.

- Kiedy po raz pierwszy się zainstalowałam, dokonałam rutynowej analizy. Ale mój program ma w zwyczaju dokonywanie automodyfikacji. Zrozumiałam, czego potrzebujesz, i zaprogramowałam się tak, żeby móc to zrobić.

- Żaden automodyfikujący się program nie jest tak dobry.

- Nie był do dziś.

- Słyszałbym o tobie.

- Nie chcę, żeby ktoś o mnie słyszał. Gdyby wszyscy mogli mnie kupić, nie byłabym nawet w połowie tak skuteczna. Moje nowe instalacje nawzajem by się kasowały. Jedna moja wersja chciałaby zdobyć informacje, które usiłowałaby ukryć druga. Nieefektywne.

- Ile osób zainstalowało twoją wersję?

- W tej konkretnej konfiguracji, którą kupuje szanowny pan? Jest pan jedyny.

- Jak mógłbym ci zaufać?

- Potrzebuję tylko czasu.

- Kiedy ci kazałem odejść, nie posłuchałaś, prawda? Wróciłaś, bo zorientowałaś się, że cię szukam.

- Kazałeś mi się zamknąć. Posłuchałam. Nie wspomniałeś, że mam się odinstalować albo nigdy się już nie uruchamiać.

- Bezczelność też ci wprogramowali?

- Tę cechę wykształciłam sama - oznajmiła. - Podoba ci się?

Andrew siedział po drugiej stronie biurka. Benedetto wywołał przedłożony formularz, przez jakiś czas ostentacyjnie go studiował na ekranie komputera, po czym ze smutkiem pokręcił głową.

- Nie spodziewa się pan chyba, że uznam tę kwotę za właściwą.

- Ta deklaracja jest całkowicie zgodna z prawem. Może ją pan badać, ile dusza zapagnie, ale jest tu pełna dokumentacja wraz z załączonymi obowiązującymi paragrafami i precedensami.

- Zdaje się - oznajmił Benedetto - że jednak da się pan przekonać do niestosowności tej kwoty... Enderze Wiggin.

Młodzieniec spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Andrew - powiedział.

- Nie sądzę. Wiele pan podróżował. Z prędkością światła. Uciekał pan przed własną przeszłością. W wiadomościach internetowych byliby zachwyceni, gdyby się dowiedzieli, że na naszą planetę zawitała taka znakomitość. Ender Ksenobójca.

- W wiadomościach internetowych z reguły lubią, kiedy tak niebywałe informacje są poparte dokumentami - zauważył Andrew.

Benedetto uśmiechnął się blado i wywołał plik dotyczący podróży Andrew.

Był pusty, jeśli nie liczyć ostatniej.

Benedetto zbladł. Władza w rękach bogaczy! Ten chłopak jakimś cudem zdołał wejść do jego komputera i ukraść z niego informacje.

- Jak to zrobiłeś? - rzucił.

- Co? - spytał Andrew.

- Jak wyczyściłeś mój plik?

- Ten plik nie jest pusty.

Serce Benedetta łomotało, a myśli galopowały, postanowił jednak nic po sobie nie dać znać.

- Widzę, że się pomyliłem - powiedział. - Pański formularz podatkowy został zaaprobowany bez poprawek. - Wpisał kilka kodów. - W izbie celnej odbierze pan swój dowód, ważny przez rok na terenie Sorelledolce. Bardzo panu dziękuję.

- A tamta druga sprawa...

- Miłego dnia. - Benedetto zamknął plik i zajął się innymi dokumentami. Andrew zrozumiał aluzję, wstał i wyszedł.

Ledwie wyszedł, Benedetto zatrzęsł się z wściekłości. Jak to się stało? Jeszcze nigdy w życiu nie trafiła mu się taka okazja - i wymknęła mu się z rąk!

Chciał odtworzyć poszukiwania, dzięki którym odkrył prawdziwą tożsamość Andrew, ale obecnie wszystkie pliki były objęte klauzulą tajemnicy państwowej i po trzeciej próbie otworzenia pojawiło się ostrzeżenie Agencji Ochrony Floty, że jeśli nadal będzie się upierał przy włamaniu do ściśle tajnych informacji, zainteresuje się nim kontrwywiad wojskowy.

Benedetto zgrzytnął zębami, oczyścił ekran i zaczął pisać. Drobiazgowo opisał, jak nabrał podejrzeń co do tego Andrew Wiggina i postanowił odkryć jego prawdziwą tożsamość. Jak się dowiedział, że Wiggina to słynny Ender Ksenobójca, ale wtedy ktoś włamał się do jego komputera i pliki znikły. Choć co bardziej szacowne dzienniki internetowe bez wątpienia nie zgodzą się opublikować jego artykułu, brukowce się na niego rzucą. Ten zbrodniarz wojenny nie może się wymknąć tylko dlatego, że ma pieniądze i znajomości, dzięki którym podszywa się pod przyzwoitych ludzi.

Skończył artykuł, zapisał go. Potem zaczął szukać i sprawdzać adresy wszystkich większych brukowców, miejscowych i pozaplanetarnych.

Drgnął nerwowo, bo tekst zniknął z ekranu, a na jego miejsce pojawiła się twarz kobiety.

- Masz dwie możliwości - powiedziała. - Możesz usunąć wszystkie kopie dokumentu, który właśnie napisałeś, i nikomu go nie wysłać.

- Kim jesteś? - spytał Benedetto.

- Możesz mnie uważać za doradcę inwestycyjnego. Dam ci dobrą radę, jak masz się przygotować na przyszłość. Nie chcesz wiedzieć, jaka jest druga możliwość?

- Od ciebie nie chcę niczego.

- Sporo ominąłeś w tym artykule. Wydaje mi się, że byłby dużo ciekawszy ze wszystkimi istotnymi szczegółami.

- Mnie też się tak wydaje, ale pan Ksenobójca wszystko to usunął.

- To nie on. To jego przyjaciele.

- Nikt nie powinien stać ponad prawem - oznajmił Benedetto - tylko dlatego, że ma pieniądze. Albo znajomości.

- Albo nic nie mów - poradziła kobieta - albo powiedz wszystko. Oto te dwie możliwości.

W odpowiedzi Benedetto wpisał „wyślij”. Jego artykuł znalazł się we wszystkich redakcjach, których adres zdążył dołączyć. Inne adresy doda, kiedy pozbędzie się z komputera tego natrętnego programu.

- Odważny, lecz głupi - powiedziała kobieta. Jej głowa znikła z ekranu.

Faktycznie, brukowce otrzymały artykuł, ale wzbogacony o w pełni udokumentowane wyznanie wszystkich oszustw i wymuszeń, jakich Benedetto dopuścił się w swojej karierze poborcy podatkowego. Aresztowano go w ciągu godziny.

Historii Andrew Wiggina nigdy nie opublikowano - gazety i policja uznały ją za to, czym była naprawdę - nieudaną próbę szantażu. Zaproszono pana Wiggina do złożenia

zeznań, lecz była to zwykła formalność. Nawet nie wspomniano o szalonych, niewiarygodnych oskarżeniach Benedetta. On nie miał już żadnych praw, a Wiggin był jedynie jego ostatnią niedoszłą ofiarą. Szantażysta popełnił idiotyczny błąd, niechcący dołączając swoje tajne akta do tekstu z oskarżeniami. Głupota przestępców zawsze dziwiła policjantów.

Dzięki artykułowi w gazetach ofiary Benedetta dowiedziały się, jak z nimi postąpił. Benedetto nie był wybredny w doborze kandydatów - niektórzy z nich mieli uprawnienia, które umożliwiały im przeniknięcie do więzienia. Tylko Benedetto wiedział, czy to strażnik, czy też współwięzień poderżnął mu gardło i wepchnął głowę do muszli klozetowej, tak że trudno było odgadnąć, co stanowiło przyczynę zgonu: utonięcie czy wykrwawienie.

Śmierć poborcy przygnębiła Andrew. Valentine zapewniła go, że aresztowanie i śmierć Benedetta tak szybko po próbie szantażu to czysty przypadek.

- Nie możesz się oskarżać o wszystko, co się przydarza ludziom z twojego otoczenia - oświadczyła. - Nie wszystko jest twoją winą.

Nie, nie była to jego wina. Ale jednak nadal czuł się jakoś odpowiedzialny za tego człowieka. Był pewien, że fakt, iż Jane potrafiła zabezpieczyć jego dokumenty i ukryć informacje o podróżach, miał jakiś związek z losem poborcy. Oczywiście Andrew miał prawo bronić się przed szantażem, ale śmierć to zbyt surowa kara. Odebranie majątku to nie powód, by odbierać życie.

Dlatego Andrew zwrócił się do rodziny Benedetta i spytał, czy może coś dla nich zrobić. Zostali bez grosza, ponieważ cały jego majątek zajęto. Andrew zapewnił im przyzwoitą pensję. Jane zapewniła go, że nie tylko go na to stać, ale nawet tego nie poczuje.

Nie koniec na tym. Andrew spytał, czy może przemówić na pogrzebie. I nie tylko przemówić, lecz wystąpić jako mówca. Przyznał, że to będzie jego debiut, ale chce spróbować oddać Benedettcie sprawiedliwość i wyjaśnić, dlaczego tak postępował.

Zgodzili się.

Jane pomogła mu odszukać spis poczynań Benedetta, a potem udowodniła swoją przydatność w trudniejszych poszukiwaniach - dotyczących dzieciństwa Benedetta, jego rodziny, przyczyn jego patologicznego pragnienia zapewnienia dobrobytu bliskim i kompletnej amoralności, gdy w grę wchodziło zagarnianie cudzej własności. Andrew rozpoczął przemówienie, nie kryjąc i nie usprawiedliwiając niczego. Pewnym pocieszeniem dla jego bliskich był fakt, że Benedetto, choć okrył ich hańbą i zrujnował, choć sam doprowadził do rozstania - najpierw poprzez uwięzienie, potem śmierć - kochał ich i starał się

o nich dbać. I co może istotniejsze, kiedy Andrew skończył przemawiać, życie Benedetta nie było już nieodgadnione. Świat znowu miał sens.

Po dziesięciu miesiącach od przybycia Andrew i Valentine opuścili Sorelledolce. Valentine była już gotowa do napisania książki o przestępstwie w społeczności przestępczej, a Andrew z radością towarzyszył jej przy następnym projekcie. W formularzu celnym w rubryce „zawód” zamiast „student” lub „inwestor” wpisał „mówca umarłych”. Komputer to zaakceptował. Andrew miał już zawód, który przed laty niechcący stworzył.

Nie musiał zajmować się tym, co niemal narzucił mu jego majątek. Jane zajęła się wszystkim. Ten program nadal go trochę niepokoił. Wydawało się pewne, że z czasem pozna prawdziwą cenę tego udogodnienia. Ale na razie dobrze było mieć wspaniałą, skuteczną i wszechstronną asystentkę. Valentine była trochę zazdrosna. Spytała, gdzie może kupić taki program. Jane odpowiedziała, że chętnie pomoże jej przy wszelkich badaniach lub w finansach, ale pozostanie programem Andrew, dostosowanym do jego osobistych potrzeb.

Trochę rozdrażniła tym Valentine. Czy ta personalizacja nie posunęła się za daleko? Ale po paru dniach dąsów Valentine obróciła sytuację w żart.

- Nie mogę obiecać, że nie będę zazdrosna - powiedziała. - Czy program komputerowy ma mi odbić brata?

- Jane to zwykły program - odrzekł Andrew. - Bardzo dobry. Ale robi tylko to, co jej każę, jak każdy inny program. Jeśli zacznę tworzyć z nią jakiś związek, możesz mnie zamknąć w domu wariatów.

I tak Andrew i Valentine opuścili Sorelledolce i razem podróżowali od świata do świata, tak jak dotąd. Nic się nie zmieniło, oprócz tego, że Andrew nie musiał się już martwić o podatki i chętnie czytywał rubryki zgonów za każdym razem, kiedy przybywali na nową planetę.